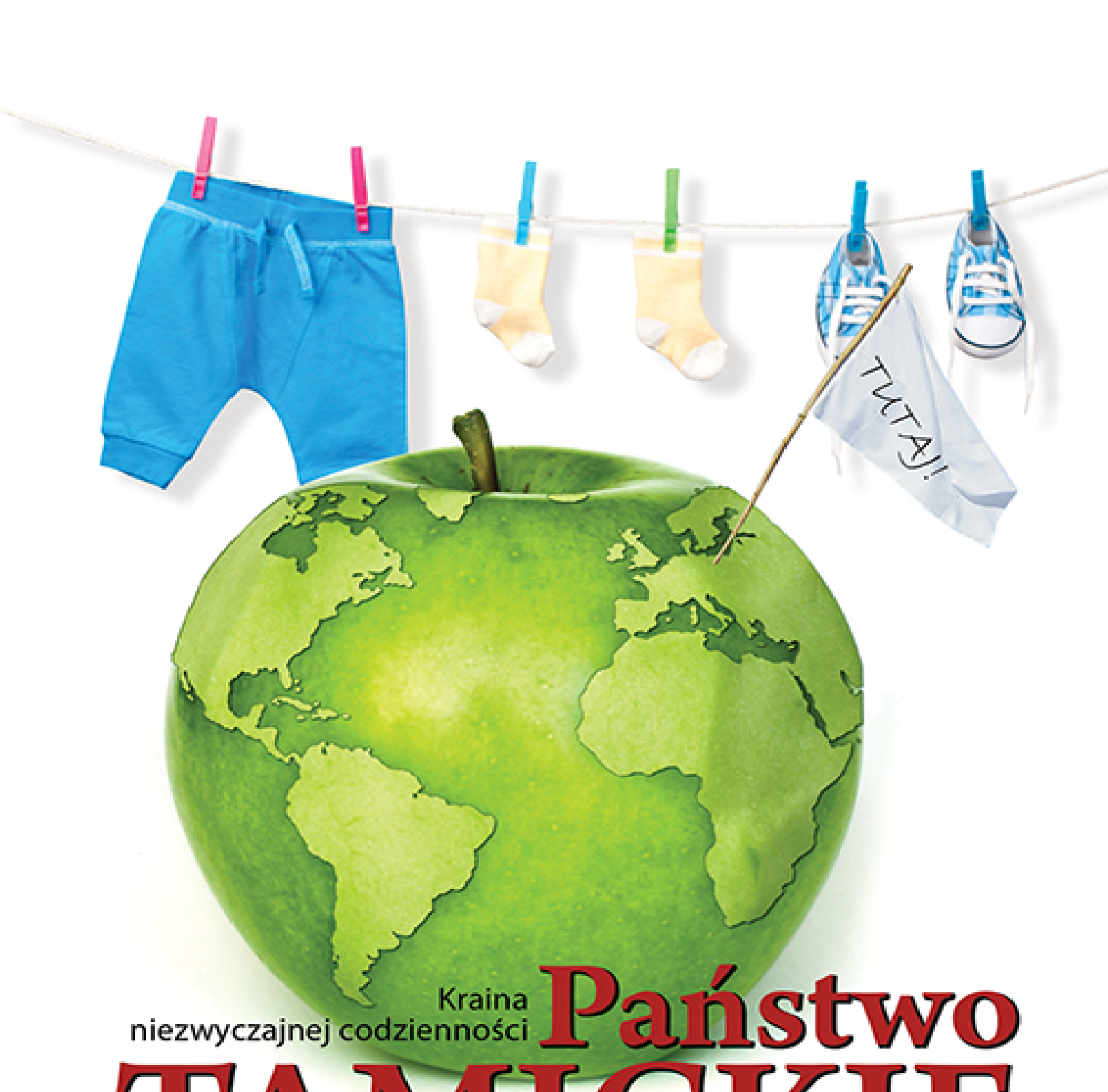

Kraina niezwyczajnej codzienności

Państwo TAMICKIE

JOANNA ŁUKOWSKA

RW2010

JOANNA ŁUKOWSKA
PAŃSTWO TAMICKIE

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2011
Redakcja: Maciej Ślużyński
Korekta: Andrzej Homańczyk, Robert Wieczorek
Redakcja techniczna: zespół RW2010
Copyright © Joanna Łukowska 2011-2014
Okładka Copyright © Mateusz Ślużyński
zdjęcie na okładce © yarkovoy / *Fotolia.com*
zdjęcie na okładce © mike_experto / *Fotolia.com*
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2011-2014
Wydanie I

ISBN: 978-83-63111-09-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Dalekie są kraje i bliskie są kraje,
Gdzie Dżamble pędzą życie;
Zielone głowy mają, niebieskie ręce mają
I po morzu pływają w sicie.
Edward Lear, *Dong, co ma świecący Nos*

ROZDZIAŁ PIERWSZY
czyli małżeństwo z rozsądku.

– **M**usicie się pobrać. Im szybciej, tym lepiej – ni z gruszki, ni z pietruszki to zdumiewające oświadczenia popłynęło z ust Grażyny Strzelskiej; twarz pani Grażyny zdradzała tyle emocji co kamień, ton jej głosu sugerował, że mówi o pogodzie, a zaskakujące słowa skierowała do swojej córki i jej chłopaka.

Joanna i Maciej pomyśleli wówczas dokładnie o tym samym.

Często im się to zdarzało, taka wspólnota myśli i skojarzeń – było to równie zaskakujące, co fascynujące; w każdym razie oszczędzali na słowach. Teraz też wymienili jedynie wiele mówiące spojrzenia. Jego, lekko spłoszone, pytało:

„Naprawdę... musimy?”.

Jej spoczęło na nim z pewnym pobłażaniem i uspokajająco odpowiedziało:

„Nie, wedle moich informacji, nie”.

Chłopak odetchnął z ulgą.

Za wcześnie. Spektakl zdumiewających oświadczeń trwał dalej.

– Zresztą – kontynuowała pani Grażyna, nie zmieniając tonu – my też musimy się pobrać. Nawet jeszcze szybciej.

Teraz nawet Joanna, którą własna matka nazywała „zimną, nieczułą istotą”, wyglądała na z lekka wstrząśniętą.

Mówiąc „my”, pani Grażyna – wdowa od pięciu lat – miała na myśli siebie i Remigiusza Grzelaka, postawnego lekarza dermatologa, z którym spotykała się od roku. Nie żeby dorosła córka miała coś przeciwko raczkującemu rodzeństwu albo macierzyństwu po czterdziestce, ale małe dzieci są jednak dość męczące, a pani Grażyna – pracownik naukowy i wykładowca na Akademii Ekonomicznej – była osobą bardzo zajętą.

Gdy Joanna już się pogodziła z myślą, że za jednym zamachem zostanie obdarowana nowym tatusiem i nieletnim rodzeństwem, pani Grażyna

wyskoczyła z kolejną rewelacją.

– Jest szansa na mieszkanie dla was!

Młodych jakby ktoś ukłuł szpilką.

– Co?! Ale jak...? Kiedy, kto...?

– Remigiusz ma książeczkę mieszkaniową. Jeżeli uzupełni wkład, to przydział mógłby być na dniach. Ale żeby przepisać członkostwo na Aśkę, ona musi być jego rodziną. Dlatego najpierw musimy się pobrać my z Remigiuszem, potem wy, żeby dostać przydział na M-3, bo jako osobie samotnej Asi przysługiwałaby tylko kawalerka. Jeszcze nie wiemy, czy Remigiusz przypadkiem nie będzie cię musiał, córcia, adoptować i czy wy nie będziecie się musieli szybko starać o potomka, żeby dostać większy metraż, ale to już szczegóły techniczne...

Mgła niezrozumienia wreszcie się rozwiała! W roku 1987 nikt się nie dziwił skomplikowanym zabiegom, jakie trzeba było przeprowadzać, ani konszachtom, w jakie trzeba było wchodzić, żeby dostać mieszkanie. Joannie i Maciejowi nawet w głowie nie postało protestować przeciwko szybkim zaręczynom i rychłemu małżeństwu. W końcu znali się od ponad czterech lat i kiedyś (w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości) zamierzali się pobrać. Teraz ta przyszłość, za sprawą książeczki mieszkaniowej Remigiusza, sama się określiła. Zaś mieszkanie jest tak samo dobrym powodem do ożenku jak każdy inny, a nawet lepszym. Bo można żyć bez ślubu, ale bez mieszkania nie jest to już takie proste...

Zima, łącznie z Gwiazdką i sylwestrem, upływała pod hasłem rozmów z „osobami, które coś mogą i wiedzą”, szykowania licznych dokumentów oraz zakrojonych na średnią skalę przygotowań do dwóch ślubów i jednego wesela.

– Może pobierzemy się w tym samym dniu, co? Wtedy będziemy sobie mogli zrobić jedno wspólne wesele – wymyśliła na poczekaniu Joanna.

– Nie, nie! – sprzeciwiła się natychmiast jej matka. – Ze względów taktycznych najpierw ja muszę wyjść za Remika, musi upłynąć trochę czasu, choćby ze trzy miesiące, potem dopiero ty wyjdziesz za Maciusia. Ponieważ forsy nie starczy na dwa wesela i wkład mieszkaniowy, dlatego – zadecydowała pani Grażyna – wy je będziecie mieli. Wam się należy, jesteście młodzi i po raz pierwszy bierzecie ślub, hm... mam też nadzieję, że

po raz ostatni, a my z Remikiem... to recydywa, zadowolimy się więc kameralnym przyjątkiem.

Tak też zrobili.

Pani Grażyna zyskała nowego męża, nowe nazwisko – Grzelak, a do domu na Lecha, do domu kobiet, wprowadził się mężczyzna.

Wspólne pożycie okazało się trudną próbą. Remigiusz Grzelak cierpiał bowiem na nieuleczalną pedanterię, co chorobliwą bałaganiarę Joannę doprowadzało do szału. Pani Grażyna zaś miotała się między mężem a córką, łagodząc awantury i starając się nie dopuścić do zbrodni w afekcie. Jak w ten kocioł wkraczał jeszcze Maciej ze swoją skłonnością do nabijania się ze wszystkiego, to tylko się powiesić albo... wyprowadzić.

Działania na froncie robót mieszkaniowych ruszyły z kopyta. Wkład został uzupełniony, wstępna lokalizacja zlokalizowana na osiedlu ZMP, książeczka mieszkaniowa przepisana. Na szczęście nikt nikogo nie musiał „ucórczać", gdyż wedle prawa dwudziestoletni obywatel jest za stary i nie nadaje się do adopcji.

Pozostawała kwestia metrażu. Żeby dostać M-3 Joanna Strzelska musiała mieć męża. Żeby dostać M-4 Joanna Strzelska musiałaby się wykazać dwójką dzieci; jedno ewentualnie dałoby się załatwić, ale takie rozwiązanie zdecydowanie nie satysfakcjonowało Spółdzielni. Ponieważ o bliźniaki nie jest tak łatwo jak o męża, Joanna i Maciej z bólem serca w ogóle zrezygnowali ze starań w tym względzie, zgodnie oświadczając, że nie są chytrzy i zadowolą się M-3. Lepszy rydz niż nic. Poza tym, żeby tak znowu rwali się do rodzicielstwa, i to jeszcze przed ślubem, też nie można powiedzieć.

Piękny, sierpniowy poranek. Chmurki jak śnieżnobiałe baranki, ożywczy zefirek pląsa wśród liści, słoneczko promienieje całą gębą, jakby wiedziało, że dzisiaj jest Wielki Dzień!

Krótko mówiąc, pogoda dopisała, podobnie jak humor pewnej pannie młodej. Od samego rana Asieńka była radosna niczym skowronek. Biegając po domu i szykując się do zamęścia, śpiewała na cały głos: „Jak dobrze wstać skoro świt, jutrzenki blask duszkiem pić...", i ulubiona fraza: „Dzisiaaaaaaj odnajdę, odnajdę siebie samą, dzisiaaaaaaj na pewno, na pewno wyjdę za mąż... hi, hi!", którą to frazą drażniła swoją zalataną matkę.

O wpół do dziesiątej zjawił się oblubieniec i zaraz zamknął się w łazience. Zamierzał nacieszyć się tym przybytkiem zawczasu. Blady i spocony nieustannie zastanawiał się, czy w Urzędzie na pewno jest ubikacja oraz jak to zrobić, żeby sobie nie narobić wstydu na tych wszystkich dywanach i marmurach, przed tymi wszystkimi ludźmi. Maciuś autentycznie cierpiał; cierpiał na ból istnienia i rozstrój żołądka. Leciało z niego górą i dołem. Krótko mówiąc, miał stracha, że hej!

Gdy o dziesiątej pojawił się Andrzej Mazur, świadek oraz przyjaciel, wystarczyło, że usłyszał żałosne odgłosy, dobiegające z łazienki, by jego też zaczęło ściskać w dołku.

– Maciej, wyłaź stamtąd, cholera! – wrzasnął, waląc pięścią w drzwi wucetu. – Co ty jesteś, facet czy gumka od majtek?! – Jeżeli chciał w ten sposób wejść cierpiącemu na ambicję, to chybił. Kompletnie.

– Gumka... dzisiaj zdecydowanie gumka... – dobiegł słabiutki jęk z okolic sedesu.

– Maciusiu, Maciusiu! – zaświergotała okrutna narzeczona. – Dzisiaj nasz ślub, czyżbyś zapomniał? Wyjdź stamtąd, kochanie, goście już się zbierają, już czekają... Przecież nie dam rady wyjść za ciebie, kiedy ty siedzisz tu, a ja będę tam, z urzędnikiem, twoją mamą, tatą, ciociami... hi, hi!

– O, Jezu, zaraz się... Umieram!

– Aśka, wynoś mi się stąd! Nie denerwuj Maciusia! Ja mu pomogę, biedakowi... – włączyła się do akcji niezawodna pani Grażyna. – Już nastawiłam wodę, zaparzę ci ziółka. Zobaczysz, jak wypijesz, to ci zaraz przyjdzie – zapewniała przez drzwi.

– Tak, tak – dorzuciła swoje podstępne trzy grosze oblubienica – zaraz ci przejdzie wszystko, na amen, nawet ochota do życia. Ja ci radzę, Maciej, ty lepiej nie pij tych ziółek! Chciałabym choć parę dni nacieszyć się stanem małżeńskim.

– Aśka, ostrzegam cię, ty się natychmiast uspokój! – próbowała okiełznać swą niesforną córkę pani Grażyna.

– Co tu się dzieje? – dobiegło tubalne pytanie od strony drzwi wejściowych. Doktor Grzelak właśnie wrócił z kwiaciarni; wściekły, bo bukiety jeszcze nie były gotowe. – No co tu się, u diabła, dzieje?!

– Remigiuszu, ratuj! – Pani Grażyna rzuciła się w objęcia męża. – Maciuś zamknął się w kibelku – zameldowała – i nie chce wyjść, Aśka mu

dokucza, a Andrzejkowi chyba też zaczyna się robić, hm, nieszczególnie.

Remigiusz uratował sytuację. Kazał tłumowi się rozstąpić i przez szparę pod drzwiami wsunął do łazienki listek tabletek.

– Co to było, co mu dałeś? – koniecznie chciała się dowiedzieć pani Grażyna. – Żeby mu nie zaszkodziło...

– Nie zaszkodzi, nie zaszkodzi, w takiej sytuacji Oxazepam nikomu nie zaszkodzi...

Po dziesięciu minutach Maciej Tamicki wychynął zza drzwi łazienki, pomachał ręką na dzień dobry i ostatecznie opuścił bezpieczne schronienie.

– Witaj, kochanie, jak ślicznie wyglądasz – zagaił do narzeczonej.

– Dobra, dobra, nie podlizuj się teraz – burknęły śliczności. – Zachowujesz się, jakby cię kto zmuszał do tego ślubu. Nie chcesz, to nie, wypchaj się! Jeszcze możesz zrezygnować. – Joanna wyglądała na obrażoną.

– Cholera, przecież wiesz, że to nie moja wina! Wiesz, że jak się denerwuję, to momentalnie brzuch mnie boli i dostaję sraczki.

– Nie tłumacz się przed nią. – Pani Grażyna ujęła zięcia pod rękę. – Jak się czujesz? Za parę minut wyjeżdżamy.

– Jak...? – Maciej wsłuchał się w siebie. – Obleci. Tylko załatwmy to szybko, zanim te piguły przestaną działać.

Dziewiętnastego sierpnia 1988 o godzinie jedenastej czterdzieści w Urzędzie Stanu Cywilnego na Starym Rynku, w obecności świadków oraz licznie zgromadzonej publiczności, Joanna Strzelska i Maciej Tamicki wstąpili w związek małżeński. Przy okazji dowiedzieli się, że stali się najmniejszą komórką społeczną, czyli rodziną. Być komórką fajna rzecz, zwłaszcza społeczną, ale Maciej miał pewne zastrzeżenia co do przystojnego mistrza ceremonii, który nieustannie mrugał, szczerzył zęby i wyraźnie podrywał Aśkę. No bezczelnie podrywał mu... żonę!

Około godziny szesnastej Asia i Maciej zamienili się rolami. W domu rodzinnym pana młodego, na Świętego Rocha, przed lustrem w przedpokoju Maciej Tamicki zakładał muszkę. Uśmiechał się. Na ślub cywilny zużył cały zapas zdenerwowania i teraz nic go już nie ruszało. Ani kościelny za godzinę, ani pokpiwający starszy brat Przemysław, ani drzemiący w sypialni ojciec (bo go „kopyt” rozbolał), ani popłakująca po kątach matka. Ręce przestały mu się trząść, strach przestał wiązać supły na

przełyku, a żołądek uspokoił się wreszcie na tyle, że łaskawie pozwolił mu zjeść kromkę chleba.

Maciej zapiął guziczek czarnej muszki, poprawił rogi kołnierzyka-stójki, odstąpił krok, wziął z rąk pochlipującej rodzicielki marynarkę. Na koniec przeczesał palcami średniego jeżyka i założył okulary.

– No, jestem gotowy. Możemy jechać z tym koksem.

– Oj, synku, synku! – zaczęła zawodzić Barbara Tamicka, niczym nie ustępując zawodowej płaczce. – Porzucasz dom, odchodzisz, tracę cię!

– Maman, co ty gadasz? – Przemek, obżerający się w najlepsze chlebem z kiełbasą, ujął się za młodszym bratem; żal mu się zrobiło Młodego, który zdążył już wyczerpać wszelkie rozsądne argumenty, a i tak nie przekonał ich matki, że dzisiaj odbywa się ślub, nie pogrzeb. – Czemu ryczysz? Przecież on się żeni, a nie idzie na wojnę.

– Młody... – Maciej odrobinę zasępiony wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. – Powiedz, ale tak szczerze, czy ty nie uważasz, że ja wyglądam... dziecinnie, jakbym szedł do Pierwszej Komunii?

– Dokładnie, Młody, tak uważam, jeżeli już szczerze sobie rozmawiamy.

– No właśnie, żeni się! To jeszcze gorzej, niżby szedł na wojnę. Porzuca dom, tracę...

– Trudno, nic nie poradzę, że w garniturze mi nie do twarzy. – Pan młody wzruszył ramionami. – Do Komunii czy do ślubu, jestem gotowy.

– Ojejku jej! – Łzy jak groch płynęły po pyzatej twarzy pani Barbary.

– Maman, na Boga, przestań! Młody niczego nie porzuca, zapewniam cię, że jeszcze tu wróci.

– Choćby po rzeczy – mruknął Maciej, chowając chusteczkę do kieszeni spodni.

W tym samym czasie w domu panny młodej na osiedlu Lecha Joanna Strzelska stała na środku dużego pokoju, a mama pomagała jej się ubrać w białą suknię. Asia obróciła się, przejrzała w lustrze, przeszła parę kroków, próbując, jak jej pójdzie z tym całym trenem, wróciła przed lustro i jęknęła.

– Ohyda, wyglądam ohydnie... i rajstopy mi trzasły!

– Ależ skąd, córuchno, ślicznie, wyglądasz prześlicznie, a rajstop kupiłam na zapas trzy pary – uspokoiła córkę przewidująca mama. – Teraz usiądź, upnę ci włosy.

Upięła brązowe włosy, założyła wianek, przypięła spinkami welon.

– Jakaś ty piękna...

– Jezu, nie idę! – krzyknęła Joanna, prawie rozpłaszczając nos na powierzchni lustra. – Ja dzisiaj nigdzie nie idę! To nie mój dzień, wyglądam fatalnie! Te włosy, ten sterczący wianek... i zobacz! Prawe ucho mi odstaje. Koniec. Ślubu nie będzie!

– Będzie, będzie – zapewnił wszystkich doktor Grzelak. – Wesele w Lizawce już się szykuje, wódka się chłodzi, bukiet dostarczony i zapłacony, suknia założona, wianek upięty, goście czekają. Jazda, panna, ale już! Jazda do kościoła i bez histerii, bo pacha zdejmę...

I znowu Remigiusz Grzelak uratował sytuację.

Dziewiętnastego sierpnia o godzinie siedemnastej, w kościele pod wezwaniem Chrystusa Najwyższego Kapłana, Joanna Maria Strzelska i Maciej Jarosław Tamicki w obliczu Boga i przy wtórze rozpaczliwych szlochów Barbary Tamickiej zawarli święty i nierozerwalny związek małżeński.

Trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy, głosem równym i dźwięcznym przyrzekli sobie miłość, wierność i że się nie opuszczą aż do śmierci. W głębi serca obiecali sobie również uczciwość, przyjaźń i że nigdy nie stracą poczucia humoru, które to cechy oboje stawiali ponad wszelkie bogactwa i zaszczyty tego świata.

Maciej i Joanna stali się mężem i żoną.

Jedynym zgrzytem w całym tym morzu szczęścia był fakt nieobecności na weselu kogokolwiek ze strony pana młodego. Poza bratem Macieja, który pojawił się mocno spóźniony i zły. Zwlekano już dość długo z rozpoczęciem świętowania, więc teraz z tym większą niecierpliwością oczekiwano relacji z tego, co się dzieje i właściwie dlaczego. Ale Przemysław nie chciał nic powiedzieć, zanim się przedtem nie napije wódki.

Postawiono przed nim trzy pełne kieliszki i talerzyk z ogórkami. Patrzono w skupieniu, niemalże wstrzymując oddech, jak wychyla jeden kieliszek, drugi, zagryza ogórkiem, wypija trzeci, przekąsza dwoma ogórkami... Wreszcie Przemek otarł usta, uśmiechnął się przyjaźnie i oświadczył uspokajająco:

– A teraz to na pewno wam nic nie powiem.

I zabawa się zaczęła...

Odpowiedni dokument czym prędzej dostarczono do Spółdzielni, która zaocznie przyznała już M-3 na podstawie papierka z Urzędu Stanu Cywilnego potwierdzającego, że związek ma zostać zawarty wtedy i wtedy.

W podróż poślubną Państwo Młodzi wybrali się na cały jeden dzień do Warszawy, gdzie Maciej miał jakieś sprawy techniczne do załatwienia. Sprawy związane były z Radiem Studenckim Afera, w której Tamicki był redaktorem naczelnym, a że miały charakter techniczny, nie wzbudzały w nim wielkiego entuzjazmu. Postanowił jak najszybciej się z nimi uporać, zaś resztę upojnego dnia (byle do 16.20, żeby zdążyli na pociąg powrotny) poświęcić wyłącznie swojej małżonce.

Chodzili po stolicy, oglądali wystawy, gwarne ulice i brudne domy. Współczuliby ludziom, którzy muszą tu mieszkać, gdyby o nich pomyśleli, ale w tym momencie nie obchodziła ich reszta społeczeństwa, zwłaszcza stołecznego. Było lato, piękna pogoda, a oni szli sobie wolno Nowym Światem, trzymając się za ręce i nie zważając na zabieganie, hałas i śmieci wokół...

Na obiad wybrali się do restauracji chińskiej Szanghaj, gdzie po raz pierwszy w życiu jedli bambusa, wydając na niego porażającą sumę siedmiu tysięcy złotych!

Po powrocie z podróży poślubnej małżonkowie o niczym innym nie marzyli, jak o miesiącu miodowym we własnym domu. Dlatego, by choć otrzeć się o to marzenie, pojechali na Żegrze, gdzie wiło się ich słodkie gniazdko.

Niestety, sądząc z postępu prac budowlano-wykończeniowych, musieli pogodzić się z faktem, że na ten miesiąc miodowy przyjdzie im jeszcze ze dwa miesiące poczekać.

Pomylili się o marne cztery miesiące (co wobec marazmu panującego wówczas w budownictwie mieszkaniowym było i tak tylko małym poślizgiem). Czekali pół roku, zanim wreszcie mogli się wprowadzić do upragnionego mieszkania.

Co ciekawe, młodzi Tamiccy czekali na swój dom oddzielnie. Decyzję taką, nad podziw dojrzałą, podjęła Joanna.

– Nie, Maciusiu, twoje układy z moją mamą są za dobre, by je głupio niszczyć przez jeden nieprzemyślany krok. Zbyt kocham was oboje i zbyt kocham siebie, by skazywać nas na mieszkanie razem pod jednym dachem.

I to z Remigiuszem. A co do pomysłu, żebyśmy zamieszkali na Rocha, z twoimi rodzicami i z twoim bratem kawalerem, to wybacz, ale to jest pomysł do bani. Po miesiącu dowiedziałabym się o sobie takich rzeczy, o jakie w życiu bym siebie nie podejrzewała.

Tak więc Maciej został u swojej mamy, a Joanna – u swojej. I znowu pani Grażyna miotała się między córką a mężem, łagodząc awantury i nie dopuszczając do zbrodni w afekcie.

Blok na osiedlu ZMP rósł wolno, niespiesznie przybywało mu pięter... I wciąż nie można się było doliczyć tego dwunastego.

Kiedy w listopadzie odbyło się pierwsze spotkanie z przyszłymi lokatorami, na Lecha panowała już atmosfera grożąca wyładowaniami, czy wręcz burzą z piorunami. Maciej i Joanna polecieli na „spęd mieszkańców" jak na skrzydłach.

Zebrani – w wieku różnym, okutani w kurtki, boby i płaszcze – byli bardzo przejęci i onieśmieleni. Potraktowano ich jednak łaskawie; pożartowano, że wniosek o telefon to najlepiej składać zaraz po urodzeniu; ostrzeżono, by nie wykonywać żadnych poważnych prac wykończeniowych – żadnych płytek, kafelków, tapet, boazerii – zanim blok nie przestanie „pracować" i nie „osiądzie", jak należy; co najważniejsze, nie obiecano niczego konkretnego, nie podano żadnego wiążącego terminu, choćby w przybliżeniu, kiedy to szesnastka zostanie oddana do użytku; rozstawano się więc z uczuciem niedosytu z jednej strony i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku nieinformowania o tym, co i tak zmieni się jeszcze dziesięć razy – z drugiej.

Młodym, za każdym razem gdy przejeżdżali tramwajem przez pętlę na Żegrzu, z której doskonale widzieli swój blok – teraz już ze wszystkimi szesnastoma piętrami – wydłużały się miny, że nadal nie ma okien, a barierki na balkonach są tylko do połowy.

Po Nowym Roku szesnastka nabrała rumieńców. Opleciono ją przewodami, ubrano w instalację gazową. Miała już okna i balkony. Działały windy. W lutym na chybcika malowano sufity, kładziono wykładziny, instalowano wanny, sedesy i kuchenki.

Na szesnastego lutego 1989 roku Joanna Tamicka dostała wezwanie. Miała wraz z mężem stawić się o jedenastej na osiedlu ZMP, w bloku numer dwa, na parterze, przy windach, po odbiór kluczy.

Hurrraaa!!!

Stawili się punktualnie, z mamą Grażynką i Remigiuszem. Joanna Tamicka, jako główny lokator, musiała podpisać protokół zdawczo-odbiorczy, zgadzając się tym samym, że: mieszkanie posiada dwa pokoje, korytarz, łazienkę, kuchnię, piwnicę i loggię; potwierdzając jednocześnie obecność: wanny, baterii przy wannie, umywalki z baterią, zlewozmywaka z baterią, miski ustępowej, sedesu, spłuczki z armaturą, ośmiu gniazdek wtyczkowych zwykłych, czterech gniazdek wtyczkowych z uziemieniem, trzech włączników zwykłych, trzech włączników seryjnych, jednego przycisku, jednego dzwonka elektrycznego, dwóch opraw z kulą mleczną, kuchenki czteropłomieniowej z piekarnikiem, czterech kompletów kaloryferów, drzwi płytowych pełnych, drzwi z małą szybą, trojga drzwi z dużą szybą, trzech par okien zespolonych z wietrznikiem; zgodnie przystając na płytki PCW w kuchni, lenteks w pokojach i na korytarzu, vinigum w łazience, farbę klejową na ścianach i sufitach, a lamperię (olejną) w kuchni i łazience; oraz z radością konstatując istnienie gniazda AZART, sznura R+TV i korytka do kwiatków.

Podpisała bez czytania.

I dostali klucze. Do pierwszego własnego, choć spółdzielczego mieszkania.

Gdy tylko pracownik Administracji zniknął z horyzontu, a teściowa z teściem zajęli się oglądaniem i sprawdzaniem, czy wszystko działa, Maciej złapał żonę za rękę, tę z kluczem, i zaciągnął do łazienki. Miał tutaj schowany szampan radziecki, o pojemności 0,33 litra, zakręcany. Nonszalancko, jednym ruchem, pozbył się nakrętki, wypił spory łyk, wciągając w siebie połowę zawartości butelki i podał Asi ze słowami:

– Twoje zdrowie, żono, i naszego nowego pięknego mieszkania z dwoma pokojami, kuchnią, lenteksem, gniazdkami i tak dalej.

Joanna wzięła butelkę. Upiła równie potężny haust, dopijając szampana prawie do końca, i odpowiedziała:

– Twoje zdrowie, mężu, i naszego nowego pięknego mieszkania z korytarzem, sznurem R+TV, sedesem i korytkiem do kwiatków.

Potem się pocałowali.

Zamierzali żyć długo i szczęśliwie.

I wprowadzili się jeszcze tego samego dnia.

Po tygodniu jeden z domokrążców, których dziesiątki kręcą się po świeżo oddanych do użytku budynkach, zapukał do pewnych drzwi... Otworzyła mu młoda dziewczyna w dżinsach i koszulce bawełnianej.

Komiwojażer chrząknął i zapytał:

– Czy jest ktoś starszy w domu?

Joanna nie obraziła się.

– Maciej, ktoś do ciebie! – zawołała męża. Wszak był od niej starszy o rok.

– Słucham? – Młody mężczyzna, który się pojawił, acz miły i w okularach, nie wzbudził w domokrążcy należytego szacunku.

– Ja... ten... – Sprzedawca się zmieszał. – Czy... no, czy z którymś z rodziców mógłbym rozmawiać?

Tamiccy spojrzeli na siebie. Może istotnie wyglądali na rodzeństwo. Oboje młodzi, szczęśliwi i spod znaku Strzelca. Jak bliźnięta. Nawet jeżeli ona miała perkaty nos, pyzate policzki i chochliki w uśmiechu, a on szczupłą twarz o wąskim, długim nosie i cienkich wargach kpiarza.

– Z którymś z rodziców? – upewniła się Joanna i uśmiechnęła się szeroko; chochliki objęły całą jej twarz. – Ale my już nie mieszkamy z rodzicami, proszę pana. Mieszkamy u siebie. – Znowu się uśmiechnęła, prezentując w całej okazałości dołeczki w policzkach.

– To wy.... to znaczy, państwo, sami mieszkacie tu i... – plątał się akwizytor.

– Tak – odparł Maciej. – Więc rozumie pan, obowiązki wzywają. Musimy trochę pomieszkać, żeby nabrać wprawy. – Po czym objął żonę ramieniem i zamknął drzwi tuż przed nosem osłupiałego komiwojażera. Ich własne, dorosłe drzwi!

ROZDZIAŁ DRUGI
w którym słów kilka o nowych osiedlach, nieco więcej o duchach i sporo o starszych panach, którym się wiele wydaje.

Franciszek Wons – emeryt i od dwóch miesięcy pogrążony w żałobie wdowiec – nie miał najmniejszych wątpliwości, że osiedle, na którym przyjdzie mu teraz mieszkać, jest osiedlem młodym. To się rzucało w oczy, a Franciszek Wons miał dobry wzrok, pomimo swych sześćdziesięciu siedmiu lat. Zresztą chyba tylko ślepy nie zauważyłby tego całego budowlanego rozgardiaszu i braku zorganizowania.

– Żadnej infrastruktury – mamrotał pod nosem pan Franciszek, wędrując przez swoje nowe osiedle i z wdziękiem czapli brodząc po kostki w marcowej odwilży. – Nic! Choćby jednego porządnego sklepu spożywczego. Typowe! Obiecywali na spotkaniu w listopadzie, że w ciągu paru miesięcy będzie na mur. Akurat! Prędzej kaktus mi na dłoni wyrośnie, nim ten sklep pojawi się tu wcześniej niż za półtora roku. A ta zieleń...? Mizerota! Karłowate drzewka, rzadkie krzaczki. Ile lat przyjdzie czekać, zanim ta mizeria porośnie choćby na wysokość człowieka? No i spójrz, spójrz, Aldono, ile tu kobiet w ciąży, w różnych stadiach zaawansowania, a ile dzieci...! W wózkach, spacerówkach, na chodnikach, w krzakach, chodzą za rączkę, biegają po trawie, hałasują. No i młodzież! Rosła, wyszczekana i bezwstydna, taka jest ta dzisiejsza młodzież. Co gorsza, pełno jej tutaj. Spójrz, no spójrz, jak się obściskują bez skrępowania.

Jak na razie Franciszek Wons znajdował same negatywy przeprowadzki ze starej Wildy na młode Żegrze. Nic mu się nie podobało. Nawet nazwa nowego osiedla.

– ZMP? Co to za durna nazwa! A za ulicą, no co mamy za ulicą? Osiedla ZWM i ZMS, tfu! Język można sobie połamać. Jak normalny człowiek ma to zapamiętać i nie przekręcić? Lecha, Czecha, Tysiąclecia, to rozumiem, nawet Rusa zdzierżę, ale te wstrętne skrótowce? Jakiś obłęd! Dlaczego, Aldono? Jak mogłaś mi to zrobić? Przecież nie chorowałaś na żadną nieuleczalną chorobę! Poza tym tak pragnęłaś tego mieszkania, więc dlaczego? Jak mogłaś mnie opuścić w takiej chwili?

– A mogłam, mogłam – odparła Aldona Wons z wysokości Nieba, do którego wzięli ją razem z butami. Po czym zatarła ręce, nawet pozwoliła sobie na mały złośliwy uśmieszek, podczas gdy jej mąż wracał szybkim truchtem z dalekiej wyprawy – przez cztery ulice i dwa osiedla – do najbliższego sensownego sklepu spożywczego.

Zmarznięty i zniechęcony pan Franciszek dotarł do bloku numer dwa i ustawił się w kolejce do jedynej dostępnej windy. Towarowa była oczywiście zajęta, gdyż nowi sąsiedzi z czternastego, Kaczmarkowie, akurat wprowadzali nią szafę dwudrzwiową, kanapę i metalowe półki oraz robili kupę radości trójce swoich dzieci.

– No, spójrz, Aldono, tylko spójrz na te dzieciaki. Chichoczą, skaczą po kanapie, włażą do szafy. Żadnej dyscypliny, żadnego szacunku dla starszych. Mogliby wpuścić na tę kanapę...

– Pan coś do mnie mówił? – Młody mężczyzna, prawie chłopak jeszcze, w czarnej czapce z chwościkiem, niebieskiej kurtce i lekko zaparowanych okularach, patrzył na niego przyjaźnie, choć z pytaniem w oczach. Z ramienia zwisała mu wypchana raportówka, spod pachy wystawał jakiś pakunek; wspierając się na ponad dwumetrowych karniszach, również czekał na windę. – Przepraszam, ale zamyśliłem się. – Młody człowiek uśmiechnął się nieśmiało i odrobinę bezradnie. Odruchowo potarł czubek długiego, wąskiego nosa.

– Nie, kochasiu, ja do siebie – odparł krótko pan Franciszek i odwrócił się bokiem do młodego mężczyzny. Maciej Tamicki zdążył mu się narazić. Uprzedził go bowiem i jako pierwszy wprowadził się do nowego bloku. A to Franciszek Wons powinien być pierwszy! By trzymać rękę na pulsie i mieć wszystko w bacznej pieczy. Chciał pierwszy o wszystkim wiedzieć i nie zamierzał pozwolić, by cokolwiek umknęło jego uwadze. Ani

ktokolwiek. Tak to sobie zaplanował. Dlatego zanim jeszcze odebrał klucze, już tydzień wcześniej zamówił wóz meblowy; udało mu się załatwić na siedemnastego rano, a nie było łatwo. Zamierzał następną noc spędzić już w swoim nowym mieszkaniu – jako pierwszy z lokatorów. Ale ten młody Tamicki i jego smarkata żona śmieli go ubiec! Spali tu już szesnastego. Tylko na czym? Na gazetach?!

O tym, że spali, dowiedział się od ciecia, który pilnował całego interesu, póki nie zjawi się prawowity gospodarz domu. Cieć siedział w pomieszczeniu na parterze, oglądał telewizję i zamykał blok na noc. Doskonale zapamiętał sobie lokatora z dwunastego, którego najpierw wypuszczał z jakimś drugim młodzikiem – chyba bratem, sądząc po jeżyku i okrągłych okularkach – później o północy wpuszczał z powrotem, a potem znowu musiał się tarabanić z cieplutkiej kanciapy, kiedy ten wiercący się jak owsik w tyłku Tamicki w środku nocy wynosił coś na śmieci.

– Bo widzi pan, chodzi o karnisze. – Bezczelny chłopak jakby nie widział niechęci starszego pana. – Te do kuchni są krótkie i zmieszczą się do windy, ale te do dużego pokoju... nie da rady, nawet do towarowej nie wejdą. Myślałem, żeby przez balkon wciągnąć, ale jeszcze komuś okno wybiję...

– Trzeba schodami, kochasiu, jest taki jeden sprytny sposób, pionowo i przekładać między poręczami i podestami, zresztą pokażę ci, to trudno tak na gębę wytłumaczyć – wyrwał się z radą i pomocą Franciszek Wons.

– Tak? Naprawdę, pomoże mi pan? Oj, z nieba mi pan spada!

– No, no, zaraz tam z nieba... – certolił się pan Franciszek, któremu wobec wyraźnej wdzięczności ze strony Tamickiego, złość o pozbawienie prymatu nieco przeszła. – Dalej, niech pan wsiada, winda przyjechała.

– A pan? – Maciej Tamicki nie chciał porzucać starszego pana na pastwę losu i kolejnej windy.

– Ja poczekam, niech pan jedzie, dalej, dalej, kochasiu, bo się nie zmieścisz.

Tamicki wsiadł do windy i pojechał.

– Widzisz, Aldono, jaki miły młody człowiek.

– Istotnie, całkiem miły... Ale tu mają na pęczki takich miłych młodych ludzi... – Aldona Wons westchnęła i zadumała się nad światem, w którym tyle niebezpieczeństw czyha na człowieka, zwłaszcza młodego; nad

światem, który ona ledwie co porzuciła. Jakoś dziwnie nie tęskniła za nim ani trochę.

– Na początku miałem mu za złe, że pierwszy się wprowadził, ale w końcu bądźmy wyrozumiali, młodość to niecierpliwa pani. Zresztą ja miałem pierwszy meble w domu, a oni dopiero osiemnastego. Natomiast wracając do ciebie, Aldono, ty nie byłaś już młoda, miałaś pięćdziesiąt pięć lat, to u kobiet wiek poważny, można by więc oczekiwać jakiejś dojrzałości, odpowiedzialności, a ty bez żadnych uzasadnionych powodów, ni z tego, ni z owego oświadczasz, że nie doczekasz. Tak, dobrze pamiętam, bo usiadłaś w moim ulubionym fotelu. Była Gwiazdka, wręczyłaś mi prezent, dziwny taki – swoje zdjęcie z lat młodości, nie najlepsze zresztą – potem usiadłaś w moim fotelu, położyłaś głowę na oparciu, przymknęłaś oczy i takim spokojnym, wypranym z emocji głosem oświadczyłaś: „Ja już, Franku, nie doczekam Nowego Roku”. A w tle leciały kolędy w wykonaniu Poznańskich Słowików. Zepsułaś mi całe święta, a co gorsza, dotrzymałaś słowa. W samego sylwestra wzięłaś i umarłaś na coś tak idiotycznego jak pęknięte serce. Tak powiedział lekarz, że pękło ci serce. Przecież to jakaś bzdura, sentymentalne brednie! Serca nie pękają, ot tak, jak baloniki. Ale ten lekarz dowodził, że jak ktoś przez całe życie bierze wszystko do siebie, tłumi stresy, milczy, zamiast wybuchnąć, coś tam się kumuluje i potem wystarczy byle drobiazg, przegrana w kartach, przypalony obiad... i serce pęka. Ale przecież to nie moja wina! Nie byłaś podfruwajką, miałaś swój rozum. Nie musiałaś się aż tak przejmować moimi wyrzutami na temat niedopieczonego kurczaka. To, że mi twój kurczak nie smakował, w żadnym razie nie mogło być powodem twojej śmierci! Poza tym byłem starszy od ciebie i powinienem pierwszy umrzeć. Jak mogłaś mi to zrobić? Zostawić mnie samego z tą całą przeprowadzką, sprzątaniem, urządzaniem... Oczywiście radzę sobie jakoś, nie z takich opresji wychodziłem cało, właściwie idzie mi świetnie, ale wolałbym...

Rozmyślania pana Franciszka przerwał tłumek przytupujących i grzejących się przy kaloryferze lokatorów, który nagle poderwał się i uniósł szczupłego, niewysokiego staruszka w głąb windy lewej osobowej.

– Tak, tak, wiem doskonale, co byś wolał... – wtrąciła się pani Aldona – ale ja już nie mogłam. Miałam dosyć twojego geniuszu i mistrzowskiego

dyrygowania moją pracą. Dosyć pouczeń, przechwałek, że wszystko robisz lepiej niż inni, że na wszystkim lepiej się znasz: na gotowaniu, praniu, budowaniu domów, samochodach, polityce, interesach, wychowywaniu dzieci... Miałam dosyć. Miałam dosyć... ciebie! Dosyć, dosyć, dosyć! – Duch Aldony Wons złapał się za głowę, jakby dostał nagłej migreny. Stojąca obok postać wyciągnęła dłoń ze złotym kielichem. – O, dziękuję, dziękuję, Gabrielu, dawno cię nie widziałam. Byłeś na dole? I jak tam? Radzisz sobie? Cieszę się. Jeszcze raz dziękuję...

Franciszek Wons uczył się samotności z dużymi problemami. Nikt go nie uprzedził, jak trudne to będą lekcje. Poza tym uparcie mylił nudę z samotnością.

– Aldono, słyszysz mnie? Nudzi mi się. Dzieci przyjechały, pobyły przez tydzień i wróciły do swoich zajęć. Nie zaproponowały, ani Janek, ani Marysia, że może wezmą mnie do siebie. Nie zgodziłbym się oczywiście, ale nie zaproponowali. Nie przepadam co prawda za mężem Marysi, a dzieci Janka są wyjątkowo rozwydrzone, no i u obojga jest za mało miejsca, nie miałbym swojego pokoju, a tu mieszkanie całe dla mnie, ale... nawet nie zaproponowali...

– Pewnie się bali, że jednak, jak na złość, byś się zgodził – mruknęła pani Aldona, która gdy już odkryła w sobie talent ironiczny, korzystała z niego, ile wlezie. Franciszek Wons zaś stanowił idealny obiekt do kpin; szkoda, że wcześniej na to nie wpadła...

Starszy mężczyzna wolno i metodycznie opróżniał siatkę.

– Ryż... do szafki. Lubię ryż, nie tuczy jak ziemniaki i jest zdrowszy, a ty tak rzadko go kupowałaś. Salceson... do lodówki. Mieli tylko biały, co robić – wziąłem. „Jak nie mam czarnego, to nie mam, nie wyczaruję panu, z próżnego to i Salemon nie poleje” – tak mi powiedział kierownik, nieuk jeden. Mąka, jajka, masło... Wiesz, robienie zakupów ma jednak pewien urok, to jak wyprawa po złote runo: niepewny, mityczny cel, niebezpieczna, choć ekscytująca droga... Ty zawsze narzekałaś, brakowało ci żyłki przygody, odrobiny ułańskiej fantazji. Faktycznie, trochę męczące jest tak ciągnąć siatki przez pół miasta, ale... Białe wino, zapałki, mleko, gazeta z programem... Żałuj, ma być film z Marleną Dietrich. Wiesz, Aldono, myślę, że pomogę temu młodemu Tamickiemu, w końcu... czemu nie?

W ogóle zamierzam bardziej się udzielać. Takich jak ten bezradny Tamicki musi być tutaj więcej. Na pewno przydadzą im się rady kogoś doświadczonego.

– Niech Bóg broni! – wykrzyknęła pełna najgorszych przeczuć, choć bujająca w obłokach niebytu, Aldona Wons. – Wybacz, Boże, że używam Twego imienia nadaremno. Ale mój mąż chce pomagać lokatorom...

– Jezu Chryste! Synu Mój! – krzyknął Pan i przesłonił boską ręką Swą boską twarz. – Zamknij oczy, Synu, i nie patrz przez chwil parę na dół. Franciszek Wons będzie udzielał rad bliźnim.

W ciągu miesiąca pan Franciszek stał się sławny. Lecz niedokładnie w taki sposób, o jakim marzył.

Sypał radami jak z rękawa. Pomagał kłaść, malować, wiercić, strugać, ustawiać, wymieniać i zakładać, nie szczędząc przy tym anegdot, pouczeń i ludowych mądrości. Miał tysiące pomysłów, jak urządzić cudze mieszkanie, jak uczynić je ciepłym i swojskim. Tymczasem jego własny dom pokrywał się kurzem i ciszą...

Wśród bogatych zasobów skrzynki z narzędziami Franciszek Wons posiadał także pistolet, którym zdeklarował się wstrzelić wkręty w sufity państwa Tamickich, celem zainstalowania karniszy.

Podczas gdy Maciej długo i kwieciście dziękował drogiemu sąsiadowi za pomoc, Joanna w osłupieniu przyglądała się swoim sufitom, kiedyś śnieżnobiałym. Plamy od prochu, odpryski i jedna dodatkowa dziura – bo panu Franciszkowi ręka się omsknęła – to jeszcze nic.

– Zagipsujemy, pomalujemy, będzie jak nowe – zapewniał Maciej swą wciąż trwającą w osłupieniu żonę. Jednak i jemu nie na długo starczyło optymizmu. Po dokładniejszych oględzinach sufitu w sypialni zbladł i wycedził:

– A żebyż go szlag jaśnisty trafił, sąsiada drogiego...

Zaś jego żona zakwiliła cicho:

– O Boże, Boże... – I dodała przerażona: – Tylko błagam, nie proś go, żeby to poprawiał!

– A nie mówiłam – wyszeptała Aldona Wons, podglądająca z góry przez rozsunięte palce.

Franciszek Wons nie uwzględnił w swych obliczeniach, że okno znajduje się w niszy, toteż dwa wkręty wstrzelił dobrze, a dwa – za blisko okna, za blisko o dwudziestocentymetrową głębokość owej nieuwzględnionej niszy.

Młodzi małżonkowie patrzyli i milczeli. Joanna zdjęta współczuciem, Maciej żalem nad samym sobą. Bo żadne z nich nie miało wątpliwości, kto teraz będzie musiał drążyć beton wiertarką ręczną, żeby wykonać dwie dodatkowe dziury, ale tym razem we właściwym miejscu.

Maciej Tamicki zawziął się. Drążył i klął. Noc zapadła, on drążył. Jego żona poszła spać, a on drążył.

– Skończę to dzisiaj. Zdechnę, a skończę! Żeby żoneczka mogła sobie jutro powiesić... śliczne firanki. Żeby sobie powiesiła... te cholery. Niech zdechnę, ale skończę.

Skończył gipsować odpryski i nadprogramowe dziury o trzeciej rano następnego dnia. Resztką sił zamontował karnisze i padł jak nieżywy na łóżko. Nie mył się, tylko taki spocony i oblepiony tynkiem zwalił się obok swojej poświstującej przez nos żony. „Tylko na chwilkę, Asiu, odsapnę i pójdę się wykąpać... by mnie chyba zabiła, że brudny włażę... Świszczy, Asiula nieboga, kataru dostanie... pewnie...” – to była ostatnia świadoma myśl Macieja, zanim zasnął.

– Wiedziałam, że tak będzie. Maciej Tamicki omija teraz mojego Franka jak zadżumionego. Nie on jeden zresztą. A to nie koniec jeszcze! Boże, ty widzisz i nie grzmisz? – Aldona Wons już na całego podglądała poczynania swego niepoprawnego małżonka. – Franku, nie rób tego! Ja ciebie bardzo proszę, nie namawiaj pana Pajdy, żeby zamiast na klej mocował kafelki na zaprawę, ja ci dobrze radzę... Mówiłam! No, czy ja nie mówiłam? – Duch Aldony Wons rwał sobie włosy z widmowej głowy. – Cała ściana runęła! Runęła, druzgocząc wszystko... Przecież jakby ktoś siedział na sedesie, to by go zabiło! Franek, kiedy ty się nauczysz, kiedy?

– Nigdy! Nigdy więcej nie będę pomagał komuś, kto na to nie zasługuje! – krzyczał Franciszek Wons. – Jak ta dziewucha mogła powiedzieć, że to moja wina, że zniszczyłem im łazienkę? Drań, zwykły drań! Jego siostrzenica, o ile to w ogóle jego rodzina, obraża mnie, a ten

nic. Ani słowa! Tylko: „Krysiu, dzisiaj nie będę na kolacji”. Mercedesem jeździ. Srebrnym. Nowym. Mówię ci, Aldono, ten Pajda to złodziej i już!

Do Franciszka Wonsa przylgnął przydomek Wesoły Staruszek. Cieszył się nim jak dziecko.

– Lubią mnie, lubią i cenią. Pomagam im. Ludzie tego oczekują: świadomości, że nie są sami, zdani tylko na siebie. I śmieją się z moich dowcipów!

– Bo nie mają innego wyjścia. Oj, doigrasz się, Franek... – przeczuwała Aldona Wons, która odkryła w sobie także wieszcze zdolności.

Franciszek Wons obudził się o piątej rano. Dokładniej obudziło go nieprzyjemne uczucie zimna w okolicach nosa. Dotknął ręką twarzy. Była mokra. Skąd, jak...? Odruchowo spojrzał w górę... i kropla wody skapnęła mu prosto do oka. Krzyknął i wyskoczył z pościeli.

– Co jest, cholerka?! Co ten Kaczorek wyrabia? Zaraz będę miał w łóżku jezioro! O, nie. Już ja mu dam do wiwatu!

W kapciach, w szlafroku narzuconym na pidżamę Wesoły Staruszek w niewesołym nastroju stanął przed drzwiami S.L. Kaczorków.

Nie pukał. Jeszcze by! Zadzwonił jak na alarm. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

– Co tu się u was dzieje, Kaczorkowa?! Woda mi kapie z sufitu. Co wy, kochasie, zawody pływackie urządzacie sobie po nocy? Lodowata woda leje mi się na łóżko!

– Nam się leje w łazience... – Z łagodnych oczu pani Kaczorkowej, kobiety zazwyczaj spokojnej, niemalże melancholijnej, wyzierał mord. – Leje się od pięciu godzin. Mieli przyjść hydraulicy, ale nie przyszli.

– Trzeba mnie było wcześniej powiadomić, zaraz to załatwię.

– Nic pan nie załatwi! – syknęła blada i roztrzęsiona Stefa Kaczorek. – Kabina, którą żeś pan instalował, przecieka. Z pralki, którą żeś pan podłączał, leci ciurkiem. Zawory, których żeś pan tykał, nie działają! Nie można odciąć dopływu tej cholernej wody! Łazienka zalana, sypialnia zalana... a teraz mój mąż zamknął się w łazience...

– Stefa, kto przyszedł? – doleciał przytłumiony pluskami głos pana domu.

– To ja! Franciszek Wons! Co się u was dzieje? Co pan tam robi, Kaczorek?

– Stefa, pozwalam ci zabić tego człowieka. Możesz go rozszarpać na kawałki.

– No, no, tylko bez takich... Do diabła, kochasiu, wyłaź z tej łazienki!

– Nie! – doleciał zdecydowany, choć stłumiony bas Leopolda Kaczorka. – Stefa, rób, co mówię!

– Beż żartów, proszę. Panie sąsiedzie, spokojnie... Co pan tam, cholerka, robi?!

– Rybki sobie łowię.

– Właśnie, rybki sobie mężuś łowi. Jest świetnym wędkarzem.

– Co...? Co to ma być? To wcale nie jest śmieszne. Do administracji! Pismo napiszę! Do sądu podam! Zbrodniarzu! Woda leje mi się na głowę w środku nocy!

– Tak, tak, rybki... – Ręce Stefanii Kaczorek zadrżały, chęć zemsty wzbierała. Palce o długich, wypielęgnowanych paznokciach zakrzywiły się i wyciągnęły drapieżnie w stronę szyi staruszka...

– No, kochaneczko, co... co pani jest? Chciałem tylko pomóc. Niech się Kaczorkowa do mnie nie zbliża! Panie Poldku, proszę powstrzymać żonę. Kaczorek! Zabieraj tę wściekłą babę ode mnie! Wniosę oskarżenie o napaść. Kobieto, co ty, jestem starym człowiekiem... Dobrze, żadnych sądów, i sam sobie poradzę z tą wodą kapiącą z sufitu, bo faktycznie tylko kapie, tylko... Trochę przesadziłem, bo się zdenerwowałem. Pani Kaczorkowa, zapomnijmy o urazach. Panie Poldku, tych hydraulików, to na mój koszt proszę wezwać! Niech pani tak na mnie nie patrzy! I zabieraj te szpony od mojej twarzy, wariatko! Auć! To boli...!

– Widzisz, Franku, wreszcie się doigrałeś. Żal mi ciebie... Gabrielu, masz jeszcze trochę tego wina...? Ale sam przyznaj, należało ci się. Teraz dostaniesz za swoje... Do pełna, Gabrielu... Popatrzymy sobie, mamy najlepsze miejsca...

ROZDZIAŁ TRZECI
czyli pies, lekarz i jeszcze coś...

Młody czarny polowczyk grzał się w słońcu. Kwiecień miał akurat dobry humor i wplótł trochę lata między deszcze, wiatry i przymrozki. Ale szczeniak nie pytał, czemu słońce świeci ani czemu został zupełnie sam na świecie. Nie rozumiał jedynie, czemu siedzi przy budzie, zamiast biegać po łące z wywieszonym językiem, szczęśliwy i zmęczony, jak przystało na psa o myśliwskich przodkach.

Czekał... choć nie wiedział, że ten dziwny stan to czekanie właśnie. A gdyby nawet wiedział, to nie rozumiałby, na co tak czeka...

Joannie Tamickiej wystarczyło parę miesięcy małżeństwa, by zatęskniła za rodziną pełną i rozwojową, rodziną więcej niż dwuosobową. Zapragnęła mieć dziecko.

– Jestem już duża, mam prawie dwadzieścia jeden lat, mam męża i mam dostać mieszkanie. Chcę mieć też dziecko. I to jak najszybciej. Strasznie mnie ten instynkt macierzyński przypilił – zakomunikowała mężowi ostatniego dnia listopada. – Może dlatego, że jutro Wszystkich Świętych. To skłania do refleksji...

– Asiu, pomyliłaś październik z listopadem, dzisiaj są andrzejki... – zauważył łagodnie Maciej.

– Tak? – zdziwiła się nieuważnie Joanna. – A co ja powiedziałam?

Młody mężczyzna postanowił nie kontynuować tematu, bo w końcu by się okazało, że dzisiaj właściwie jest Wigilia. Niemniej życzenie zostało wyrażone. Ponieważ życzenia żony były dla Macieja Tamickiego rozkazem, od grudnia, na równi – a nawet ciut żarliwiej – ze staraniami o mieszkanie, podjęte zostały wysiłki o pozyskanie nowego członka społeczeństwa.

Próbowali. Starali się ze wszystkich sił. Rano i wieczorem. Przed i po południu. Na łóżku, dywanie i w łazience.

I nic.

Dostali mieszkanie, wprowadzili się, zaczęli urządzać...

Nic. Mijały tygodnie i nic.

Joanna nie pozostawiała sprawy ślepemu przypadkowi. Studiowała literaturę, mierzyła temperaturę, obserwowała się jak owada pod mikroskopem, nie żałowała męża i... nic. Maciej ze swej strony robił, co mógł. Czasami co prawda przemknęło mu przez głowę: gdzie tu romantyzm? Gdzie świece, dobre wino i koronkowe majteczki? Gdzie wspólnota dusz na gruncie fizycznym? Nie tak młody żonkoś wyobrażał sobie pełnię szczęścia małżeńskiego. Miało być intymnie, we własnym domku, przy nastrojowej muzyce... A tu co? Niekończący się obowiązek do spełniania. Jednak posłusznie krzesał z siebie resztki sił...

I nic. Dziecka jak nie było, tak nie było.

Oczywiście Joanna Tamicka zaczęła się martwić.

– Może nie możemy mieć dzieci? Może ja jestem niedrożna lub ty za mało żywotny?

– No, no, tylko bez świństw proszę! – obruszył się jej mąż.

– A jakby co, zaadoptowałbyś dziecko?

– Jezu, Aśka, nie popadaj w paranoję! Robimy tego dzieciaka dopiero od kilku miesięcy, może jeszcze nie nabraliśmy wprawy, co? W końcu płodzić to nie to samo, co kluski jeść.

– Niby tak... – zgodziła się smętnie Joanna. – A może byśmy sobie choć psa spraaawili... – Chlipnęła. – Miałabym kogoś do kochaniaaa! – Rozbeczała się.

– Masz mnie, żuczku – pocieszył ją wierny i oddany małżonek.

– Ale ty jesteś duży, a ja bym chciała mieć coś małegooo!

– Już dobrze, dobrze, dobrze, kupimy psa, tylko nie płacz.

Nie lubił kotów. Miały tu gorzej od niego, bo siedziały w klatkach, ale i tak ich nie lubił. Brzydko pachniały i były wredne. Zagonione w pułapkę nie umiały uznać psiego zwycięstwa. Drapały do krwi. Potrafiły nos rozszarpać pazurami, a co jest wart pies myśliwski bez nosa? Potrafiły oczy wydrapać, a na co komu ślepy stróż? Drogo sprzedawały swoją skórę; powinien je za to szanować, ale nie potrafił. Nawet w tym smutnym miejscu, w którym jednako psy i koty całymi dniami czekały, same nie wiedząc na co, nie umiał ich polubić. Instynkt był silniejszy. Nienawidził kotów!

Poznańskie Schronisko dla Zwierząt znajdowało się na uboczu, umieszczone wstydliwie za miastem, między wojskowym poligonem a świeżo powstałymi klubami nocnymi dla panów.

– Czy ty wiesz, że ja nigdy nie miałem psa? Rybki, szczura, papużki, hodowlę chomików, owszem – perorował podniecony Tamicki po drodze do Schroniska – ale... psa? Nigdy nie miałem psa, wiesz?

– Ja miałam – mruknęła Joanna. – Bez przerwy szczekał. Gryzł wszystko i wszystkich, aż raz przesadził i ugryzł rachitycznego syna sąsiadów. Oberwało mi się wtedy, jakbym to ja osobiście pogryzła tego smarkacza. Biegałam z Bobikiem do weterynarza, bo sąsiadka histeryzowała, że trzymamy wściekłe bydlę. Wściekły nie był, ale dowiedziałam się, że psy też chorują na głowę. I mama wydała go na wieś. Kiedy wróciłam z ferii, już go nie było... Pewnie miotał się przy budzie jakiś czas, póki nie zaszczekał się na śmierć, głupek jeden...

– Mój pies będzie normalny – zapewnił siebie i posmutniałą małżonkę Maciej. – Będzie równie normalny jak ty czy ja.

– Jasne – potaknęła Joanna, starając się wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu. – Choć wolałabym, żeby bardziej jak ty niż jak ja.

Miała na myśli preferowany wzór normalności. U psa, ale nie tylko...

Czasami ktoś przychodził. Człowiek. Czasami para. Czasami para z dzieckiem. Wtedy psy zaczynały szczekać i machać ogonami, a koty miauczeć i ocierać się o pręty klatki. To się nazywało wizyta.

– Wizyta, przyszła wizyta, może do mnie, może po mnie! – przekrzykiwały się zwierzęta i dalej łasić się, dopominać uwagi. Co za upadek! Polowczyk miał swój honor, miał swoją godność. On wiedział, co to znaczy biec, ile tchu w piersiach, krzyczeć z radości, ile szczeku w płucach. Znał swoją wartość. Nie zamierzał błagać...

Do czasu, gdy zobaczył kątem oka tę parę i zapomniał o wszystkim innym. Zerwał się na łapy. Oni są tam... a on tu! Może go nie widzą, może wcale do niego nie podejdą?! A przecież przyszli do niego. Na pewno. Właśnie do niego, po niego, to jego wizyta!

Gdyby to było możliwe, Tamiccy wzięliby do siebie wszystkie bezdomne psy i koty. Pewnie dlatego nie umieli się zdecydować. Obeszli całe Schronisko i stanęli bezradnie przed wejściem do biura.

– Może ten by się państwu spodobał? Młody, jeszcze nie ma roku, dopiero od paru tygodni jest u nas, zdrowy... – Niemłoda pani o łagodnym głosie i spokojnych ruchach, mówiąc, klepała po tłustym boku starego wyżła z jednym uchem i bliznami na szyi. – No, posuń się, Łata, nie pętaj się pod nogami. Stary jest i ślepy, za to żarłok jakich mało. Proszę za mną. Ktoś go przywiązał drutem do drzewa. Stąd blizny... O, tu jest ten psiak, o którym mówiłam, w tej budzie zaraz przy płocie. Trochę wystraszony, bo jeszcze się do nas nie przyzwyczaił. Przedtem biegał z żołnierzami po poligonie, tu zaraz za ulicą, ale musieli go oddać, bo jakiś oficer stwierdził, że poligon to nie miejsce dla zwierzaka, jeszcze go kula trafi. W schronisku będzie bezpieczniejszy, tak powiedział. No cóż, dobrze mu tam było z chłopcami, takie jak on lubią dużo biegać, ale kim ja w końcu jestem, żeby dyskutować z dowództwem. To co, podoba się państwu?

Przyglądali się psu. Czarny, z długim ogonem, którym machał zawzięcie, oklapłymi uszami, którymi próbował strzyc, kształtny i zgrabny, wypisz, wymaluj: polowczyk. Trafił im się nierasowy polowczyk. Spojrzeli na siebie.

– To chyba miłość od pierwszego wejrzenia – wyznał Maciej i kucnął przy psiaku. Podrapał go za uchem, a ten zaczął tak zamiatać ogonem, że aż trawę wyrywał.

Powiedzieli mu, że nazywa się Homek. Nie wiedział. Ale tak powiedzieli, więc im uwierzył.

– Pies. Prawdziwy pies! – cieszył się jego Pan. – To jest to. Własny dom, własna żona i własny pies. – Homek nie do końca rozumiał, co Pan mówi, ale skoro Pan się cieszył, więc i on się cieszył. Mało mu z tej radości ogon nie odpadł.

Pani była trochę jak kot na drzewie, który patrzy, obserwuje i nie wie, czy może i chce zaufać takiemu psu jak on, ale Pan go lubił i to było najważniejsze.

– Młody i głupi! – Pan się śmiał i targał go za uszy. Homek nie bardzo za tym przepadał, ale Panu pozwoliłby na wszystko. Pan kupił mu obrożę, smycz, dwie miski, sztuczną kość, grzebień i piłkę. Kąpał go i czesał. Mocował się z nim, gonił i bawił w chowanego. I chodził z nim na spacery, na łąkę za ulicą, gdzie spuszczał go ze smyczy i... Homek znowu czuł wiatr

w sierści i radość, gdzieś tam w środku, tak wielką, że skakał, biegał i tarzał się ze szczęścia.

– Ten pies znowu wytarzał się w jakimś świństwie. – Joanna zmarszczyła nos. – Śmierdzi na kilometr.

– Ty i te twoje zapachowe obsesje! – parsknął Maciej, bagatelizując sprawę, choć on też poczuł niemiły zapach zjełczałego sera. – Dobra, wykąpię go. Po raz drugi w tym tygodniu – zaznaczył.

– Będę bardzo obu panom wdzięczna.

Joanna uśmiechnęła się. W końcu pies to tylko pies, a Maciejowi wyraźnie służyła jego obecność. Od czasu jak Maciuś został głową rodziny, nieco się zapuścił (w sensie sportowym); dzięki Homkowi znów biegał, tym razem nie dla zdrowia, ale za spragnionym wolności polowczykiem. Poznawał, jaką przyjemność sprawia godzinka na dworze. Jakie to odprężenie, cóż za potężny haust świeżości przed snem i cóż za skuteczna walka z gnuśnością. Poza tym niezły powód do łażenia po błocie oraz łapania nieżytu górnych dróg oddechowych. Ale nie ma róży bez kolców.

Homek – z początku zwierz płochliwy, wręcz tchórzliwy – z czasem rozszczekał się i rozbrykał. Znajdował przewrotną uciechę w uciekaniu i myszkowaniu po śmietnikach. Nadal unikał innych psów i ludzi, ale okazało się, że uwielbia polować na myszy i koty. Nie potrafił z tego zrezygnować nawet dla swojego ukochanego Pana. Pewnie mu się wydawało, że Tamicki w głębi duszy wprost przepada za lataniem po krzakach i wykrotach. Ot, psia logika. Za to grzał w nocy, kochał bez żadnych warunków, uśmiechał się najpiękniejszym psim uśmiechem i nie wybrzydzał przy jedzeniu. Wyglądało, że Tamiccy zyskali nowego członka rodziny.

Potem rozkwitł maj i wszystko się zmieniło...

Godzina siódma rano. Maciej Tamicki (student czwartego roku polonistyki) spieszy się na egzamin z teorii literatury. Jego żona (studentka czwartego roku matematyki) w półśnie wysuwa kusząco nóżkę spod kołderki i szepce:

– Maciusiu, a co byś powiedział na chwilkę relaksu przed tym swoim egzaminem, co...?

Maciuś nic nie powiedział, tylko zdjął sweter, koszulę, ściągnął buty, spodnie i w trzy sekundy był z powrotem w łóżku. Homek patrzył i nie

rozumiał, ale Pan wyglądał na zadowolonego, Pani też, więc ułożył się w swoim ulubionym fotelu, zwinął w kłębek i zasnął.

Co do relaksu, Tamicki zrelaksował się aż za bardzo i oblał egzamin u profesora Ziomka. Jednak jego ofiara nie poszła na marne. Po trzech tygodniach żona, promieniejąc niczym gwiazda betlejemska, oznajmiła mu radosną nowinę:

– No to udało się. Opóźnia mi się już o tydzień! – krzyknęła i poruszyła znacząco brwiami. – Wiesz, co to znaczy... U mnie zawsze jak w zegarku, co do dnia!

– Jesteś w ciąży! Hurrraaa! – wrzasnął jej mąż. Złapał ją i uściskał. Podniósł do góry i okręcił z dzikim okrzykiem. – Uhu! Będziemy mieli dziecko, będziemy mieli dziecko! – Pies skakał wokół nich, szczekając głośno. – Będziemy mieli dzidziusia, Homek, cieszysz się?

Homek tak się cieszył, że poszedł wspólnie z Panem kupić kwiaty dla Pani, i ogórki kiszone, i jeszcze śledzia.

– To tak na wszelki wypadek, gdyby ją naszły zachcianki – wyjaśnił Pan.

Teraz we trójkę chodzili na spacery, żeby Pani wdychała tlen, mnóstwo tlenu, jak mówił Pan, i żeby nabierała kondycji, bo takie spacery to lepsze niż gimnastyka, a nawet zdrowsze. Homek z tych tłumaczeń zrozumiał tylko tyle, że Pani jest jakby chora i trzeba o nią dbać. Skoro trzeba, to trzeba. Homek wiedział, co robić. Całym sobą pokazywał, jak dba o Panią. Ogonem, uszami, językiem, czym tylko mógł. Dbałby o Panią jeszcze lepiej, gdyby tylko ten... ten Doktor mu w tym nie przeszkadzał! To na pewno był Doktor, pachniał jak Doktor. Jakże Homek nienawidził tego zapachu! Kojarzył mu się z ukłuciami, które bolały, i ze strachem, najgorszym z możliwych, choć sam nie wiedział, czego aż tak się boi. Pamiętał tylko, że czasami człowiek, który tak pachniał (Łata mówił, że to właśnie Doktor), zabierał jakiegoś psa albo kota i nie oddawał. To nie była wizyta; zabrane przez Doktora zwierzęta po prostu znikały, jakby ich nigdy nie było. Pytał Łaty, co się z nimi dzieje, ale Łata robił się wtedy jeszcze smutniejszy niż zwykle i mówił, że były już bardzo zmęczone i Doktor pomógł im zasnąć. Homek nie był tak mądry jak Łata, ale widział, że bardzo zmęczone robiły się zwierzęta stare, chore albo takie, do których nigdy nie przyszła żadna wizyta. Jak to dobrze, że on jest młody, zdrowy

i że Pan go znalazł! Ale nadal, gdy tylko poczuł znienawidzony zapach, skamlał ze strachu. Gdy Doktor przychodził do Państwa, Homek chował się pod wanną. Tam go na pewno nie znajdzie i nie każe mu spać, skoro Homek wcale nie miał na to ochoty!

Remigiusz, jako lekarz, był wrogiem numer jeden ssaków, ptaków oraz rybek. Swoje wiedział. Póki Aśka hasała sobie wolno, bez brzemienia moszczącego się w jej, za przeproszeniem, macicy – milczał, ale kiedy okazało się, że jest w tej swojej ciąży... O, to zupełnie co innego!

– Nie ma mowy o psie i niemowlęciu pod jednym dachem – oświadczył kategorycznie. – Nie biorę żadnej odpowiedzialności, jeżeli ten pies tu zostanie.

Dzieciaki oczywiście uparły się jak kozy. Zachowywali się lekkomyślnie, głupio i bez wyobraźni. Po prostu nie mieli pojęcia, że taki pies to istna wylęgarnia chorób, pasożytów i zarazków. Mógłby im wyliczać całymi godzinami, ale zaparli się jak tępe osły!

Grażynkę przekonał w tydzień. Z początku dowodziła, że nawet w domach dziecka pozwalają trzymać zwierzęta; coś bąkała o psychologicznych aspektach, o nauce odpowiedzialności, o zbawiennym wpływie zwierząt na psychikę dziecka. Dziecka może, ale nie niemowlaka! Wystarczyło, że pokazał jej ulotki o alergiach, gronkowcach, szczególnie zaś o tasiemcach, żeby już nie wspominała o tych psychologicznych głupotach.

Dzieciakom również podrzucił ulotki z przychodni, ale okazali się bardziej odporni, a raczej bezmyślni. Ledwie rzucili okiem na tekst i pouczające obrazki.

– Rozmawialiśmy z weterynarzem. Powiedział, że owszem, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, ale jest tak nikłe, że nie ma potrzeby się przejmować. – Maciej wzruszył ramionami. – Wystarczy psa regularnie odrobaczać.

– Konował – skomentował Remigiusz. – Co on tam wie, to nie do niego przychodzą ludzie z egzemą odzwierzęcą.

– Otóż właśnie. Patrzysz na to ze złej perspektywy. Chorobowej – wtrąciła swoje Aśka. – Nie przychodzą do ciebie zdrowi ludzie, tylko już chorzy. I nie daj Boże, żeby byli chorzy z powodu jakiegoś zwierzaka! Ale jeżeli ma cię to uspokoić, obiecujemy, że przebadamy Homka dokładnie i...

– Ten pies ma stąd zniknąć! Nic innego nie wchodzi w rachubę. Powiedziałem! – uciął dyskusję Remigiusz Grzelak.

Ale ostatniego słowa jeszcze nie powiedział.

Kiedy przyszli po dwóch tygodniach, zaraz od drzwi zapytał:

– Czy ten pies jeszcze tu jest?

– Remik, no co ty tak od wejścia, jak rany, może chociaż usiądź... – uspokajała go żona.

– Bo jak jest, to ja wychodzę! – Remigiusz nie dał się uspokoić.

Maciej ukrył uśmiech rozbawienia; Aśka uniosła buńczucznie podbródek.

– To idź. To jest mój pies, mój brzuch i moja wina, jakby co! – wyrzuciła z siebie ze złością. Remigiusz zdążył już na tyle poznać swoją pasierbicę, że czasami aż się dziwił, że to nie jego rodzona córka. Była równie bezkompromisowa, wybuchowa i uparta jak on. Ale była jeszcze młoda, bardzo młoda...

Bez słowa rzucił im na stół wycinki z gazet na temat pogryzionych, a nawet zagryzionych przez psy dzieci; przez bezpańskie, zdziczałe psiska, ale także przez domowych ulubieńców, dotąd cichych i spokojnych. Zwrócił im też uwagę, że psie ugryzienia goją się długo i trudno.

– Takie rany całymi miesiącami potrafią się babrać i prawie zawsze zostają po nich blizny.

– Ale Homek nikogo nie ugryzie! – zaprotestował gwałtownie Tamicki. – On się boi własnego cienia.

– Do czasu – prorokował ponuro Remigiusz. – Grażyna, wychodzimy. Póki nie zmądrzeją, nie gadaj z nimi.

Kiedy wyszli, Tamiccy spojrzeli po sobie, nie bardzo wiedząc, co myśleć. Remigiusz był tak święcie przekonany, że ma rację i tak w tym przekonaniu irytujący, że aż mu się chciało na złość zrobić. Z drugiej strony osiągnął, co zamierzał. Joanna nadrabiała miną, ale odruchowo przyłożyła rękę do płaskiego jeszcze brzucha.

– Chyba nas nie wyklnie z powodu psa, co? I nie porzuci wnuka na pastwę poradni osiedlowej...

– Straszy nas i tyle – pocieszał Maciej, ale i w nim zakiełkowało ziarno niepokoju.

Homek czuł, że coś jest nie tak, że Pan się martwi. Może o Panią? Ostatnio byle szczeknięcie, a podskakiwała jak wystraszona mysz. Tak, na pewno chodziło o Panią. Zwłaszcza po wizytach tego Doktora złościła się o byle co. O to że Pan się spóźnił albo czegoś zapomniał zrobić, o to że Homek buty potarmosił albo szczekał w nocy pod drzwiami. Dzisiaj nakrzyczała na niego, bo pogryzł jakąś tam książkę! Książka była stara i śmierdziała myszami, o co tyle krzyku? A w nocy szczekał, bo ktoś chodził pod drzwiami. Przecież dobry pies musi pilnować domu. Jak mogła mieć o to do niego pretensję? Jednak miała i robiła się coraz bardziej kocia. Ostrożna, nieufna, nieprzewidywalna, wredna... Nawet kaszy ze słoniną już mu nie szykowała, bo zaraz jej się niedobrze robiło. A gdy się drapał, wpadała w istny szał; prychała i syczała jak dzika kotka.

– On ma pchły! Słyszysz? Znowu ma pchły! Kiedy Remigiusz się o tym dowie, zastrzeli najpierw jego, a potem nas pozbawi praw rodzicielskich, zanim w ogóle coś się urodzi. Zrób coś z tym, słyszysz?! Zrób!

Przecież to normalne, że pies ma pchły. Ale Pani wciąż zmuszała Pana, żeby go kąpał w tej śmierdzącej pianie. Na szczęście na dworze od razu mógł się wytarzać w trawie. Szkoda, jaka szkoda, że Pani tak bardzo się rozchorowała. Nic już nie było takie jak przedtem. I Pan się martwił coraz bardziej...

Tymczasem Remigiusz Grzelak nie próżnował.

– Wiecie, co to jest bąblowica? – zapytał pod koniec sierpnia, zamiast zacząć od tradycyjnego „Czy ten pies wciąż tu jest?”.

Tamiccy nie wiedzieli i prawdę powiedziawszy, woleli się nie dowiadywać.

– To rodzaj tasiemczycy. Żywicielem ostatecznym jest pies, żywicielem pośrednim między innymi człowiek. Jajeczka tasiemca wydalane są z kałem psa. Zakażenie nimi odbywa się drogą doustną. Z jajeczek wylęgają się larwy, które wędrują i osiadają w różnych narządach wewnętrznych, zwykle w wątrobie, płucach, rzadziej w mózgu; tam przeobrażają się w bąbel, który rośnie, i to znacznie, powodując ucisk i działając toksycznie...

– Remigiusz, po co mi o tym mówisz? – zdenerwowała się Joanna. – Jestem w ciąży. Brzydzi mnie wszystko: słonina, surowe mięso, katar, a zwłaszcza robaki! Byłabym wdzięczna, gdybyś o nich nie rozprawiał.

– Przebieg bąblowicy – kontynuował Remigiusz, nie zmieniając tempa ani tonu wypowiedzi, jakby cytował definicję z encyklopedii – zależy od umiejscowienia bąbla, ale na ogół jest bardzo ciężki. Prawie zawsze konieczna jest operacja. Mówię wam o tym, bo tydzień temu dowiedziałam się o naprawdę ciężkim przypadku. Chłopiec, trzy lata. Jego rodzice mieli żniwa na głowie i zanim się zorientowali, że coś jest nie tak, było już bardzo źle. Guzy mózgu, ropień wątroby. Dzieciak przeszedł już dwie operację, ale wciąż nie wiadomo, czy z tego wyjdzie, a nawet jak wyjdzie... – Remigiusz pokręcił głową. – Wszelkie uszkodzenia mózgu to zawsze poważna sprawa.

Doktor Grzelak skończył swój wywód, a cisza, jaka potem zapadła, była jak cisza po wystrzale.

– Dlaczego ty nam to robisz, Remigiusz, powiedz mi? – Joanna z trudem nad sobą panowała. – Dobrze wiesz, że Homek nie ma żadnego tasiemca, a jednak przychodzisz tu i nas straszysz. Gorzej, ty nas szantażujesz!

– Ja was tylko ostrzegam.

– Więc uznaj, że zostaliśmy ostrzeżeni, i odpuść sobie!

Wychodząc, pani Grażyna przytuliła córkę.

– Remigiusz naprawdę chce dobrze. Martwi się. Może powinniście się jeszcze zastanowić...

– Misiu, błagam! Dlaczego inni ludzie mogą mieć i psa, i dziecko, a ja muszę wybierać, bo twój mąż jest lekarzem?

– Jeszcze kiedyś będziesz się cieszyć, że nim jest, córcia. Teraz nie denerwuj się. Wiem, że wszystko będzie dobrze, a wy postąpicie tak... jak uznacie za słuszne.

Grażyna Grzelak była sprytniejsza od męża, zaś w kwestiach szantażu emocjonalnego nie miała sobie równych. Ledwie się za nią drzwi zamknęły, Joanna zaczęła się zastanawiać, co tak naprawdę mama chciała jej powiedzieć...

Jakby mało było zmartwień, ciąża przebiegała z komplikacjami. Mdłości i zasłabnięcia w piątym miesiącu nie wydawały się groźne, ale brzuch twardy jak kamień wzbudził niepokój ginekologa. Zapisał Joannie Tamickiej masę tabletek i nakazał na siebie uważać, najlepiej w ogóle nie wychodzić z domu.

– Ależ ja studiuję! Mam zajęcia, wykłady, kolokwia, w zimie sesję...

– Mniej więcej wiem, jak się studiuje – przerwał te wyliczanki lekarz. – I proszę bardzo, niech sobie pani studiuje, ale... ostrożnie.

Joanna zrezygnowała z wykładów (koleżanki donosiły jej notatki) i chodziła tylko na ćwiczenia. Nie podnosiła ciężkich rzeczy i nie przemęczała się. Starała się też nie denerwować, co w jej obecnym stanie i przy ogólnym podejściu do życia było prawie niemożliwe. Drażniło ją niemal wszystko. Kurz na przykład.

– No co ja mu zrobiłam, że uparł się osiadać akurat u mnie?! – irytowała się, kiedy dwa dni po wytarciu wszystkich narażonych na osiadanie powierzchni, kurz pojawiał się znowu. – Czy ja wyglądam na Syzyfa? Za jakie grzechy, ja się pytam...

– Nie bierz tego tak do siebie, skarbeńku. To wszystko dlatego – tłumaczył niezawodny w takich sprawach małżonek – że blok jest nowy i farba się sypie.

– Ja biorę wszystko do siebie! Wyjaśnijmy to sobie, skarbeńku, raz na zawsze – ustaliła szczegóły dalszego pożycia Joanna. – A to... – rozpostarła ręce dramatycznym gestem – to dlatego, że my nic nie mamy! Nic albo prawie nic, prócz kurzu oczywiście. Gdybyśmy coś mieli, kurz rozkładałby się równomiernie, a tak jak siądzie na jednym stole zamiast na pięciu, to bardziej go widać.

– Chciałabyś mieć pięć stołów? – zdumiał się Maciej, którego pokrętna żonina logika zbiła z tropu.

– Nie! – warknęła żonka w odpowiedzi. – Ale choć jeden regał by się przydał. Może wtedy Homek nie dobierałby się do książek, które jak dusze potępione pokutują w kartonach. – Młoda kobieta obdarzyła niechętnym spojrzeniem polowczyka, który właśnie drzemał na jednym z kartonów. – Tobie pogryzł jakąś głupią książkę o szachach, do tego po rosyjsku, a mi zeżarł *Anię na Uniwersytecie*. Ta książka należała jeszcze do mojej babci, a on ją pogryzł na amen. Normalnie zeżarł moją ukochaną *Anię*! On mi robi na złość i tyle. Ze spacerami jest to samo. Gdy idzie na smyczy, mało mi ręki nie wyrwie, a gdy go spuszczę, to potem godzinę za nim biegam. Co będzie, kiedy już się coś urodzi? Jak ty mnie sobie wyobrażasz z wózkiem, zakupami i wyrywającym się Homkiem? – Szczerze, Tamicki w ogóle sobie tego nie wyobrażał, ale przezornie się nie odzywał. – Jeżeli mam się nie denerwować, musisz mu wytłumaczyć, nauczyć, sama nie wiem... – Wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, kochanie – potulnie zgodził się małżonek. – Wytłumaczę. Poradzimy sobie. On jest jeszcze młody i dlatego głupi, ale mu przejdzie. Na pewno. Na razie ja będę z nim wychodził. Tylko się nie denerwuj.

Homek był zadowolony. Pani wreszcie przestała z nim wychodzić na spacery i bardzo dobrze. Ledwie wyszła z domu, zaraz chciała wracać. Nie, żeby nie lubił Pani, tylko ta jej choroba wszystko psuła. Homek starał się nią opiekować, ale jakoś nie zdrowiała. Chyba nawet jej się pogarszało. Wciąż była zmęczona i śpiąca. A jak kiedyś ten Doktor zabierze ją i nie odda? No, co wtedy? Pan się zamartwi! Homek postanowił, że następnym razem, kiedy Doktor przyjdzie, nie schowa się pod wanną. Będzie pilnował Pani, nie spuści z niej oka, nie pozwoli jej zabrać. Znał swoje obowiązki. Jak każdy porządny pies.

– Jak widzę, ten pies wciąż tu jest – doktor Grzelak stwierdził fakt. – No, nie powiem, ładny z niego psiak, ale i tak musicie coś z nim zrobić.

Joanna nie zareagowała na tę prowokację. Nie zmierzała wdawać się w jałowe dyskusje. Obiecała sobie i mężowi, że nie będzie się denerwować, więc się nie zdenerwuje. Bez względu na to, co powie czy zrobi Remigiusz, będzie sobie siedziała spokojnie w fotelu i dziergała na drutach sweterek dla dziecka.

Remigiusz z kolei przeprowadzał typową dla siebie inspekcję. Przejechał palcem po zakurzonym telewizorze, zmarszczył brwi na widok kartonów z książkami pod stołem. Zerknął na pasierbicę – cierpliwie liczyła oczka. Pomaszerował do kuchni. Niepozmywane naczynia i okruchy na stole skwitował cmoknięciem. Zajrzał do łazienki. „Ciekawe, czy nim umrę, zobaczę tu kafelki?” – pomyślał i wrócił do dużego pokoju. Aśka nawet na niego nie spojrzała, tylko sięgnęła po nowy motek włóczki. U jej stóp warował pies. Nie ruszył się od niej na krok. Dziwne... Z reguły, kiedy odwiedzał dzieciaki, zwierzak zaraz gdzieś się chował; jakby instynktownie wyczuwał jego niechęć. Osobiście nie miał nic do tego, jak mu tam, Homka, po prostu nie ten czas, nie to miejsce. Nawet żal mu było stworzenia, ale pewne sytuacje wymagają trudnych decyzji. Dzieciaki w końcu zrozumieją.

– Jak on się wabi... Homek? – zapytał dziwnie milczącą pasierbicę. Zazwyczaj gadała jak najęta. Teraz tylko siedziała i robiła na drutach; nie

miał pojęcia, że w ogóle umie dziergać. – Co on cię tak pilnuje?

– Może boi się, że chcesz mi zrobić krzywdę – mruknęła. – Zwierzęta wyczuwają takie rzeczy.

– Głupoty. – Remigiusz pochylił się w stronę Homka. Wyciągnął rękę, żeby go poklepać. Pies warknął ostrzegawczo.

– Nie lubi mnie czy co? – zirytował się.

– Dziwisz mu się?

– Dobra, dosyć tego. Kiedy zamierzacie go oddać? Pogadam w przychodni, może ktoś by reflektował.

– Daruj sobie. On już ma dom.

Nienaturalny spokój Aśki zaczął działać mu na nerwy.

– Jesteś nieodpowiedzialna. Narażasz dziecko.

– Wiesz co, obejrzałeś mnie sobie, zlustrowałeś mieszkanie, nastraszyłeś Homka, może starczy jak na jeden raz?

– On tu nie może zostać. – Remigiusz zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Homek śledził czujnie jego kroki. – Upierasz się, bo jesteś wariatka. I nie umiesz przyznać się do błędu. A ja powtarzam po raz setny, że nie biorę żadnej odpowiedzialności, jeżeli ten pies tu zostanie. Bądź rozsądna.

– Właśnie jestem.

Remigiusz nie znał poczucia bezradności, ale teraz było mu ono bliższe niż kiedykolwiek. Pokręcił głową z dezaprobatą, na koniec wzruszył ramionami.

– Daj, zmierzę ci ciśnienie, zanim wyjdę. – Doktor Grzelak otworzył torbę i wyciągnął aparat do mierzenia ciśnienia.

Znienawidzony zapach medykamentów postawił Homka na nogi. Wyczuł niebezpieczeństwo. Doktor sięgnął po rękę Pani... Wtedy polowczyk nie wytrzymał i zaatakował, łapiąc wroga za nogawkę spodni.

– Homek! Puść, ale już! – krzyknęła Tamicka. Jej spokój prysł.

– Widziałaś, widziałaś co ten pieprznięty pies zrobił? Ugryzł mnie! Nie mówiłem, czy ja nie mówiłem?!

– Ugryzł cię w spodnie, nie przesadzaj, nic ci nie jest! – broniła psa mocno zdenerwowana Joanna. – Pewnie myślał, że chcesz mi coś zrobić.

– Psy nie myślą! One stanowią zagrożenie. Daję wam tydzień, żeby się go pozbyć, a potem zaczynam działać.

Remigiusz spakował torbę i wyszedł.

– Coś ty narobił? – jęknęła młoda kobieta, patrząc w ufne psie oczy. – No, coś ty narobił? – powtórzyła i zaczęła płakać.

Obronił Panią! Homek był z siebie bardzo dumny. Doktor wyniósł się z domu. Homek mu pokazał, co o nim myśli. I wcale się go nie bał! Ale Pani nie wyglądała na zadowoloną. Zamiast go pochwalić, krzyczała i płakała. Co gorsza, Pan też się zmartwił. Bardzo, bardziej niż zwykle. Nawet nie mógł z tego zmartwienia zasnąć. W nocy przyszedł do niego, wtulił twarz w jego futro i coś szeptał... coś, że nie odda, że nie pozwoli... i był smutny, taki smutny... Homek myślał dotąd, że najsmutniejszym stworzeniem na świecie jest Łata. Łata bez ucha, za to z bliznami na szyi.

Obiecał sobie wtedy, że zrobi wszystko, aby pocieszyć Pana. Chciał, żeby było jak dawniej, zanim Pani zachorowała. Pan musi zapomnieć o swoich kłopotach. Homek już wiedział, jak się do tego zabrać. Pan po prostu musi się wybiegać. Pomagało jemu, Homkowi, czemu nie miałoby pomóc Panu? Pobiegają sobie, zapolują, pogonią kota, komu się da. Fajnie będzie.

Tamicki przestał rozumieć swojego psa. Polowczyk dziczał z dnia na dzień. Jakby się wściekł, jakby zupełnie nie rozumiał sytuacji! Nieszczęsny właściciel odnosił czasami wrażenie, że Homek zwyczajnie robi mu na przekór z całym tym uciekaniem, chowaniem się, kopaniem dziur i ganianiem za kotami. Innych psów też już się nie bał. Nie bał się ich do tego stopnia, że atakował każdego, jakiego zobaczył. „Przecież to jeszcze szczeniak – tłumaczył sobie Tamicki – na pewno da się go wytresować. Na pewno”.

Próbował, wciąż i wciąż.

Niestety robiło się coraz gorzej. O pewnych rzeczach nie mówił żonie. Miała dość kłopotów z własnym ciałem i hormonami buzującymi w niej jak ogień w piecu. Z jej psyche też nie było najlepiej; byle drobiazg wyprowadzał ją z równowagi. Dlatego zachował dla siebie fakt, że Homek go ugryzł. Niechcący, kiedy próbował odciągnąć go od jakiegoś pudla; potem polowczyk przepraszał, kajał się, niemniej – ugryzł go. Mocno. Dobrze chociaż, że zrobiło się chłodno i mógł ukryć ślad ugryzienia pod długim rękawem. Ale pewnych rzeczy nie mógł ukrywać.

– Asiu, tylko się nie denerwuj...

– Boże, co się znowu stało?! – Joanna Tamicka natychmiast się zdenerwowała.

– Homek ma robaki.

– Pchły? Przecież go kąpałeś jakieś dwa dni temu...

– Nie, nie pchły. Robaki, te białe, w kupie, widziałem...

Joanna nie zdążyła do łazienki i zwymiotowała obiad do zlewu.

– I co my zrobimy? – Jęknęła, ocierając usta. – Wciąż go odrobaczamy, a on wciąż coś łapie. Wiesz, jak się brzydzę robactwa, och...! – Znowu pochyliła się nad zlewem. – Co zrobimy?

– Nie wiem, ale Remigiusz nie może się o niczym dowiedzieć.

Aż przyszło najgorsze...

Tamicki od czterdziestu minut uganiał się za Homkiem. Marzył o gorącej kąpieli i lampce winiaku. Polowczyk miał inne plany. Był czymś wyjątkowo zaaferowany. Nie dawał się odgonić od rur, prętów i potrzaskanych płyt żelbetowych zalegających za blokiem numer dwa. Ciągle czegoś szukał, biegał z nosem przy ziemi, obwąchiwał każdą dziurę, poszczekiwał nerwowo. Nagle Tamicki zauważył kota. No tak, Homek polował na wroga. Mógł się domyślić.

Tyle że kot zachowywał się dziwnie. Nie krył się, nie uciekał, wręcz przeciwnie; jakby mu zależało, żeby Homek go wytropił i ruszył za nim w pogoń. Jakby odciągał psa od... Zanim mężczyzna pojął, że to nie kot, a kotka, było za późno. Polowczyk znalazł, czego szukał, i zaszczekał triumfalnie.

– Homek, nie! – wrzasnął Tamicki. – Zostaw, nie rusz! – Pies nie usłuchał. Do mężczyzny dotarło rozpaczliwe miauczenie, warczenie, przejmujący pisk i... cisza.

Znalazł go stojącego ze zjeżoną sierścią nad zagryzionym trupkiem małego kotka; z podrapanego nosa i pyska kapała krew. Widać malec próbował się bronić, ale nie dał rady. Był za mały. Wtedy po raz pierwszy i ostatni Maciej Tamicki zbił swojego psa smyczą.

– Coś ty zrobił, coś ty najlepszego zrobił?!

Homek nic nie rozumiał. Już kompletnie nic nie rozumiał! Polowanie się udało. Pan powinien być zadowolony, powinien pochwalić Homka... a Pan go zbił. Nigdy przedtem go nie bił. Dlaczego teraz? Bolało. Ale jeszcze

bardziej bolało tam w środku, tam gdzie zwykle czuł radość, gdy biegał, i szczęście, gdy Pan się z nim bawił. Teraz czuł tam strach. Gorszy niż przed Doktorem. Zrobił coś złego, coś bardzo złego, ale zupełnie nie wiedział co.

Jednego był pewny – Pani nie może się o niczym dowiedzieć. Skoro Pan się tak rozzłościł, to co dopiero Pani! „Nic jej nie powiemy – przekonywał Pana, skomląc i łaszcząc się – po co ją denerwować". Ale nic to nie dało. Ledwie weszli do domu, ledwie Pani na nich spojrzała...

– Co się stało? – krzyknęła. – Obaj wyglądacie jak przestępcy. Co się znowu stało?

Musieli jej o wszystkim opowiedzieć. Musieli. Pan mówił cichym głosem, a gdy skończył, Pani zaczęła płakać i długo nie mogła przestać.

– A niemowlę? – zapytała ze szlochem w głosie. – Jak sobie poradzimy z niemowlakiem, skoro nie umiemy sobie poradzić z psem? Powiedz mi: jak? Może jesteśmy za młodzi na rodziców? Może w ogóle nie nadajemy się na opiekunów jakiegokolwiek żywego stworzenia, ani psa, ani kota, ani tym bardziej dziecka? Może mama i Remigiusz mają rację...?

Homek patrzył to na Pana, to na Panią. Byli zmartwieni, zdenerwowani i rozmawiali o nim. Czuł, że o nim rozmawiają. Tulił uszy i machał pojednawczo ogonem. „Będę grzeczny" – obiecywał, liżąc Pana po ręce. Ale kiedy Pan zajrzał mu w oczy, Homek aż zadrżał. Nigdy nie były takie ciemne i takie smutne. Wyczuł, że Pan ma problem, że musi podjąć jakąś trudną decyzję, taką, jakiej jeszcze nigdy nie musiał podejmować. Homek poczuł lęk w sercu. Lęk tak wielki, że pożałował, iż w ogóle ma serce.

Tamicki poddał się na całej linii. Nie umiał poradzić sobie z osłabioną łzami i hormonami żoną, nieznośnym Homkiem i snującym tragiczne wizje Remigiuszem na dokładkę. Był tylko człowiekiem. Młodym, dwudziestodwuletnim mężczyzną, niezbyt doświadczonym w roli męża, właściciela psa i dorosłego człowieka.

Zaczął szukać nowego domu dla polowczyka. Zaczął pytać, przekonywać, prosić... Niewiele wskórał. Jedni już mieli zwierzaka, drudzy nie mieli warunków, a jeszcze inni nie chcieli brać sobie na głowę kłopotu. Trzeba uczciwie powiedzieć, że doktor Grzelak też próbował pomóc. Pytał znajomych, dowiadywał się wśród swoich pacjentów, ale chyba łatwiej by

mu przyszło sprzedać samolot, niż oddać komuś za darmo zdrowego, zaszczepionego psa ze smyczą, obrożą i własną miską.

Pojechali nawet na psią giełdę. Wymarzli przez dwie godziny i nic. Korpulentna pani z dzieckiem parę razy wracała do Homka, ale w końcu uznała, że jednak wolałaby szczeniaczka. Żylasty rolnik szukał silnego, młodego psa; Homek mu się podobał, ale kiedy spróbował go poklepać, polowczyk stulił ogon i schował się za Tamickim.

– Nawet za darmo takiego tchórza nie wezmę! – prychnął pogardliwie.

Na sam koniec podszedł do nich lekko podpity facet, który od jakiegoś czasu krążył w pobliżu.

– Dobra jest, biorę go. Wygląda na silnego i zdrowego. Będzie ze mną stróżował. Nudno tak samemu. Budę się mu jakąś zrobi, kość czasem rzuci. Jak będzie pyskował, to mu przyłożę, ale jak się będzie słuchał, to na żarcie zarobi.

– Zarobi, niby jak? – zapytał podejrzliwie Remigiusz Grzelak.

– Pewnie, że nie w fabryce! – Czerwony na twarzy facet aż zatoczył się ze śmiechu. – Skup złomu prowadzę. Stróżować będzie ze mną, czasem wózek z żelastwem pociągnie. To ile za niego chcecie? Ale ostrzegam, dużo ze mnie nie wyciągniecie.

Doktor zmierzył mężczyznę niechętnym wzrokiem. Nie podobał mu się.

– Wracamy. Maciuś, zbieraj się. – Klepnął zięcia po ramieniu.

– Co z Homkiem? – zapytał cicho Tamicki.

– Wraca z nami. Nie dam psa na zmarnowania takiemu jak ten tu... cwaniaczkowi. – Wskazał brodą podchmielonego stróża

Wrócili; problem razem z nimi. Czas mijał, a oni nie mogli znaleźć nowego domu dla Homka. W końcu Tamiccy musieli spojrzeć prawdzie w oczy...

Którejś mroźnej listopadowej niedzieli Maciej Tamicki spakował rzeczy swojego psa. Pieczołowicie układał w plastikowej siatce dwie miski, sztuczną kość, kocyk, grzebień, dwie piłki i pluszowego bałwanka – ulubioną zabawkę Homka. Potem założył psu obrożę i zapiął smycz.

– Jestem gotowy – powiedział.

– To jedziemy – mruknął Remigiusz. – Gdzie Aśka, nie pożegna się?

– Schowała się w łazience – usłyszał odpowiedź i pożałował, że zapytał.

Kiedy dojechali na miejsce, przez parę minut Maciej Tamicki nie ruszał się z miejsca.

– Mam to zrobić za ciebie? – Remigiusz nie należał do osób subtelnych, ale w obecnej sytuacji nawet on nie czuł się zbyt zręcznie. – Jeżeli chcesz...

– Nie. Ja sam – odparł Maciej i wysiadł z wartburga. Potem gwizdnął i zabrał swojego psa na ostatni wspólny spacer. Kilkadziesiąt metrów zaledwie, ale z każdym kolejnym krokiem miał wrażenie, jakby pokonywał całe kilometry drogi... Siatka mu ciążyła. Homek niczego nie podejrzewał. Chyba. Tamicki nie potrafił spojrzeć mu w oczy. Podobnie jak niemłodej już pani o łagodnym głosie i spokojnych ruchach, która odebrała z jego rąk smycz. Próbował wytłumaczyć, dlaczego to robi, ale głos mu się łamał i w końcu rozpłakał się jak dziecko.

– Rozumiem, tak bywa. Niech się pan nie przejmuje tak bardzo. Pies jest młody, zdrowy, odchowany, podtuczony przez te pół roku, gdy był u państwa. Szybko znajdzie nowych właścicieli. Niech pan idzie, zajmę się nim. Nie damy mu zrobić krzywdy, prawda, Łata... – Wyżeł wysunął łeb, poruszył nosem, potem trącił Homka w przywitaniu, a ten polizał go w odpowiedzi. – Widzi pan, pamiętają się, no, niech pan idzie, znajdę mu kogoś dobrego.

Maciej Tamicki odszedł, starszy o kilka lat.

Gdy już siedział w samochodzie, gdy już się trochę uspokoił, łudząc samego siebie, że Homek wrócił tu jakby do domu rodzinnego, że nie będzie tęsknił... doleciało go rozpaczliwe, przejmujące wycie.

Łzy zalały mu twarz. Płakał i nie mógł się opanować. Zażenowany doktor Grzelak odwrócił oczy i podał mu chusteczkę.

– Masz, wysmarkaj się. Nie płacz. Tak trzeba było. Bądź mężczyzną.

Co sobie wtedy Maciej Tamicki pomyślał i ile jeszcze w ciągu następnych dni się napłakał, niech pozostanie na zawsze jego tajemnicą. Prawdziwy mężczyzna nigdy nie płacze, co? Bzdura. Nie płaczą tylko ludzie chorzy na oczy. Ci, co patrzą, a nie widzą.

Młody czarny polowczyk grzał się w słońcu. Listopad miał akurat dobry humor i wplótł trochę lata między deszcze, wiatry i przymrozki. Ale pies nie pytał, czemu słońce świeci ani czemu został zupełnie sam na świecie. Nie rozumiał, czemu siedzi przy budzie, zamiast biegać po łące z wywieszonym językiem, szczęśliwy i zmęczony, jak przystało na psa

o myśliwskich przodkach. Nie rozumiał też, gdzie się podział Pan, czemu tak długo nie przychodzi, czemu nie zabiera go z powrotem do domu. Nabroił, ale to nie jego wina. Instynkt to instynkt. Pan jest mądry, mądrzejszy nawet niż Łata, zrozumie. Na pewno.

Tęsknił... Choć nie wiedział, że ten dziwny stan, to tęsknota właśnie. A nawet gdyby wiedział... Ale przecież wiedział, w głębi swojego psiego serca widział, za czym i za kim tęskni.

ROZDZIAŁ CZWARTY
czyli długie opowiadanie bez końca.

RODZIMY...?

„Ciąża, dzięki Bogu, nie jest stanem permanentnym – pocieszała się Joanna Tamicka, gładząc swój pokaźny brzuszek. – No i mam szczęście, że nie jestem słonicą. Dwa lata w ciąży...”.

Tamiccy istotnie mieli szczęście. W ciążę udało im się zajść już po pół roku intensywnych, pełnych poświęcenia prób w tym względzie. Gdy zaś po czterech miesiącach pojawiły się nieregularne skurcze, grożące przedwczesnym porodem, udało się je względnie powstrzymać zestawem różnokolorowych pigułeczek (isoptin, relanium i coś na „f”), zażywanych regularnie co cztery godziny. W efekcie Joanna zaczęła przesypiać całe dnie; była to naturalna reakcja u osoby, która do tej pory relanium znała jedynie z nazwy. Reakcja tyleż naturalna, co wygodna; bo kto śpi, ten miewa piękne sny, na przykład o tym, że znowu jest normalnych rozmiarów i w niczym nie przypomina wieloryba.

Joanna przytyła raptem marnych dziewięć kilo, choć mogła więcej, biorąc pod uwagę jej apetyt. Co do innych dolegliwości, nogi puchły jej tylko wtedy, gdy chodziła dalej niż do sklepu spożywczego, skurcze łydek łapały ją zaledwie dwa razy dziennie, i to głównie w nocy, a nudności i zawroty głowy skończyły się jakiś miesiąc temu. Jednak pomimo tylu sprzyjających okoliczności po siedmiu miesiącach brzemienności Joanna Tamicka miała dosyć. Miała dosyć swojej błogosławionej nieporadności, swojego napęczniałego ciała, bolącego kręgosłupa, ciągłych wycieczek do ubikacji; przede wszystkim jednak miała po dziurki w nosie swojego ogromnego brzucha, który zupełnie ignorując pigułki, dalej się kurczył, zagrażał i wciąż kazał na siebie uważać, a w połowie ósmego miesiąca zwyczajnie się zbuntował.

Czwarta rano. Joanna złapała męża za ramię i ścisnęła.

– Maciej, Maciej!

– Co, co? – Nieprzytomny Tamicki zerwał się i zamrugał powiekami. – Znowu skurcz, zaraz... – Począł wygrzebywać się z pościeli. – Zaraz, kochanie, zaraz, która łydka? Zaraz rozmasujemy...

– Nie, nie to! – zniecierpliwiła się jego żona. – Zaczęło się!

– Co, co?

– No, to, to!

– Ach, to, to. I co teraz?

– Teraz wstawaj i leć dzwonić po Remigiusza.

Pierwsze pytanie Remigiusza brzmiało:

– Skurcze są?

– Są.

– Wody odeszły?

– Nie.

– No to się nie denerwuj, zaraz będziemy.

Pani Grażyna – potargana i przejęta, w koszuli nocnej, na którą w biegu narzuciła płaszcz – przesiedziała trzy godziny przy łóżku swojej córki, trzymając ją za rękę, licząc czas między skurczami i obiecując, że wszystko będzie dobrze. Remigiusz podtrzymywał na duchu Maćka, serwując mu relanium Asieńki i zapewniając, że nie ma się czym przejmować.

Dotrwali tak do świtu; o wpół do ósmej rano pojechali na Lutycką, mając nadzieję, że znajomy lekarz ginekolog już będzie.

Był.

Zbadał i wziął na oddział.

Nim jednak Joanna dotarła na ów oddział, musiała przebrnąć przez rejestrację, pokój przyjęć, dziesiątki pytań, przebieranie, golenie i spędzić godzinę na korytarzu czwartego piętra, gdzie kazano jej czekać. Zafundowano jej długą, nerwową godzinę na zimnym, wietrznym korytarzu porodówki wśród jęków, zawodzeń i bieganiny. Kazano, więc siedziała. Siedziała na twardej ławeczce i umierała ze strachu. Że jest w ciąży, i to po raz pierwszy, że ma skurcze, że jest sama i zaraz urodzi dziecko, tu, pod ścianą, na korytarzu, sześć tygodni przed terminem i nikt tego nawet nie zauważy!

Ktoś się miał nią zająć, gdzieś zabrać, podłączyć do jakiegoś aparatu, coś wybadać... Siedziała więc ze swoją kartą w garści, siedziała w przydziałowej koszulce z dekoltem do pasa i cienkim szlafroku bez

guzików, siedziała z gołymi nogami i lodowatymi stopami bez skarpet. Dobrze, że miała choć majtki. Pielęgniarka nakazała je zdjąć, lecz niesforna pacjentka jakoś przemyciła niewielkie figi pod kusym, acz siermiężnym dezabilem szpitalnym. Dzięki temu teraz nie marzła ze szczętem. „Ale skarpety to by się przydały – pomyślała. – Muszę poprosić mamę, żeby mi przyniosła”.

W końcu się doczekała. Badanie, które miało za zadanie określić siłę skurczów, nie trwało dłużej niż pół godziny. Brzuch posmarowano lodowatym żelem, potem umocowano do niego tajemnicze urządzenie z mnóstwem przewodów, światełek i pstryczków; wszystko to razem pikało, migało, a nawet buczało. Niemniej Joanna Tamicka, wyziębiona i wymęczona czekaniem, gdy tylko znalazła się w ciepłym gabinecie, gdy ułożono ją wygodnie na leżance i przykryto kocykiem – momentalnie zasnęła.

Spała tak przez całe pięć dni.

Co cztery godziny próbowano nią wstrząsnąć; odsłaniano kołdrę, wystawiano brzuch na zimno i widok publiczny, wciskano trąbkę w pępek, mierzono temperaturę i tętno, kazano zapamiętywać jakieś liczby i łykać jakieś tabletki. Joanna biernie się temu poddawała; jak w sennej malignie łykała, wyciągała ręce, wchodziła na wagę, brała termometr; jak lunatyk snuła się z kubkiem po kawę zbożową czy cienką herbatkę; szurając laczkami, wędrowała z talerzem po skromny obiadek; potem światło gasło, pielęgniarki znikały, a ona nawet nie wiedziała kiedy, bo już spała.

Zdarzało się, że wytrącona nieco z drzemki całym tym zamieszaniem wokół swojej osoby, otwierała leniwie jedno oko. Wówczas lekarz, korzystając z okazji, pytał szybko:

– A pani Tamicka jak zwykle zaspana, co? No i jak się czujemy, jak maluch w środku?

Młoda kobieta mrużyła oczy, przykładała rękę do brzucha, milczała, słuchała...

– Dobrze – mruczała – śpi sobie, brzuch trochę się kurczy, ale nie mocno.

– Doskonale. Potrzymamy was tu jeszcze parę dni, sprawdzimy, upewnimy się i wypuścimy do domu. Teraz śpijcie sobie dalej.

No to sobie spali.

Obudzili się po koniec ósmego miesiąca. W styczniu. Dokładniej dwudziestego szóstego stycznia 1990 roku. Krótko po wizycie u ginekologa – który powiedział, że właściwie niebezpieczeństwo już minęło, udało się dotrwać do trzydziestego szóstego tygodnia, można odstawić leki i jakby co, „może się rodzić". Chyba sobie wzięło do serca te słowa, bo dwa dni później o czwartej nad ranem...

– Maciej, Maciej!

– Co, co? – Nieprzytomny Tamicki zerwał się i zamrugał powiekami. – Znowu skurcz, zaraz... – Zaczął wygrzebywać się z pościeli. – Zaraz, kochanie, zaraz, która łydka? Zaraz rozmasujemy... – Miał dziwne wrażenie, że śniło mu się już kiedyś coś podobnego.

– Nie, nie to! – zniecierpliwiła się jego żona, dokładnie tak samo jak dwa tygodnie wcześniej. – Zaczęło się!

– Co, co?

– No, to, to!

– Ach, to, to. Znowu?! I co teraz? Mam dzwonić po Remigiusza?

– Dzwoń.

– No to się ubieram i lecę dzwonić. – Maciej wygramolił się z łóżka.

– Leć. Ja chyba muszę do łazienki...

– O Boże...! – jęknął Tamicki i zaczął się w pośpiechu ubierać. – Asiu, idę dzwonić! – krzyknął, zakładając buty.

– Yhm... – odmruknęła Joanna, przytrzymując się drzwi łazienki. Ostatnio coraz częściej zastanawiała się, jak to jest, kiedy wody odejdą, co się wtedy czuje, czy w ogóle się coś czuje... Już wiedziała. Czuła dokładnie to samo co wtedy, gdy miała pięć lat i nie zdążyła do łazienki. Stała, kurczowo trzymając się framugi i równie kurczowo ściskając kolana. Stała bezradna, wystraszona i dziwnie zawstydzona. Przecież była już dużą dziewczynką...

– Maciej, wiesz, zanim wyjdziesz, wydaje mi się... – Joannie głos zadrżał. – Chyba się naprawdę zaczęło. – Stanęła w progu dużego pokoju i uniosła koszulę nocną. Spojrzała na swoje nogi, po których spływały dwa różowe strumyczki. Jej mąż też spojrzał. I zbladł. I zaklął.

– Aśka, ty rodzisz! – krzyknął przerażony.

– Na to wygląda.

– No, to ja... lecę – wyszeptał Tamicki i usiadł – do budki, do telefonu, oby działał, a ty się przygotuj, czy co, przyszykuj sobie wszystko do

szpitala i w ogóle... Tylko, błagam cię, nie mdlej!

Pierwsze pytanie Remigiusza brzmiało:

– Skurcze są?

– Są.

– Wody odeszły?

– Tak!

– No to się nie denerwuj, zaraz będziemy.

RODZIMY!

Matka i córka padły sobie w objęcia i zaczęły pochlipywać.

– Nic się nie bój, córcia, będzie dobrze, wiem, co mówię, spakowałaś się? Zabrałaś, co trzeba, ręcznik, kapcie, majtki, podpaski, szczoteczkę, kubek, o niczym nie zapomniałaś?

– Nie, chyba nie, ale... Misiu, to będzie bardzo bolało?

– Może tak bardzo nie będzie – łudziła się pani Grażyna, spoglądając z troską na twarz swojego jedynego dziecka. – Nie myśl teraz o tym. Myśl o dzidziusiu, myśl, że już dzisiaj go zobaczysz. Jak będzie boleć, myśl tylko o tym. No i pamiętaj o oddechu, przy skurczach oddychaj przeponą, o tak, głęboko, spokojnie, a z kolei przy partych ziejesz jak piesek, szybko, w ten sposób, o tak... – Pani Grażyna podbudowała rodzącą ideologicznie i praktycznie.

– Tak, postaram się, postaram się oddychać i ziać, postaram się być dzielna – obiecywała Joanna Tamicka. – Dzielna jak te chłopki czy Indianki, co to na polu, w kucki, do wiadra, a potem obtarły się i z powrotem do roboty. Postaram się nie krzyczeć... za głośno.

– Krzycz sobie, ile wlezie – pozwolił łaskawie doktor Grzelak. – Dalej, kobiety, nie ryczeć, nie siać paniki, tylko zbierać się. Wyjeżdżamy za dziesięć minut.

Po drodze odwieźli panią Grażynę na dworzec. Jechała do Warszawy w sprawach naukowych.

– Pa, córcia, pa, i trzymaj się, kochanie. Oj, kochana ty moja! – pani Grażyna rzuciła się córce na szyję. – Że też muszę jechać akurat w takiej chwili! Ale będę o tobie myślała, przez cały czas, i będę dzwonić. Remik, słyszysz? Żebyś mi wszystko zaraz powiedział.

– Idźże już, bo się spóźnisz na pociąg. – Doktor Grzelak wygonił żonę z samochodu.

Pani Grażyna wygramoliła się z wartburga.

– Pa! – Pomachała ręką. – Pa, pa-aa – chlipnęła, kiedy masywne enerdowskie auto z erefenowskim silnikiem Golfa zawróciło i uwiozło w ciemną, straszną dal jej małą córeczkę.

Szpital Miejski przy ulicy Lutyckiej o wpół do siódmej rano wyglądał posępnie, samotnie i dramatycznie. Niewyraźnie oświetlony majaczył w oddali niczym dom widmo.

– To dalej już sobie dojdziecie, co? – Doktor Grzelak starał się nie patrzeć na skrzywioną twarz pasierbicy i szarą z niewyspania oraz przejęcia twarz zięcia. – Ja muszę do przychodni, w taką pogodę ludziska chorują całymi tabunami, a sam jestem, bo lekarze też się rozłożyli. Jakoś trafisz potem do domu.

Tamicki kiwnął głową, że trafi.

W asyście świstów styczniowego wiatru, zawodzącego jak wygłodniały pies Baskerville’ów, wysiedli z samochodu; umykając przed zadymką, skierowali się czym prędzej ku bocznemu wejściu, gdzie znajdował się punkt przyjęć.

Doktor Grzelak odjechał, niknąc w mroku zimowego poranka.

Maciej Tamicki otworzył drzwi.

– Wieje, jakby się diabeł obwiesił – usłyszeli, gdy tylko przekroczyli próg. Starszy mężczyzna, przekradający się pod ścianą, spojrzał na nich z obawą; wzdrygnął się, otulił mocniej szlafrokiem i czmychnął jednym z korytarzy. Otrzepali się, rozejrzeli uważniej.

Przytłumione światło, czerń i biel z dodatkiem sepii, taka żółtawa szarość rozmywająca się, gdy nie patrzysz; prostota i surowość niskiego holu, funkcjonalność i brzydota sprzętów, cisza przerywana krótkimi zdaniami, kaszlem i stukotem obcasów, a w tle potępieńcze wycie rozzłoszczonej zimy, gwizdy, świsty, jakby świat się walił.

Młoda kobieta przeciera oczy. Mąż łapie ją za rękę, ciągnie za sobą. Sadza na krześle. Coś mówi...

Starsza kobieta w rejestracji słucha, pyta, notuje, ziewa, bierze dowód, studencką książeczkę zdrowia, siąka nosem...

Młoda kobieta w ciąży zaczyna się denerwować.

Spisano ją i zarejestrowano; w pokoju przyjęć zmierzono ciśnienie, zważono i dokładnie wypytano, a nieskładne odpowiedzi zanotowano w ogromnym arkuszu; po czterdziestu minutach wywiadu wręczono jej plastikowy worek, metalowy wieszak, płócienną białą koszulkę i szlafrok w spraną łączkę; kazano się przebrać, załatwić i umyć; potem położono na leżance i wygolono; na koniec pozwolono na krótkie pożegnanie z roztrzęsionym mężem, posadzono na wózek i zawieziono na oddział.

Młoda kobieta leży w czystym, wąskim i przeraźliwie jasnym pokoju. Porodówka. Sala numer cztery. Za ścianą po lewej ktoś płacze. Naprzeciw, blisko sufitu, wisi krzyż. Czarny na białej ścianie. Wąskie pomieszczenie, wysokie łóżko, krzyż, płacz... „Jakbym umarła” – myśli. Z tyłu otwarte drzwi, za nimi korytarz, którym co rusz ktoś gdzieś się spieszy. Słychać hałaśliwe chodaki i lekki szelest wykrochmalonych fartuchów. Kobieta spogląda na zegarek. Ósma pięć. Ładny zegarek, w kształcie podkowy, na złotawej bransoletce. Wynalazła go na Kiermaszu Świątecznym i kupiła sobie na dwudzieste drugie urodziny. Och! Kolejny skurcz. Mocno trzyma. Jak długo...? Jak długo jeszcze? Dopiero ósma... Powiedzieli, że choć wody odeszły, to rozwarcie jest tylko na trzy centymetry. Za mało. Przekręca się na bok. Wygodniej, odrobinę mniej boli...

– Proszę nie kłaść się na boku. Proszę leżeć prosto, bo inaczej aparat do mierzenia tętna się zsuwa. Musimy wiedzieć, czy puls dziecka nie słabnie.

Doświadczona położona – widać to po zmarszczkach wokół ust i przenikliwym spojrzeniu jasnych oczu – wprowadza do wąskiego pokoju cztery praktykantki.

– Pierworódka, trzydziesty szósty tydzień, rozwarcie na trzy centymetry, skurcze co osiem minut, wody odeszły trzy godziny temu – relacjonuje szybko, poprawiając urządzenie na brzuchu rodzącej. – Może wdać się zakażenie, trzeba zrobić zastrzyk, ale przedtem próby uczuleniowe na antybiotyki. Która spróbuje?

Spróbowała szatynka z katarem.

Uczulenia nie stwierdzono.

– HBS? – rzuca groźnie pielęgniarka, sprawnie aplikując Tamickiej ampicilinę w pośladek.

– Nie zdążyłam odebrać wyniku, nie myślałam...

– Trudno – przerywa jej położna. – Ty – wskazuje palcem na przerażoną blondynkę – ty to zrób, pobierz krew, w końcu kiedyś musisz się nauczyć.

Pić... Młoda kobieta dotyka spieczonych ust. Pić... Z kranu kapie woda, rozpryskuje się na bieli umywalki w tysiącach zimnych, ożywczych drobin. Stracone krople, za daleko... „Czemu tu tak gorąco? Gdzie wszyscy poszli? Proszę siostry, proszę...! Nikogo. Zno...wu sku...rcz! Coraz częściej, coraz mocniej, jak długo jeszcze, błagam, już nie mogę... Chciałam być dzielna, naprawdę, ale nie potrafię... Która godzina? Dopiero jedenasta. Podkowa na szczęście, jak błyszczy... aaa... niech to dziecko wreszcie się urodzi! Czemu tak mnie męczy? Nie dam rady, nie nadaję się na matkę, za bardzo mnie boli... Ciii, już dobrze, cichaj, wszystko będzie dobrze, chodź do mamusi...”.

Za ścianą jękliwy kobiecy głos prosi o znieczulenie.

– Zwilżę pani wargi, pić nie wolno, ale to choć trochę ci pomoże, kochana. Boli, co? – Nad rodzącą pochyla się starsza kobieta. Salowa. Przesuwa mokrym wacikiem po wyschniętych wargach. Młoda kobieta czuje wdzięczność za krople spływające po języku i za nie mniej życiodajną nutę troski w głosie salowej. Po chwili znowu zostaje sama.

Co jakiś czas przy łóżku Joanny ktoś się pojawiał. Lekarz, przeżuwający drugie śniadanie wraz ze swoim zmęczeniem po nocnym dyżurze, praktykantka z pryszczami, praktykantka z drżącymi rękami, doświadczona położona z kolejną reprymendą, przestraszona blondynka z basenem, siwa salowa z gestem współczucia, jedna pielęgniarka z drugą pielęgniarką, wreszcie bardzo ważny pan profesor ze swoją świtą. Przyszedł zobaczyć i zbadać. Skutek był natychmiastowy – ból niemalże kosmiczny, wyrywający z ciała duszę, tłamszący dumę i wszelkie myśli prócz tej jednej, by to wszystko wreszcie się skończyło!

Zaordynowano zastrzyk na przyspieszenie rozwarcia. Zastrzyk ów wykluczał zastosowania jakichkolwiek środków przeciwbólowych; w każdym razie to usłyszała Joanna Tamicka, gdy prosiła o coś, „żeby tak nie bolało”.

Tyle ludzi, taki ruch, a ona...

Jęczała i popłakiwała, na zmianę z kobietą zza ściany.

Rodzić zaczęły jednocześnie. Joanna Tamicka usłyszała tylko:

– U tej jeszcze trochę potrwa, z jakąś godzinę, pierworódka, wiadomo, ale tam za ścianą właśnie się zaczyna, no i pójdzie szybciej, bo to druga ciąża... – Dokładnie w tym momencie Joannie zaczęły drżeć uda i kolana. Coś nią wstrząsnęło, zadygotała. „To chyba party” – pomyślała, no bo cóż to innego mogło być.

– Siostro, ja rodzę! – krzyknęła.

– Niemożliwe, pani ma jeszcze czas, teraz rodzi tamta pacjentka.

– Może, może, ale ja też... tak sądzę – wystękała.

– Co też pani opowiada?! – zburczała ją pielęgniarka, ale kiedy przyjrzała się uważniej, mruknęła: „cholera!” i wybiegła.

Po chwili ganiano z jednej sali do drugiej, od jednej rodzącej do drugiej. Podniesiono łóżko, ułożono Tamicką w odpowiedniej pozycji i pouczono, że ma jeszcze nie przeć. Lekarz, ten co wcześniej przeżuwał śniadanie, teraz pogryzał jabłko i przyglądał się wszystkiemu z pewnym znudzeniem.

– Zostawiam sprawy w pani rękach – wychrupał do położnej. – Jakby co, wie pani, gdzie jestem. – I wyszedł.

– Zaczyna się – jęknęła Joanna Tamicka.

– Zaczyna się – powtórzyły położna i dwie praktykantki.

Lekarz zjawił się, by wykonać cięcie.

– No, mama, jeszcze trochę... no, już włoski widać, dalej, walimy! – zachęcał spoconą rodzącą.

– Włoski? – wychrypiała Joanna, której gardło od krzyków wspomagających zupełnie wysiadło. – Gdzie reszta? Czy coś nie tak, czemu tylko włoski się urodziły?

Zza ściany dochodziły przejmujące jęki:

– Nie mogę, nie dam rady!

– Ależ oczywiście, że pani może.

– Ale to mnie boli, coś mi tam pęka...!

– Bzdury.

– Uwaga, idzie...! – mruknął nagle młody lekarz. Joanna Tamicka dostrzegła między swoimi nogami jego pochyloną głowę, skupioną twarz i wyciągnięte ręce. Do końca życia miała już zapamiętać tę głowę

z wysokimi zakolami i silne, mocno owłosione ręce, które pierwsze dotknęły jej dziecka.

Słyszała swój rzężący oddech i odgłos lejącej się wody, a potem był cichy chlupot rybki złowionej w sieć...

Jej brzuch momentalnie zrobił się płaski. Dziwne... Czuła się jak balon, z którego uszło całe powietrze.

– Chłopak! – oznajmił z dumą lekarz i położył jej dziecko na piersi.

Był taki mały... taki... jej. Objęła go delikatnie, nieśmiało, pocałowała mokrą główkę. Zaczęła płakać. Ogarniały ją uczucia, których nie rozpoznawała. Nie znała ich dotąd. Oblepiony śluzem i krwią, wciąż jeszcze złączony z nią pępowiną syn był kwintesencją życia, był początkiem i środkiem wszechświata, od niego wszystko się zaczynało, na nim wszystko się kończyło. Pojawiła się więź, której żadne nożyczki nie były w stanie przeciąć.

Chłopczyk poruszył się, uniósł rączkę i razem z maminą koszulą wpakował ją sobie do buzi. Kobieta uśmiechnęła się.

– Dziękuję... dziękuję... – wyszeptała.

Za ścianą urodziła się dziewczynka. I ona, podobnie jak chłopiec obok, dała początek zupełnie nowej opowieści...

NO TO URODZILIŚMY...

Maciej Tamicki przez ponad godzinę załatwiał w Urzędzie Dzielnicowym na Zagórzu nowy dowód dla swojej żony; dwa miesiące temu skradziono go wraz z portfelem, torebką, niepokaźną sumą pieniędzy i pokaźnym fragmentem pracy dyplomowej. To nad utratą tego fragmentu swojego naukowego wysiłku, zapisanego pracowicie i skrupulatnie w zeszycie formatu A-4, Joanna Tamicka rozpaczała najbardziej. Tyle pracy, tyle tygodni żmudnego tłumaczenia i wszystko stracone! Temat pracy wykluczał korzystanie z pomocy naukowych w języku polskim z bardzo prostego powodu – takowe nie istniały. Z angielskimi artykułami Joanna jakoś sobie radziła, ale techniczno-biologiczny żargon w wydaniu rosyjskim przyprawiał ją o skurcze brzucha. Dlatego łkała i szlochała, tłumacząc, jak ważny był zaginiony zeszyt. Takiej desperacji zupełnie nie mógł pojąć dyżurujący policjant, który przyjmował zgłoszenie kradzieży od rozhisteryzowanej studentki w ciąży. Bo o co taki hałas? O zużyty zeszyt?

Nowy zeszyt można kupić w pierwszym lepszym kiosku, gorzej z dowodem...

– Lepiej niech się pani skradzionym dowodem martwi – poradził stróż prawa.

Ale Joanna miała gdzieś dowód. Na znak protestu wobec lekceważenia przez policję spraw studiującego obywatela nie wyrabiała sobie nowego dokumentu tożsamości przez następne trzy miesiące. Aż nadszedł czas porodu i opamiętania, a przy okazji kolejny powód do zmartwienia. Bowiem żeby zarejestrować nowego członka społeczeństwa, rodzice muszą mieć przy sobie dowody osobiste. Jak ma się sprawa z nieletnimi rodzicami – Maciej nie miał pojęcia. Zresztą kiedy stał w kolejce do okienka, poświęcił temu zagadnieniu ledwie parę chwil. Bardziej ciekawiło go, co się urodzi, gdy się wreszcie urodzi. I kiedy, jak rany, wreszcie się urodzi! I jak Asia to zniesie? To okropne, że w żaden sposób nie mógł jej ulżyć w cierpieniu. Dałby się za nią pokroić, ale dziecka za nią nie urodzi! Dlatego, skoro nie potrafił wesprzeć żony w inny sposób, postanowił wyrobić jej ten głupi dowód. Niestety po godzinie stania poinformowano go, że bez fizycznej obecności samej poszkodowanej niczego nie załatwi. Jak pech to pech.

Wcześniej przez półtorej godziny siedział zatrzaśnięty między piętrami w windzie, a jeszcze wcześniej przez całą noc udawał, że odpoczywa, kiedy w istocie walczył z objawami rozstroju nerwowego (który jak zwykle rozstroił przede wszystkim jego żołądek). O dwunastej w południe, gdzieś między uwięzieniem w windzie a wizytą w Urzędzie, zadzwonił do szpitala, żeby dowiedzieć się, że „o, to jeszcze długo, długo, niech pan zadzwoni za trzy godziny”.

Nie wytrzymał. Zadzwonił po dwóch. I usłyszał słowa, których nauczył się na pamięć:

– Ma pan syna, urodził się o trzynastej, waży dwa osiemset pięćdziesiąt, żona czuję się dobrze, już jutro może ją pan odwiedzić, proszę przynieść jakieś soki, tylko nic pestkowego, i jakieś owoce, tylko nie cytrusy; najlepiej jabłka.

Kiedy Maciej Tamicki wyszedł z budki telefonicznej na Zagórzu przy moście Bolesława Chrobrego, był innym człowiekiem. Był ojcem. Miał syna! Czuł się wielki i wspaniały. „Kto na mnie? Kto mi podskoczy? Mnie? Ojcu?!”.

Pierwszy z rodziny o wielkiej nowinie dowiedział się brat Przemysław. Znajdował się bowiem najbliżej historycznej budki, jako że pracował w Giełdzie Muzycznej na Alejach Marcinkowskiego.

– Mam syna! – pochwalił się już od progu Maciej Tamicki.

– No, Młody, gratuluję! – Bracia poklepywali się i ściskali przez chwilę, a potem zgodnie ruszyli do wyjścia.

– Szefie! – krzyknął na odchodnym świeżo upieczony stryjek. – Bratu syn się urodził!

– A, gratuluję, gratuluję... – Szef pomachał im na do widzenia.

Bracia pojechali w świat staruszką Warszawą – dzielić się dobrą nowiną.

Pani Barbara na wieść, że została babcią, natychmiast wybuchnęła płaczem. Pan Edward też uronił łzę radości, a zaraz potem postawił na stole połówkę. Tatuś wspólnie z dziadkiem (stryjek prowadził, a babcia po alkoholu zaraz dostawała wypieków) szybko uwinęli się z niebogą.

Kolejnym przystankiem był dom na Lecha. Dziadek Remik nie zamierzał być gorszy od dziadka Edka – też postawił połówczynę. Na dokładkę obdarował młodego tatusia butelką koniaku. Zadzwonili też do babci Grażynki do Warszawy. Była tak wzruszona, że aż druty zamokły i połączenie przerwało.

Maciej Tamicki pamiętał, że wychodził od Remigiusza...

Ocknął się u siebie w domu, w fotelu, telewizor piszczał, a na stole stała wyżęta do ostatniej kropli butelka koniaku.

– Będę miał kaca, że ja dziękuję... – wymamrotał. – Ale cóż to znaczy wobec faktu, że mam syna!

Reszta dnia upłynęła mu na wpół sennych, wpół automatycznych czynnościach. Kiedy dotarł do żony do szpitala, nie pamiętał, czy jadł śniadanie, czy umył zęby, czy przyjechał autobusem, czy tramwajem, a już w ogóle nie pamiętał, żeby robił jakieś zakupy. Dlatego gdy wręczył Asi siatkę z wiktuałami, zdziwił się niepomiernie, że w ogóle przyniósł jakąś siatkę; kompletnie oniemiał, kiedy zobaczył, ile ciekawych rzeczy w niej było: wata, kompot, jakaś książka, jakieś jabłka... On to sam wszystko kupił i spakował? Nie do wiary, jak to ojcostwo wpływa na ludzi...

Niestety gorzej wpływa na wymowę, podobnie zresztą jak macierzyństwo. Ledwie Joanna otwierała usta, by coś opowiedzieć mężowi

o synku, natychmiast zaczynała chlipać i pociągać nosem. Kiedy zaś Maciej próbował sam się o syna podpytać – wnet zaczynał bełkotać i tracić wątek. Darowali więc sobie gadanie, odłożyli słuchawki i tylko patrzyli na siebie przez oddzielającą ich szybę...

Pielęgniarka, poza przekazaniem torby z darami, nie zgodziła się na żadne bliższe kontakty w stylu niehigienicznego uścisku rąk, chorobotwórczego przytulenia się czy niewybaczalnie septycznego pocałunku. Wiadomo przecież, że ojcowie sieją bakteriami na kilometr. Gorsze są tylko zwierzęta.

Dlatego czegoś bliższego o swojej rodzinie Maciej dowiedział się dopiero po dwóch dniach, kiedy teściowa wróciła z podróży służbowej i natychmiast pogalopowała do szpitala. Ona również nie wzbudziła zaufania pielęgniarek, ale udało jej się przekazać kolejną siatkę z dobrem wszelakim oraz odebrać z rąk córki list zaadresowany do męża.

Co do autentyczności listu Maciej Tamicki nie miał wątpliwości. Tylko jego żona mogła być autorką tych koszmarnych gryzmołów.

Tatuśku!

I cóż tam u ciebie? Bo u mnie pocięte jestestwo, burza hormonów i żółtaczka mechaniczna. Miałam nadzieję, że już w piątek po południu będziemy w domu. Niestety w piątek rano twój syn (!) zżółkł niczym cytryna.

Ależ on jest słodki! A podobny do ciebie – jakby kto skórę zdarł. Mały brzydalek. Wygląda jak staruszek. Skóra na nim wisi, kości wystają – taki jest chudy. Za to dołeczki w policzkach ma po mnie. Aż dziw, że się w tej chudej sznupce robią, ale się robią. Jego wcześniactwo objawiło się na szczęście tylko tym, że biedaczyna nie zdążył się utuczyć. Za to wszystkie odruchy ma jak trzeba.

Tylko dlaczego nie chce ssać?! Chudnie mi synek. I leżał w inkubatorze. I przynieśli mi go na samym końcu; wszystkie inne matki miały już swoje bobaski, a ja nie! Jeszcze ta żółtaczka. O, znowu idzie pielęgniarka, żeby mi go zabrać. Znowu będą go kłuć, mojego syneczka małego...

Jakbyś nie wiedział, te ślady na papierze to moje łzy matczyne. Ciągle tutaj płaczę, bez przerwy, coś mi się rozregulowało. Jak go nie przynosili tak długo – ryczałam w poduszkę. Jak go wreszcie przynieśli, rozpakowali, kazali sprawdzić, czy ma wszystkie paluszki i inne członki, to sprawdzałam i chlipałam. Jak nie chce ssać – płacz. Jak w końcu raz trochę zassie –

szloch. Jak zrobił pierwszą kupkę – ryk. Zupełnie mi odbiło. Mam nadzieję, że mi to z czasem przejdzie. Co u ciebie? Dajesz sobie radę? Jak remont? Zdążycie z mamą przerobić naszą sypialnię małżeńską na sypialnię rodzinną? Znowu mi się oczy szklą... Chyba się prześpię.

Przynieśli małego z lamp. Położyłam go sobie na poduszce i trzymając się za rączki, pospaliśmy jeszcze trochę. Obudzili nas na obiad. Jedyny plus szpitala – nie muszę tu gotować. Inne matki narzekają na dietę, każą sobie przynosić obiady w termosach, ale ja nie jestem wybredna. Jak mi ktoś podstawi talerz pod nos, jem, co dają, chyba żeby to były szparagi... Ale szparagi w państwowym szpitalu? Wolne żarty! Zmywać ani sprzątać też nie muszę. Zupełnie jakbym była na wywczasach. Tylko trochę za dużo karaluchów tu łazi.

Musiałam podać imię do kwestionariusza. Andrzej Jerzy, tak miało być?

Jak go przewijam, boję się, że mu urwę nóżki. Nie wyobrażam sobie przebierania i kąpieli.

Przyznaj się, miałeś solidnego kaca, co? Nawet za szybą wyglądałeś gorzej ode mnie. Ale rozumiem, musiałeś rzecz uczcić. W końcu wyszedłeś z tej historycznej budki innym człowiekiem, gotowym zmierzyć się z całym światem. Cieszę się, że się cieszysz.

Ale o drugim dziecku to na razie nie myśl. Chyba że sam je sobie urodzisz. Przynieś mi koniecznie opakowanie pyralginy. Tylko nie zapomnij! Dość mam bezsennych nocy i żebrania o tabletki. Ten kompot jagodowy był nawet, nawet, możesz mi jeszcze przynieść ze dwa słoiki. I ligninę, watę, podpaski czy cokolwiek, bo tu bieda. Mały płacze, potem dokończę.

Coraz lepiej ssie. Dobrze, bo inaczej nie urośnie duży i silny. Martwiłam się.

Wydaje mi się, że on się już uśmiecha. Naprawdę. Żadne tam skurcze czy odruchy mimiczne, ale autentyczny uśmiech z dołeczkami w policzkach. Widać świat go bawi. Ma to po rodzicach. Zawsze uważałam, że poczucie humoru to objaw inteligencji. Ciekawe, kim będzie? Może ekonomistą jak babcia albo erudytą jak tata, albo... No sama nie wiem, kim ja właściwie jestem.

A jak nie będzie chciał się uczyć? Wiem, bredzę. Niby dlaczego takie inteligentne dziecko... No, dobra, nie denerwuj się. Tak sobie głupio rozmyślam. Mówiłam ci, że mi odbiło.

No, ale powiedz, co byś zrobił, gdybyś się dowiedział, że dręczą go jacyś chuligani ze starszej klasy?

O Boże, a jak sam będzie chuliganem?! Jak wpadnie w złe towarzystwo, zostanie narkomanem, zakocha się w jakiejś zołzie, zrobi jej dziecko? Nie jestem jeszcze gotowa zostać babcią.

Wiem, żuczku, jestem nienormalna.

Ale ty i tak mnie kochasz, prawda?

Mama dzisiaj przyjdzie i pożala się nade mną przez szybę, że taka ze mnie wymęczona chudzina. Podam jej list przez szparę w drzwiach.

Pa, mały znowu kwęka, pewnie zrobił kupę. Całuję i ściskam, Asia.

ROZDZIAŁ PIĄTY
czyli scenki z życia rodzinnego.

MAMY SĄSIADÓW

Joanna Tamicka wpatrywała się w sufit. Starała się nie denerwować. Próbowała zasnąć. Zaczęła rozmyślać o samych przyjemnych rzeczach: wiśniach w czekoladzie, wakacjach, nowym płaszczu...

– Maciej! – Nie wytrzymała w końcu i trąciła męża w bok. – Maciej, zrób coś! Jest taki hałas, że spać nie można.

– Co, co? – Nieprzytomny Tamicki zamrugał powiekami.

– Nie słyszysz?

– Nie. Nic a nic. Śpię.

– Jak to nic a nic?! – rozsierdziła się jego żona.

– Nie krzycz, obudzisz małego. – Tamicki uniósł się na łokciu i obrzucił czułym spojrzeniem posapującego cicho synka; kolka dała mu na razie spokój i od dwóch godzin spał jak aniołek. Joanna podążyła za wzrokiem męża. Jej głos złagodniał.

– Wreszcie śpi jak pan Bóg przykazał, ja też bym mogła, ale nie mogę. – Znowu poczuła narastającą złość. – Zrobili sobie balangę, grają, śpiewają, tańczą, piją...

– ...lulki palą, tańce, hulanka, swawola, ledwo karczmy nie rozwalą... – wymruczał student polonistyki, układając się do dalszego snu.

– Ani mi się waż! – Małżonka wymierzyła mu kuksańca. – Zrób coś z tym – zażądała.

– Sama sobie zrób – żachnął się Tamicki. – Mnie to nie przeszkadza.

– Mam chodzić w koszuli nocnej po obcych ludziach, pewnie pijanych, może agresywnych i przywoływać ich do porządku? – nie dowierzała Joanna. – To ty jesteś mężczyzną – argumentowała, ale mężczyzna jakby nie słyszał. – Ach, więc to tak... – Kobieta sięgnęła po ciężką artylerię. – Tak, ja wiedziałam, coś czułam, już mnie nie kochasz, zbrzydłam, biodra

mi się rozeszły, mam rozstępy, co cię może teraz obchodzić mój sen? Pewnie, pewnie...

– Asiu, przestań... – łagodził Tamicki, ale było to jak wstrzymywanie przez dziecko konia w galopie.

– Nie wystarczy, że nie mogę zmrużyć oka, póki Jędrulek nie zaśnie, że wciąż sprawdzam, czy żyje, czy oddycha, czy się aby nie udusił; nie wystarczy, że biedaczek wciąż ma kolki, że nieraz przez pół nocy trzeba mu masować plecki; nie wystarczy, że sąsiad z góry pewnikiem buduje samolot w domu, bo od świtu do nocy stuka, wierci, klnie i piłuje; nie wystarczy, że sąsiedzi z dołu co tydzień w piątek, a nierzadko i w sobotę, urządzają sobie imprezy, z tańcami i śpiewami chóralnymi, to jeszcze teraz na dokładkę tobie to w ogóle nie przeszkadza! Ściany chodzą, rury drżą, łóżko wpada w rezonans, ale co tam!

– Dobra. Idę.

Tamicki wstał. Założył szlafrok, kapcie i udał się piętro niżej. Był wściekły. Głównie na siebie. Że jest takim pantoflarzem i że znowu dał się podpuścić.

Przycisnął guzik. Raz, drugi, trzeci. Wesoła melodyjka dzwonka nikła bez odzewu w jeszcze weselszym hałasie balangi. Tamicki począł walić pięściami w drzwi. Nawet kopnął sobie kilka razy.

Wreszcie ktoś mu otworzył; mężczyzna, być może nawet sam gospodarz przyjęcia, ale półmrok panujący w korytarzu i znaczne upojenie alkoholowe delikwenta uniemożliwiały Maciejowi dokładniejszą identyfikację.

– Bardzo proszę, żebyście ściszyli państwo muzykę! – Tamicki z trudem przekrzykiwał gwar zabawy. Przyłożył ręce do ust. – Za-głoś-no-tu-u-was! – wyskandował. – Mam małe dziecko w domu i nerwową żonę, dopiero od miesiąca jest matką... – Umilkł. Osobnik kiwał się na boki; gdyby nie drzwi, pewnie by się wywrócił. – Ma być spokój! – wrzasnął Tamicki. – Ludzie chcą spać, bo policję wez...

Zamknięto mu drzwi przed nosem.

Urażony w swej męskiej ambicji smętnie poczłapał do domu.

– Wiesz, kochanie, nie wydaje mi się, żebym coś wskórał, oni.... – urwał i westchnął. Żonka spała, zwinięta w kłębek, z jego jaśkiem na głowie.

Maciej Tamicki wpatrywał się w sufit. Starł się nie denerwować. Próbował zasnąć. A przede wszystkim starał się nie słyszeć tyrolskich

pieśni dobiegających z dołu, jakby wprost spod jego poduszki. Zaczął marzyć, że wstaje, idzie piętro niżej, przykłada palec do przycisku dzwonka i dusi, dusi... A potem rozkwasza nos temu, kto pierwszy otworzy drzwi!

Już prawie spał, gdy noc przeszył pełen bólu i protestu płacz jego syna.

SĄSIEDZI MAJĄ NAS

Starszy mężczyzna sięgnął w kierunku dzwonka. Był zdecydowany raz na zawsze skończyć z tą jawną bezczelnością. Tak to jest, kiedy smarkacze się żenią, dostają mieszkanie i rodzą dzieci. Żadnej odpowiedzialności, żadnego poszanowania dla innych. Ale już on im wygarnie i niech tylko spróbują pyskować!

Zanim zadzwonił, zerknął na swoich towarzyszy. Udało mu się namówić zięcia i jedną z sąsiadek. Powinno ich być więcej. W takich sprawach im więcej osób, tym lepiej. Ale Klejni się wykręcili, a dozorczyni powiedziała, że jej nic do tego. Niech i tak będzie, sami to załatwią. Nikt mu tu nie będzie dmuchał w kaszę!

Joanna Tamicka akurat przewijała dziecko, kiedy usłyszała długi, naglący dźwięk dzwonka. Włożyła synka z gołą pupą do łóżeczka.

– Tylko się nie zesikaj – pouczyła chłopczyka, który widać zrozumiał to opacznie i zmoczył kołderkę, ledwo matka wyszła z pokoju.

Kiedy ujrzała przed sobą delegację sąsiadów, speszyła się nieco. Nie była ubrana na wizyty, jej mąż akurat zamknął się w łazience, a jeżeli chodziło o jakąś kwestę czy zbiórkę, byli kompletnie spłukani.

– Tak, słucham...? – spytała niepewnie.

– Chodzi o to – zaczął bez wstępów straszy z sąsiadów, Krakowski – że to już przekracza wszelkie granice! Nie robicie, co do was należy, bimbacie sobie! – Joanna Tamicka uniosła brwi w niemym zdumieniu; wzrokiem poszukała pomocy u pozostałych delegatów.

– W ogóle to dzień dobry, sąsiadko – młodszy z mężczyzn wpadł teściowi w słowo. – Chodzi o schody. Nie myjecie ich.

– Prawie nigdy – dorzuciła sąsiadka z boku.

– To skandal! – wtrącił się Krakowski. – Przecież jest grafik! Dyżur wypada tylko raz na cztery tygodnie. Rączki od tego nie odpadną. Jak tak można? W domu też nie sprzątacie?!

– Ojciec jest trochę zdenerwowany – mitygował zięć – ale ma rację. Nie będziemy wciąż za panią sprzątać, sąsiadko. To nie w porządku. Jak

umowa, to umowa.

Joanna Tamicka przełknęła ślinę. Sytuacja nie należała do przyjemnych. Miała ochotę wywołać męża z bezpiecznego azylu łazienki. Dlaczego ma za niego świecić oczami? Do jego obowiązków należało mycie wspólnego korytarza. Ale z drugiej strony – ona miała mu o tym przypominać...

– Przepraszam – bąknęła. – My po prostu zapominamy, poza tym nigdy nie wiemy, czy to już nasza kolej, czy jeszcze nie. – Ze zdziwieniem zauważyła cień zawodu w oczach starszego z sąsiadów. Jakby oczekiwał wszystkiego, tylko nie przeprosin i tłumaczeń.

– Jak to pani nie wie? – zdenerwowała się Graczykowa. – Przecież wisi grafik przy windach.

– No, właśnie nie wisi... – szepnęła Joanna.

– Aha! Nie wisi! – rzucił oskarżycielsko Krakowski. – Ciekawe dlaczego? Ciekawym komu on przeszkadzał, co?

– Już dobrze, ojciec, dobrze. – Młodszy z mężczyzn wyciągnął z kieszeni kartkę i rozłożył ją przed sobą. – Wasz dyżur wypada za dwa tygodnie, licząc od poniedziałku, następni są Klejni, potem my, potem Graczykowie, a potem znowu wy. Zaznaczyłem do końca roku. Proszę. – Wręczył Tamickiej kartkę z czarno-białym kalendarzem, takim jaki roznoszą kominiarze.

Joanna wzięła go ostrożnie. Spojrzała. Przypadające na nich dyżury były zaznaczone fioletowymi kółkami.

– To do widzenia – pożegnał się zięć Krakowskiego. – I bez obrazy. Jesteśmy tu jak jedna rodzina, a pani wie, z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciu. Ha, ha! – roześmiał się trochę za głośno.

– Do widzenia – powiedziała szybko pani Graczykowa.

Starszy mężczyzna nic nie powiedział, tylko obrócił się na pięcie i odszedł.

Maciej Tamicki po wyjściu z łazienki zastał żonę w fotelu. Siedziała nieruchomo, ściskając w rękach jakąś kartkę.

– Co robisz? – zapytał ciekawie.

– Zastanawiam się... Zastanawiam się, gdzie to schować. Ale tak schować, żeby nie zginęło i żebym nie zapomniała, gdzie to schowałam.

– Aha – mruknął Tamicki, tracąc wszelkie zainteresowanie dla problemu, który należał do gatunku nierozwiązywalnych.

ŁÓŻKO A SPRAWA MĘSKA

– Maciusiu, nie chcę marudzić, ale... – Joanna wskazywała rękami wokół siebie – spójrz tylko, spójrz na to.

– Na co konkretnie? – Tamicki, starając się ustalić, co pokazuje rozgestykulowana żona, dostał lekkiego oczopląsu.

– Na wszystko. Na popękane ściany, bo blok siada, na kiwający się sedes w łazience, bo nigdy nie był porządnie przykręcony, na książki pod stołem i w kartonach, bo wciąż nie mamy regału, na chwiejące się i skrzypiące łóżko. Już lepiej było jak spaliśmy na samych poduchach z tego łóżka, ale bez łóżka.

– A co ja robię od dwóch dni?

– Ty od dwóch dni robisz nowe łóżko. Będzie to podest zbudowany na zasadzie krzyżowej czy jakoś tak. – Joanna chciała zacytować dokładnie, ale nie miała pamięci do definicji stolarskich. – W każdym razie nie uwierzę, póki go nie zobaczę.

– Zobaczysz go już dzisiaj wieczorem, nawet się na nim prześpisz – zapewnił ją spocony mąż, wiercąc w płycie wiórowej kolejną dziurę.

– Mieszkamy tu już półtora roku, a mieszkamy jak... dziady, jak normalne dziady – nie ustępowała Tamicka.

– Nie takie znowu normalne. Ja jestem prawie filolog polski, ty prawie matematyk. Jesteśmy dziady wykształcone.

– Śmiej się, śmiej. Po pierwsze, obecnie oboje mamy dziekankę, ja na dziecko, ty za lenistwo. Po drugie, mama mnie ostrzegała, że poeta to kiepski zawód dla mężczyzny. Tłumaczyłam, przekonywałam, stawiając za wzór Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Miłosza, ale nie dała się przekonać. Pozostała przy swoim zdaniu. Poezja to nie jest męskie zajęcie, zaś Norwid to fatalny przykład, bo na dokładkę wylądował w przytułku.

– Po pierwsze, nie jestem, a byłem poetą, i to młodym, obiecującym. Po drugie, współcześni Norwidowi nie rozumieli go ni w ząb, bo wyprzedzał swoją epokę niczym samolot wiejską furmankę, a jak wiadomo najłatwiej odrzucić to, czego się nie rozumie. Po trzecie, twoja mama odwołała już wszelkie obraźliwe uwagi na mój temat, kiedy jeszcze jako twój narzeczony skręciłem jej biurko. Moja niezawodna, genialna, ekonomiczno-technicznie uzdolniona teściowa nie dała rady – chełpił się humanista – a ja dałem! Biurko, łóżko, szafa... chyba dość dowodów męskości jak na jednego mężczyznę średniego wzrostu.

– Szafa? – spytała podstępnie córka technicznej matki.

– Przecież mamy szafę – dał się złapać przebrzmiały poeta.

– To jest zaledwie imitacja szafy. W niszy ściennej zainstalowałeś kij na wieszaki, nad nim jedną wielką półkę, w głąb której nawet ze stołka nie mogę dosięgnąć, a wszystko to zamaskowane firanką, która po każdym praniu robi się krótsza. To jest kpina, nie szafa! Mole na jej widok umierają ze śmiechu.

– Odczep się – zażądał urażony małżonek i sięgnął po piwo. – Jak ci się nie podoba, to znajdź sobie jakiegoś kwaśnego chłopaka, który położy ci kafelki, zbuduje szafę, wyrychtuje regały i zaklnie od serca, i splunie, a jak dobrze pomarudzisz, to może ci nawet oko podbije.

– Nie, z tobą już w ogóle nie można poważnie porozmawiać! – pożaliła się żona.

– Nie można – zgodził się mąż. – Lepiej przynieś mi, kobieto, piwa.

– Nie ma piwa – zauważyła nie bez satysfakcji kobieta.

– To idź i kup – poradził mężczyzna.

Mierzyli się wzrokiem. Joanna Tamicka spojrzała na łóżko. Wyglądało solidnie i obiecywało nie skrzypieć.

– To jakie kupić ci to piwo?

ZAKŁADAMY SPÓŁKĘ!

Siedziało ich czworo przy stole kuchennym. Atmosfera była gorąca, pełna dymu i okrzyków. Pili piwo, chrupali czipsy i orzeszki, niektórzy palili, wszyscy licytowali się wzajemnie, kontrowali, ale bynajmniej nie grali w brydża.

Maciej Tamicki i jego żona Joanna, Przemysław Tamicki i jego narzeczona Dorota Halska rozmawiali o interesach. Dokładniej, o przyszłych wspólnych interesach.

Dorota Halska – z powołania inspicjent w Teatrze Polskim – wróciła niedawno z Izraela. Pracowała tam jako baby-sitter, trochę zarabiała, ale przede wszystkim chłonęła wrażenia. Dlatego gdy wróciła, przywiozła trochę pieniędzy, sporo opowieści i mnóstwo chęci, by założyć własny geszeft. Tak więc Dorota się podniecała, sytuacja gospodarczo-polityczna sprzyjała, sytuacja finansowo-życiowa Tamickich nagliła, a brat Przemysław zgodnie włączał się do ogólnego trendu.

– Więc wydawnictwo! – krzyknęła na koniec obrad Dorota.

– Wydawnictwo – potwierdził Maciej.

– Może być i wydawnictwo – zgodził się Przemek.

– Wydawnictwo, czemu nie? – poparła Joanna.

Zebrali odpowiednie dokumenty, podpisy, znaczki skarbowe i w październiku 1990 roku zarejestrowali spółkę, Spółkę Cywilną Cereus.

– C-e-r-e-u-s – literował podekscytowany Maciej Tamicki znudzonej pani w urzędzie. – To od nazwy kaktusa, bo ja, proszę pani, namiętnie hoduję kaktusy. Bardzo lubię kaktusy, prawdę mówiąc, w pustynno-stepowym klimacie mojego mieszkania nic innego nie chce rosnąć.

– Aha – mruknęła pani. – Państwo zakładacie kwiaciarnię.

– Nie, wydawnictwo!

Otrzymali zaświadczenie o wpisie do ewidencji, przyznano im REGON i rozpoczęli upragnioną działalność gospodarczą. Zaczęli wydawać.

Łącznie wydali dwanaście pocztówek, to znaczy dwanaście wzorów pocztówek w nakładach... różnych: tysiąc, pięćset, dwieście, a raz nawet sto sztuk, bo drukarzowi coś nie wyszło. Sprzedawały się też różnie: jedne średnio, drugie trochę, większość wcale.

Po kilku miesiącach wydawania czwórka wspólników znowu spotkała się przy kuchennym stole w mieszkaniu na osiedlu... Orła Białego. W międzyczasie wielkie zmiany dobrały się do skóry także nazwom ulic i osiedli; osiedle ZMP przemianowano na Orła Białego, ZWM – na Stare Żegrze, a ZMS – na osiedle Polan. Notabene oprócz faktu, że Jędrek Tamicki urodził się w „znowu wolnej Polsce”, były to jedyne konkretne zmiany na lepsze, jakie zaszły w życiu rodziny Tamickich, odkąd społeczeństwo polskie tak ochoczo porzuciło socjalizm, by zwrócić wszystkie swe nadzieje w stronę kapitalizmu.

Znowu nad stołem unosił się dym, ścierały się argumenty i propozycje, chrupały czipsy i orzeszki. Nie było wcześniejszego hurraoptymizmu, przyplątały się wyrzuty, dołączyło kilka przykrych doświadczeń, zaświtała myśl, że „to nie jest takie proste, jak się wydawało”, ale szczera chęć robienia biznesu pozostała.

– Więc księgarnia – podsumowała Dorota.

– Księgarnia. – Maciej kiwnął głową.

– Może być i księgarnia. – Przemek wzruszył ramionami.

– Tak, tak, księgarnia... – wymruczała Joanna, karmiąc synka serkiem homogenizowanym, waniliowym.

KONIEC BUJANIA

Nie ma nic piękniejszego niż odświeżająca kąpiel w pianie i niebieskiej soli kosmetycznej. Szczególnie kiedy na dworze upał. Zwłaszcza gdy na taborecie, zaraz przy wannie, na wyciągnięcie ręki, stoi mocno schłodzone piwo, a obok leży nowa paczka papierosów...

Maciej Tamicki nurzał się w luksusie kąpieli, delektował ożywczym chłodem piwa i zaciągał po same pięty oryginalnym Camelem. Jego myśli szybowały beztrosko. Musnęły najbliższy weekend, w trakcie którego przyjdzie mu występować w Pobiedziskach jako opowiadacz dowcipów (znowu parę groszy wpadnie); dotknęły leżącej odłogiem pracy magisterskiej (znowu zawalił kolejny termin); na chwil parę ułożyły się w treść nowej recenzji dla *Wprostu* (płacili tak sobie, ale prestiż też się liczy); otarły się o mglistą, zasnutą parą kąpieli rzeczywistość, w której renta Asi po zmarłym ojcu niebawem przystanie przychodzić, a rodzice stwierdzają, że niestety nie są już w stanie dłużej dofinansowywać dorosłego syna; na koniec zahaczyły o księgarnię, która okazała się równie dochodowa co wydawnictwo... Bo na wizyty w hurtowniach, zamiast samochodu – plecak i własne nogi; bo była pralnia na osiedlu Świętego Rocha to jednak nie taki idealny punkt, choć blisko przystanku i akademików; bo reszta wspólników jakby się znudziła niedochodowym „spółkowaniem”, bo wreszcie być sprzedawcą żadna to kariera dla poety, nawet przebrzmiałego...

Myśli szybowały, łapały się w pułapkę bańki mydlanej, wirowały tęczowo, by po chwili pęknąć i zniknąć.

Maciej Tamicki wypoczywał po dniu upału i ciężkiej pracy. Z czystym sumieniem bujał w obłokach i pianie, uwalniał umysł z wszelkich myśli. Niech lecą wraz z pianą... niech idą precz. Nasiąkał relaksem i piwem, odsączał zmęczenie i niepokój. Dym osnuwał jego głowę, miękkim kokonem otulał nerwy...

– Znowu palisz w łazience. – W głosie kobiety nie było złości ani specjalnego wyrzutu, marudziła dla zasady. Dlatego mężczyzna nawet nie otworzył oczu.

Joanna Tamicka usiadła na sedesie. Oparła się plecami o ścianę, nogi wsparła o krawędź wanny.

– Co byś powiedział, gdybym ci powiedziała, że jestem w ciąży?

Tamicki uśmiechnął się do kolejnej myśli pochwyconej w kolorowe ścianki mydlanej bańki.

– Ucieszyłbym się. – Bańka uniosła się i pękła. Maciej otworzył oczy. Na twarzy jego żony nie znalazł uśmiechu. – Ty na poważnie?

– Tak. Drugi miesiąc. Nie mówiłam wcześniej, bo chciałam się upewnić.

Tamicki usiadł i zanurzył głowę między nogami. Wanna była zbyt mała, by mógł się schować cały.

Myśli, które dotąd zaledwie muskały, zaledwie ocierały się o niego, teraz uderzały z siłą boksera wagi ciężkiej. „Aśka skończyła z nauką, w czerwcu została magistrem. Wniosek: koniec z rentą. Ojciec choruje, matka chce jechać do Rzymu odwiedzić papieża. Wniosek: koniec z forsą od staruszków. Jedno dziecko ma półtora roku, drugie dziecko w drodze. Przypuszczenie: Aśka raczej nie znajdzie pracy. Poprawka: nie chcę, żeby szła do pracy. Wniosek: zostałem jedynym żywicielem rodziny. Niebezpieczeństwo: wisi nade mną wojsko. Pytanie: czy można utrzymać rodzinę z księgarenki, która ma czterech szefów, za to tylko jednego pracownika, z weekendowego opowiadania dowcipów, dorywczej pracy w radiu i kilku recenzji? Odpowiedź: nie można. Podsumowanie: mam własną rodzinę, własny dom, własne życie, pora teraz stanąć na własnych nogach, trzeba...”.

Tamicki wynurzył się i głęboko zaczerpnął oddechu. Przejechał palcami po włosach, otrząsnął kropelki wody. Uśmiechnął się do zmartwionej żony.

– Naprawdę się cieszę.

Wstał, sięgnął po ręcznik. Zaczął się wycierać. Czas beztroskiego bujania w pianie minął bezpowrotnie. Wyszedł z wanny. Nagi przytulił się do żony i wyszeptał w jej włosy:

– Sama mówiłaś: to grzech, że nie mamy więcej dzieci. Za każdym razem, kiedy patrzę na Jędrka, przyznaję ci rację. Pora więc przestać grzeszyć.

RODZIMY PO RAZ DRUGI

– Pani rodzi. Rozwarcie na cztery centymetry.

– Pan żartuje?

– Bynajmniej. Nie w takim przypadku.

– Ale ja nie mam żadnych skurczów. Myślałam, że się spóźnia. Przyszłam, bo tak się umówiliśmy. Że jeżeli do trzydziestego marca nic się

nie zacznie dziać...

– Ale się zaczęło.

Istotnie. Nie wiadomo, czy wskutek badania, czy bardziej sugestii, Joanna Tamicka poczuła skurcze, strach i parcie na pęcherz. Klasyczne objawy zbliżającego się porodu.

Zanim pozwolono jej urodzić, znowu musiała przebrnąć przez cały rytuał przyjmowania na oddział.

– Nie ma pani książeczki zdrowia? – pytała niedowierzająco recepcjonistka.

– Nie, bo nie pracuję.

– A mąż?

– Pracuje, to znaczy... nie, pani nie rozumie...

– Zięć do niedawna prowadził księgarnię – wtrąciła pani Grażyna, która towarzyszyła córce. – Miał własny biznes, zarabiał na swoim bez książeczki, bo nie wymagali, tak mówili...

– Ale już go sprzedał – włączyła się do tłumaczeń pełna dobrej woli rodząca – facetowi, który tam zrobił ksero.

– I właśnie teraz Maciuś, to znaczy mój zięć – ponownie inicjatywę przejęła pani Grażyna – załatwia sobie pracę, na etat, taką z książeczką ubezpieczeniową, jedną dla niego, a drugą dla niepracujących członków rodziny.

– Tak, tak – potwierdziła Tamicka i spojrzała na zegarek. – Może dokładnie w tej chwili w Warszawie podpisuje umowę o pracę.

– Ale jeszcze jej nie ma? – drążyła nieustępliwa rejestratorka. – Książeczki, jeszcze nie ma?

– Nie... – westchnęła Joanna.

– To wpisuję panią na „czarna listę”. Jak mąż dostarczy książeczkę albo zaświadczenie o zatrudnieniu, wykreślę panią.

– Czarna lista? – wystraszyła się Grażyna Grzelak.

– Lista pełnopłatnych – wyjaśniła pani z recepcji. – Normalny poród, bez cesarskiego cięcia, trzy miliony, każdy dzień pobytu czterysta tysięcy – dorzuciła kilka bliższych informacji.

– Mąż dostarczy książeczkę – zapewniła gorliwie Joanna, która przypomniała sobie, że poprzednim razem spędziła w szpitalu dziewięć dni, bo Jędrek dostał żółtaczki.

Potem było znajomo. Ból, samotność, strach, godziny ciągnące się jak guma. Za to nie było cięcia. Znajomy ginekolog, do którego Joanna chodziła na wizyty przez całą ciążę, udowodnił, że jest nie byle kim w swoim fachu.

Dzięki temu oszczędził pacjentce wielu bezsennych nocy i bolesnych tygodni siadania półdupkiem oraz umożliwił gruntowne wysprzątanie mieszkania natychmiast po powrocie do domu.

– Chłopiec jak malowanie! – obwieścił po niecałych trzech godzinach akcji porodowej zadowolony z siebie lekarz. Joanna, która liczyła w duchu na dziewczynkę, westchnęła:

– No trudno...

Niemniej Mateusz Tamicki okazał się wyjątkowo ładnym i kształtnym chłopczykiem; aż pielęgniarki z innych oddziałów przychodziły go sobie oglądać. Okazał się też bardzo grzeczny, jak przystało na dobrze wychowane niemowlę. Nie miał kolek, nie marudził bez powodu, ssał jak smok i spał jak anioł. Już jako płód zachowywał się poprawnie – żadnych skurczów, omdleń, kopania po nerkach i wątrobie – Joanna prawie nie wiedziała, że jest w ciąży. Jednak nie miała złudzeń; w przyrodzie nic nie ginie, grzeczny płód i niemowlak z pewnością wyrośnie na histerycznego trzylatka. Ale to będzie dopiero za trzy lata...

W danym momencie więc nie syn, a mąż stanowił problem. Joanna Tamicka leżała w łóżku, robiła starszemu synkowi sweterek na drutach i rozmyślała: „Zdobędzie książeczkę czy nie?”. Hormony tym razem dały jej spokój, obyło się bez łez i napadów melancholii, wypoczywała sobie, wylegiwała się bezwstydnie, wysypiała za wszystkie czasy i pełnię szczęścia zakłócała tylko jedna natrętna myśl: „Zdobędzie książeczkę czy nie?”.

Dzień mijał za dniem, Mateuszowi z oporami i niespiesznie wykluwała się żółtaczka, a Joanna Tamicka, kończąc sweterek, podliczała, ile ten brak pośpiechu będzie ich kosztował. Choć Maciej dostał pracę jako kierownik powstającej w Poznaniu filii warszawskiej hurtowni książek Internovator, książeczki do ręki tak od razu nie dostał, z kolei na zaświadczenie trzeba było trochę poczekać. Joanna dziergała więc i zastanawiała się, kto z czym wcześniej skończy: Mateusz z żółtaczką, dział kadr z zaświadczeniem czy szpital z nimi.

– Najwyżej zrobimy zrzutkę w rodzinie – pocieszała jak mogła pani Grażyna. – My damy trochę, wy dacie trochę, rodzice Maciusia dadzą trochę, może twój chrzestny też...

Dzięki Bogu tudzież heroicznym staraniom Macieja Tamickiego obyło się bez upokarzającej zrzutki. Zaświadczenie dotarło na czas i wystarczyło.

PAMIĘTNIK DEMORALIZOWANEGO

Poniedziałek

Właśnie przyszedłem do pracy. Nudzę się. Ledwie przekraczam próg, zaczynam się nudzić. Taki odruch albo co? Dlatego piszę, żeby nie zapomnieć, jak to się robi.

O trzynastej zjawił się jakiś poddenerwowany facet. Okazał się kierowcą ciężarówki z Krakowa; od godziny krążył po Garbarach, nie mogąc znaleźć ulicy Za Bramką. Więc mu powiedziałem. Przynajmniej sobie z kimś pogadałem. Taka mała gimnastyka szczęki, żeby nie drętwiała.

Wtorek

Śniadanie już zjadłem. Teraz piję herbatę. Potem pójdę do magazynu i legnę na pakach.

(*dwie godziny później*)

Spałem. Potem położyłem się na plecach i patrzyłem w sufit. Liczyłem pajęczyny i kontemplowałem.

Kontemplacje Pana Kierownika

Żadna praca nie hańbi – powiadają mądrzy ludzie. Ale może demoralizować – dodają ludzie praktyczni. Mądrość jest dobra, praktyka bywa cyniczna. (Ładnie to powiedziałem). Miałem być dyrektorem hurtowni książek, tak to się na początku szumnie nazywało. Ostatecznie zostałem zatrudniony na etacie kierownika magazynu, z odpowiedzialnością materialną zresztą. Praktycznie zaś robię za magazyniera, i to często gęsto robię fizycznie. Trzy, cztery razy w miesiącu napinam mięśnie i wypakowuję towar, potem niczego nie napinam, tylko księguję towar, wreszcie nadwerężam kręgosłup i układam towar w magazynie. Ot i wszystko, cała praca, całe wyzwanie.

Środa

Dzisiaj nie pospałem za wiele. Ruch w interesie jak nigdy. Przyszedł jeden klient, popatrzył, pomarudził i wyszedł. Potem przyszedł drugi. Kupił paczkę *Historii O* i dwie paczki *Zmierzchu Średniowiecza*. Później wparowało trzech chłopaczków i wymachując kijami, zażądali pieniędzy. Powiedziałem, że im się coś pomyliło, hurtownia papierosów jest ulicę dalej, ja tu książki sprzedaję, a nie kokosy zbijam. Nie dali sobie wytłumaczyć. „Dawaj forsę!" – uparcie trwali przy swoim.

Wykopałem ich za drzwi. Jednemu chyba złamałem nos. Nie ja – drzwi. Solidne. Metalowe. Ale z zepsutym samozamykaczem...

Czwartek

Zapomniałem zabrać śniadanie. Nuda na głodnego...?

Skoczyłem do Supersklepu na Garbarach. Kupiłem sobie sałatkę szwedzką w słoiku, sałatkę śledziową w plastiku i trzy bułki; całość zapiłem herbatą.

Najedzony poszedłem na paki w wiadomym celu.

Obudził mnie telefon i poinformował, że zostaję po godzinach. O siedemnastej ma przyjechać nowy towar z Warszawy.

Towar przyjechał o dwudziestej, bo kierowca złapał gumę na trasie.

Do północy rozładowywałem blaszaka. Sam. Kierowca się nie kwapił.

Piątek

Właśnie przyszedłem. I zaraz idę odsypiać wczorajszą noc. Jak się obudzę, zobaczę, co dalej.

Nie zobaczyłem nic ciekawego, więc z przyzwyczajenia pokontemplowałem sobie trochę.

Kontemplacje Macieja T.

Matka inteligencja nie jest sprawiedliwa. Jednych obdarza hojnie, innych wyposaża dostatecznie, a niektórym na odczepnego daje dość sprytu, żeby wiedzieli, którędy do najbliższego sklepu monopolowego, z której strony trzyma się łopatę i jak się blokuje szosę traktorem. Śmiem twierdzić, że ja, Maciej Tamicki, jestem człowiekiem inteligentnym. Bez dwóch zdań i fałszywej skromności. Inteligentnym, z poczuciem humoru, a do tego jeszcze grzecznym i uprzejmym. (Moja żona świadkiem).

I naprawdę robiłem już w życiu wiele różnych rzeczy. Bardzo różnych. Niczego się nie wstydzę. Teraz też się nie wstydzę, tylko...

Moja żona – najwspanialsza zresztą – podsumowała moje zajęcie w jednym zdaniu: „Albo śpisz na pakach, albo przerzucasz paki, albo podglądasz koty buszujące po pakach”.

Istotnie, gdyby nie koty – umarłbym z nudów. W końcu ile można spać?

Znów poniedziałek

Przyszedłem (aha, w drodze spotkałem jednego z tych chłopaczków, którzy mnie chcieli obić kijami; ukłonił się z daleka, chyba zostaniemy kumplami), zjadłem, popiłem, odwiedziłem ubikację, poczytałem, sprzedałem dwie paczki „Cartlandki”, odespałem, jak zwykle po weekendzie, pokontemplowałem...

Kontemplacje podglądacza

Hurtownia mieści się przy Garbarach, na ulicy Szyperskiej, w miejscu wprost wymarzonym do obserwacji kociej społeczności. Palarnia kawy za płotem, rzeźnia o rzut kamieniem, Warta blisko, szczury wielkie jak samoloty, czyli – z punktu widzenia kota – jest co pić, jest zagrycha i jest komu w mordę dać. Kotów więc wokoło od groma. Łażą po płotach, wylegują się w słońcu, czasami się pobawią, przegonią intruza, zapolują na szczura albo coś innego. Koty to stworzenia, które umieją się nudzić. Podnoszą nudę do rangi sztuki. Zazdroszczę im. Jestem homo sapiens. To czasem gorsze od trądu.

Wtorek

Nareszcie coś się dzieje. Byłem świadkiem pojedynku w stylu westernowym. Samo południe, czas kociej drzemki. Nagle – szczur. Wlazł na kocie terytorium bez śladu strachu. Miał z pół metra i jakby samo to upoważniało go do bezkarności, szedł sobie środkiem uliczki, wyzywająco i bezczelnie. Z góry, nie wiadomo skąd, miękko i cicho zeskoczył czarny kocur, duży, ale niewiele większy od szczura. Siadł, zagradzając gryzoniowi drogę; machał ogonem na boki i czekał. Szczur nie uciekł... i przypłacił to życiem. Przyznaję, że chwilami miałem ochotę odwrócić wzrok od tej jatki, ale nie mogłem. Po skończonym pojedynku kocur siadł tyłem do martwego

wroga i zaczął lizać łapki. Koty bawią się myszami, zjadają je nawet, ale szczurów nienawidzą. W tym są podobne do ludzi.

Widok gromady spasionych szczurów, która o trzeciej nad ranem opuszcza rzeźnię i bez pośpiechu przecina Garbary, kierując się w stronę Warty, jest niezapomniany i przerażający.

Środa

Próbuję wkraść się w łaski kocich strażników. Wystawiam mleko, kupuję wątróbkę, wabię... Kocury ignorują mnie całkowicie, kocięta uciekają na najlżejszy szelest. Jedynie kotki dają się skusić, nawet pozwalają się pogłaskać, a jedna przyniosła mi dzisiaj na wpół żywą ze strachu mysz. Niemniej pozostają dzikie – kapryśne i nieobliczalne – prawdziwe dzikie koty, żadne domowe kociaki. Czuję się zafascynowany.

Czwartek

Tylko jak długo można podglądać koty...?

Wracam do domu i jest mi źle. Coś mnie boli, ale nie umiem powiedzieć co.

Piątek

– Inteligencja cię boli – postawiła diagnozę małżonka. – Jest na głodzie. Domaga się bodźców i podniet.

– To gorzej – powiedziałem.

Poniedziałek

Widzę światełko w tunelu. W piątek wieczorem pojawił się mój starszy brat. Miał światełko ze sobą. W postaci propozycji napisania kilku tekstów dla studia nagrań OH YES, z którym współpracuje jako realizator dźwięku. Na razie na próbę. Chcą robić polskie wersje zachodnich przebojów i potrzebują tekściarza.

– Powiedziałem, Młody, że sobie dasz radę, więc daj – powiedział mi Młody. – To taka sobie chałturka, ale...

– Dam – uspokoiłem go bez wahania, czując, jak moja zbolała inteligencja przeciąga się, otrzepuje z kurzu i prostuje plecy, aż w stawach trzeszczy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY
czyli wariatka i zbieg.

Było ciepło. Nie upalnie, jak to czasem bywa latem, gdy rozpuszczamy się w męce istnienia, a czynność tak prosta jak oddychanie zdaje się zbyt skomplikowana – ale ciepło. Nie dość ciepło, jak to się zdarza wiosną, kiedy zdzieramy czapkę ze spoconej głowy, porzucamy nonszalancko kurtkę, a za chwilę walczymy z wiatrem, deszczem i nieżytem – ale ciepło. Zwyczajnie ciepło. To umie tylko jesień. Zanim się zestarzeje i zgorzknieje, złotobrązowa jesień jako jedyna rozumie, czym jest umiar i wyczucie. Bez przesady z gorącem, bez przesady z wiatrem – mówi i promieniuje ciepłem. Takim zwyczajnym. Aż nieprawdziwym. Zwłaszcza dla kogoś, komu ciepło kojarzy się wyłącznie z kaloryferem.

Roman Pędrak nie odczuwał owego miłego dla duszy i ciała ciepła. Jemu było gorąco, bardzo gorąco, tym bardziej że pocił się z emocji, nie z powodu klimatu. Pot spływał z niego nieprzerwanie, znacząc czoło, kark i plecy wilgotnymi ścieżkami strachu, sklejając nieprzyjemnie rudawe kępki owłosienia na zdeterminowanej twarzy. Wystraszonej, młodej i niezbyt ładnej, ale niewątpliwie zdeterminowanej.

Nie miał wyboru. Musiał się ukryć. Musiał zebrać myśli, które gnały przed siebie jak spłoszone ptaki – bez planu, bezwiednie, niebezpiecznie. Nie mógł wrócić. Spalił za sobą mosty. Jeżeli go złapią... Wolał nie myśleć. Potrzebował schronienia. Był głodny, zmęczony, potrzebował spokoju, dachu nad głową, czterech ścian, szklanki wody... Potrzebował azylu. Nie miał wyboru. Musiał pomyśleć.

Chłopak wyszedł z cienia pod schodami przy sklepie PHS-u i skierował się w stronę najbliższego bloku. Tylko dzięki sile swej determinacji nie zaczął biec; to byłoby głupie, ale panika nie należy do najmądrzejszych przewodników.

Wemknął się do środka bloku numer dwa, zaraz za kobietą z wózkiem, i instynktownie skręcił w prawo. Minął skrzynki na listy, jedne drzwi,

drugie, otworzył trzecie, prowadzące na klatkę schodową i do piwnic...

Siedział po ciemku, na ziemi, wsparty plecami o ścianę. Prawie się uspokoił, przestał dygotać, oddychał już niemal bez trudu, zamiast łykać powietrze jak ostatnie kęsy wolności. Poczuł, jak bardzo chce mu się pić; przełknął ślinę, zaczął rozmyślać, co dalej, kogo zna, komu ufa... – „nikomu, źle, gówno, no, nikomu...” – sięgnął do kieszeni, żeby przeliczyć pieniądze, i zdrętwiał.

Zobaczył światło, usłyszał kroki... Ktoś schodził do piwnicy!

Joanna Tamicka była od samego rana w doskonałym nastroju. Jako osoba z natury pogodna poddała się całkowicie ciepłym wpływom wczesnojesiennej aury. Nic jej nie bolało: ani głowa, ulegająca migrenom i spadkom ciśnienia, ani skrzywiony podwójnie kręgosłup, ani pokręcona dusza. Nic jej nie wyprowadzało z równowagi: ani często nieobecny mąż, ani aż nazbyt obecne dzieci, ani życie jako takie. Tryskała humorem, optymizmem i energią. Nie chcąc więc marnować takiej okazji, zabrała się za spóźnione wiosenne porządki. Szorowała balkon, przesadzała kwiaty, zdejmowała pajęczyny z rur i sufitów, buszowała wśród półek, nurkowała w głąb pawlacza oraz pod łóżko i wywalała, co się dało. To, co mogło się jeszcze przydać, ale na razie tylko zawadzało, wpakowała do kartonu i postanowiła wynieść do piwnicy.

Przyczajony Roman Pędrak popełnił dwa błędy w założeniach. Po pierwsze przyjął, że w szesnastopiętrowym budynku ze stu dwudziestoma ośmioma mieszkaniami większość lokatorów zna się przynajmniej z widzenia, o ile nie utrzymuje ze sobą bliższych kontaktów towarzyskich. Marzyciel! Po drugie założył, że osoba, która schodziła ze schodów, podśpiewując pod nosem „kochać to nie znaczy zawsze to samo”, jest najzupełniej normalna. Tu też się pomylił, bo o Joannie Tamickiej można by wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest statystycznie normalna. Nikt, kto znał ją bliżej, nie nazwałby jej Matką Polką, Modelową Żoną czy Gospodynią Miesiąca (choć zupy gotowała naprawdę świetne). Maciej Tamicki cenił swoją żonę, kochał ją i lubił, ale nie ufał jej za grosz, twierdząc, że nigdy nie wiadomo, co zrobi i z czym wyskoczy. Towarzyszył jej rozgardiasz – w gestach, słowach, myślach i nastrojach. Żyła we własnym świecie, nawet mówiła własnym językiem.

Roman Pędrak nie miał o tym pojęcia. Przerażony, lecz zdecydowany na wszystko – ach, ta determinacja! – czaił się za załomem korytarza.

Joanna mało nie spadła z piwnicznych schodów, kiedy przepełniony karton zawadził o poręcz. Na szczęście udało jej się nie skręcić karku, a co ważniejsze, nie stracić dobrego humoru.

– Oferma – mruknęła pod swoim adresem. Przyparła karton do muru i podtrzymała od dołu kolanem. Uniosła dłoń i polizała otarte do krwi knykcie. – Kiedyś w końcu się zabijesz – pokiwała głową z politowaniem – a wtedy, jak w pysk strzelił, Maciuś cię udusi.

Ruszyła dalej, nucąc pod nosem: „nagle możesz zacząć spadać w dół, a to już nie to samo".

Właśnie mocowała się z kłódką i frazą: „trzeba stale uważać, żeby kogoś nie zranić", gdy złapano ją od tyłu i przyłożono coś zimnego do szyi.

– Aaa!!! – wrzasnęła poprzez dławiące ją palce i podskoczyła od nagłego przypływu adrenaliny; jej łokieć odruchowo wpasował się w żołądek napastnika.

– Uch! – stęknął zaskoczony chłopak. Był przygotowany na krzyk, ale nie na takie obronne odruchy. Bezwiednie poluźnił uścisk. Młoda kobieta, nie zważając na nóż kuchenny przytknięty do swojej tchawicy, obróciła się na pięcie i natarła na Romka Pędraka niczym dzika furia. Walnęła go pięścią w ramię.

– Ty idioto, mało nie umarłam ze strachu!

– Ty kre-tynko – wystękał zdenerwowany chłopak – mało nie poderżnąłem ci gardła! Co z tobą... kobieto? – Roman Pędrak w oszołomieniu przypatrywał się napadniętej.

– Ze mną? – wycedziła Joanna Tamicka. – Co... ze mną?! Czy to ja napadam na ludzi w piwnicy i wymachuję im przed nosem bagnetem? Właściwie czego ty ode mnie chcesz? – Teraz ona przypatrywała mu się podejrzliwie i w nieco mętnym świetle, na koniec skrzywiła się z dezaprobatą. – Jeżeli masz zamiar mnie zgwałcić, to bardzo mi przykro, to znaczy w ogóle mi nie przykro, ale jestem niedysponowana.

– Co ty gadasz, kobieto? – Romek zaczął się cofać, czując, że sytuacja wymyka mu się z rąk.

– Co gadam, to gadam, a tobie do tego guzik. – Odwróciła się i znowu zaczęła mocować się z kłódką. – Gadać nie wolno? – mruczała do siebie. – Niby z jakiej racji, żyjemy w wolnym kraju. – Zerknęła na niego ponad

ramieniem. – Nie zauważyłeś? I radzę ci, nie mów do mnie „kobieto”. Czy ja wyglądam na kobietę?

Romek obrzucił szybkim spojrzeniem swoją ofiarę: rozwleczony sweter, pstrokate leginsy, na stopach zdrowotne klapki, włosy opadające na twarz, błąkający się na ustach dziwny uśmieszek...

– Nie... tak! Znaczy, co ty... co ty, do cholery, robisz kob...?!

– Do cholery pakuję ten karton, a konkretniej do mojej piwnicy, po to tu przyszłam i o mało przy tym nie spadłam ze schodów. – Joanna umieściła karton na górze innych paczek i szybko zamknęła drzwi, żeby cały stos nie zwalił jej się na głowę.

Roman Pędrak postanowił wziąć się w garść. Zaczął intensywnie myśleć. Kobieta, dziewczyna? – w każdym razie ona – była najwyraźniej szurnięta, ale to on trzymał w ręku nóż. Zacisnął mocniej palce na metalowym trzonku. Sama sobie winna. Mogła uciec z dziesięć razy, ale go zignorowała; widać uznała, że nie jest groźny. Już nigdy więcej nie pozwoli się nikomu ignorować, nawet takiej wariatce jak ta tutaj. Szybkim ruchem złapał ją za włosy i podsunął ostrze wprost pod perkaty nos.

– Widzisz? Przestań wreszcie gadać pierdoły i prowadź do...

– Uważaj, bo mi tą łyżką wydłubiesz oczy. – Joanna Tamicka szarżowała jak nigdy w życiu. – Skąd żeś to ukradł, ze stołówki? Auć, nie ciągnij mnie tak, wszystkie włosy mi wyrwiesz! – I znowu damski łokieć wylądował we wrażliwym punkcie ciała Romana Pędraka; tym razem trafił w splot słoneczny.

– Uch! – ponownie stęknął chłopak. Zbierało mu się na płacz. Był do niczego. Zawsze mu to wszyscy powtarzali: ojciec, koledzy, wychowawcy w poprawczaku. Najwyraźniej mieli rację. To on się mylił, nie wierząc. Będzie musiał tam wrócić. Do tego gównianego poprawczaka wśród gównianych topoli. Będzie musiał wysłuchiwać gównianych uwag i ponosić gówniane kary, zrobią mu kocówę i może nawet...

– Gówno! Gówno! – krzyknął z głębi duszy i na ile pozwalał mu sponiewierany splot. Potem w desperackim proteście rzucił się za swoją umykającą ofiarą i popchnął ją na ścianę. Głowa Joanny Tamickiej uderzyła o ceglany mur, aż zadzwoniło.

– A żeby cię osrało, dupku... – wyjęczała nieszczęsna właścicielka wrażliwej czaszki. – Po coś to zrobił?

– Żebyś zaczęła słuchać, wariatko! – Roman cały dygotał od nadmiaru adrenaliny. Tymczasem jego przedramię wyciskało śniadanie z żołądka niesfornej mieszkanki bloku numer dwa.

– Przecież ty nic właściwie nie mówisz. – Joanna zaryzykowała uwagę pomimo bólu i coraz większego strachu.

– Chcę pić, jeść i jakieś pieniądze! – wrzasnął Roman Pędrak.

– Jeść, pić i pieniędzy mu dajcie – sparafrazowała Joanna Tamicka, nie mogąc się powstrzymać. – O rany, ale mnie głowa boli, mam nadzieję, że to wstrząs mózgu, a nie migrena.

– Jest ktoś w domu u ciebie, twój stary, czy kto tam... ojciec, mąż? – Romek potrząsnął nią, próbując przywołać gadatliwą zakładniczkę do porządku.

– Nie rób... tego – wyszeptała – nie trącaj mnie. A starego nie ma, przecież bym nie szła sama do piwnicy, gdyby był... Moja głowa, mój brzuch... Weź łapy z mojej dwunastnicy, zaraz puszczę pawia...

– Idziemy!

– Idźcie, idźcie, ja tu sobie posiedzę. – Osunęła się po ścianie i klapnęła na stopień.

– Wstawaj, idziemy! – Zdenerwował się i siłą poderwał ją do góry.

– Ostrzega... – Joanna Tamicka nie zdążyła dokończyć. Zwymiotowała prosto na Romana Pędraka, który wreszcie przestał nią potrząsać.

– Dziękuję – szepnęła i dokończyła dzieła, opróżniając do reszty żołądek na jego buty.

– Gówno, co za gówno – wycharczał chłopak.

– Nieprawda. Jadłam bułkę z szynką i jajko na miękko.

– Gówno! – powtórzył maniacko Roman Pędrak, ale niewiele mu to pomogło. Adrenalina się ulotniła, determinacja osłabła, pozostał lęk i niemiły zapach.

Joanna Tamicka usiadła na schodach i oparła czoło o zimną ścianę. Nie czuła się najlepiej i było jej dokładnie wszystko jedno, czy obrzygany napastnik będzie się mścił bądź wysuwał jakieś dalsze żądania. Zbyt bolała ją głowa.

– Ale śmierdzisz – zauważyła nie bez złośliwości. – Odsuń się trochę, bo... – Zamarkowała odruch wymiotny. Roman odskoczył jak oparzony. – Ciągle jesteś głodny? – spytała niewinnie.

Chłopakowi nawet nie chciało się rzucać morderczych spojrzeń. Chyba zasłużył sobie na to, co go spotkało. Przecież zawsze brzydził się przemocą. Tym bardziej że z reguły to on obrywał, a nie na odwrót.

– Przepraszam – powiedział cicho – nie myślałem, że uderzysz.... że uderzy się pani tak mocno. Chciałem tylko nastraszyć...

– Powiedzmy, że jesteśmy kwita, ty mnie walnąłeś, ja cię obrzygałam. Teraz oboje się boimy. Co tu robisz?

Chłopak zamrugał powiekami. Skok tematyczny był zbyt gwałtowny.

– Co gdzie robię?

– No tu, w tej piwnicy, w bloku numer dwa, na osiedlu Orła Białego, w Poznaniu nad Wartą, w Polsce, przednóżku Europy, skąd się urwałeś? Ile ty masz lat? Siedemnaście? I co ci w ogóle odbiło, żeby się rzucać? To chyba było przedmurze, i to chrześcijaństwa, wiesz, czasami mi się coś pokręci, a jakbyś sobie siedział grzecznie w kącie, udawał, że zamykasz piwnicę, albo po prostu powiedział „dzień dobry”, oboje lepiej byśmy na tym wyszli, a tak, szkoda gadać... Może zresztą to było i jedno, i drugie. Nie wyglądasz najlepiej, ja chyba też niespecjalnie...

Roman Pędrak coraz szerzej otwierał oczy.

– Czy ty zawsze tyle mówisz? Tyle i w taki.... – wzruszył ramionami – sposób.

– Zawsze – potwierdziła. – To mnie uspokaja, lubię mówić, poza tym jakbyś siedział w... od... – próbowała liczyć w myślach – no od dawna, do tego sam, tylko z gaworzącymi dziećmi, też byś tyle mówił, żeby nie wyjść z wprawy. Boję się, że niedługo zacznę zapewniać mojego troskliwego męża: „Acia dobla, dobla wecynka, nie nabloiła nicego łego...”. – Joanna Tamicka, jak zwykle w trakcie rozmowy, rozgestykulowała się cała, zupełnie zapominając o urażonej potylicy. – Sss... – Wciągnęła gwałtownie powietrze i przymknęła z bólu oczy.

Roman Pędrak, pełen winy, też usiadł na schodach.

– Ale czemu rozmawiasz ze mną? – wyszeptał. – Czemu nie idziesz do domu? – pochylił się z bezwiedną troską w jej kierunku. – Już lepiej rozmawiać z niemowlęciem, niż siedzieć w piwnicy, w przeciągu, na zimnych schodach i gadać z kryminalistą.

– A jesteś?

Romek zmarszczył brwi. Po chwili wolno pokiwał głową. Trudno się z nią rozmawiało, ale zaczynał się uczyć.

– Chyba tak, skoro napadłem na ciebie, na panią...

– Mów mi ty, w obecnej sytuacji będzie to bardziej naturalne. Czy ty się o mnie przypadkiem nie martwisz? Te zimne schody, przeciągi, zadawanie się z nieodpowiednim elementem? – Popatrywała na niego z ukosa i uśmiechała się, też z ukosa, prawym kącikiem ust w górę, lewym w dół.

– Już masz guza, może wstrząs mózgu – tłumaczył chłopak, broniąc się przed oskarżeniem o nieuzasadnioną i niemęską troskę. – O mało nie spadłaś ze schodów, leci ci krew z ręki, brakuje, żebyś złapała wilka. Poza tym dziewczyny nie powinny same chodzić do piwnicy. Powinnaś bardziej na siebie uważać. Gdyby na moim miejscu był jakiś prawdziwy bandyta, leżałabyś tu pobita, o ile nie zabita, a przynajmniej zgwałcona. – Zaczerwienił się gwałtownie i widocznie, nawet mimo panującego półmroku.

– Pochlebiasz mi, ale mówisz dokładnie jak mój mąż, cytuję: „Jesteś jak dziecko, wciąż trzeba cię pilnować. Ostry nóż, gorąca woda, dziura w chodniku, wszystko się na ciebie rzuca, nie potrafisz pieluchy wyprasować, żeby nie wyglądać później jak ofiara wojny chemicznej, bąbel na bąblu, spójrz na swoje ręce!”. W tym miejscu podciąga mi rękawy, kręci głową w przerażeniu, zapala kolejnego papierosa i kontynuuje: „Bez przerwy coś tłuczesz, wywracasz się i kaleczysz, jesteś nie-od-po-wie-dzial-na, słyszysz, do tego zbyt łatwo sprowadzić cię na złą drogę”. Tak to mniej więcej idzie. Moja mama do tej pory, jak nam się zdarzy razem przechodzić przez ulicę, łapie mnie za rękę. Uwierzyłbyś? Dwudziestoczteroletnią córkę?!

– Może się o ciebie martwi? Twój mąż też...

Joanna Tamicka ostrożnie uniosła głowę, próbując złowić spojrzenie chłopaka. Uparcie umykał nim w bok.

– Chciałbyś, żeby o ciebie ktoś się tak martwił?

– Nic takiego nie powiedziałem! – zaprotestował szybko.

– Nie, nic takiego nie powiedziałeś... Uciekłeś, co? Skąd?

– Z poprawczaka – rzucił odważnie i spojrzał na nią spode łba. Znowu jej nie docenił. Nawet nie mrugnęła okiem. Może zbyt mocno bolała ją głowa. Poczuł wstyd. Mówiła niby dużo, ale cicho i za wolno. Nie wiedzieć czemu był absolutnie pewien, że zwykle mówiła głośno, szybko, łykając końcówki i myląc słowa. „Nic mi nie zrobiła – myślał w popłochu. – Do tego ma rację, gdybym nie spanikował, pewnie poszłaby swoją drogą...

A szkoda... Ale ma dzieci... Mogłem jej zrobić krzywdę. Mogłem? Zrobiłem...”.

– Dlaczego?

– Bo miałem dosyć! – wybuchnął. – W telewizji pieprzą o kociarstwie, no wiesz, w wojsku, że jakie to niby straszne, kiedy starsze roczniki wyżywają się na młodszych. Dla mnie wojsko to pryszcz! Poszedłbym do woja choćby jutro. Przez całe swoje gówniane życie byłem kotem. Jako rekrut wiedziałbym przynajmniej dlaczego. – Schylił głowę i splunął na ziemię. – A jak jeszcze ten... ten gówniany pedzio, Gega, zaczął się do mnie dobierać...

– Za wybredny to on chyba nie jest ten Gega, co? – Joanna Tamicka znowu uśmiechnęła się po swojemu, przekornie i na ukos. Romek mimo woli odpowiedział uśmiechem. – Dlaczego tam trafiłeś?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze wiedziałem, że w końcu tam trafię. Normalka. Taka rodzina, taka okolica, normalka, gówno jak to w szambie. Po takich jak ja nikt się nie spodziewa niczego dobrego. Sędzia powiedział, że to się nigdy nie skończy, jeżeli w domu brak odpowiednich wzorców, że będzie coraz gorzej, dzisiaj kradzieże, jutro rozboje i nie wiadomo co jeszcze, że to dla mojego własnego dobra, takie tam pierdoły.

– Kradłeś... z głodu?

Roman roześmiał się nieprzyjemnie.

– Za pierwszym razem ojciec wysłał mnie po flaszkę, ale szmalcu nie dał. Powiedział, że rzuca mnie na głęboką wodę i że bez połówki mam nie wracać. Miałem osiem lat.

– Przykro mi.

– Gówno.

– Rozumiem.

– Gówno i gówno – potwierdził zawzięcie Roman Pędrak.

– Przynajmniej się staram. – Kobieta westchnęła. – Domyślam się, że „gówno” było pierwszym wypowiedzianym przez ciebie słowem i nadal pozostało ulubionym.

– Co?

– Nico. – Zmrużyła oczy i pomacała dorodnego guza z tyłu głowy. – Ożeż ty! – mruknęła z podziwem. – Będziesz musiał tam wrócić, wiesz, nie?

– Nie. – Wyprostował się momentalnie, czujny i zły.

– Możesz sobie zaprzeczać, ale gówno to gówno, że posłużę się twoją retoryką, w końcu cię złapią, albo wpadniesz w to, jak mu tam, szambo po same uszy, na razie tkwisz tak... no, powiedzmy do kolan, góra do pasa, ale...

– Odpuść – przerwał jej. Zaczynała go denerwować. Gadała jak dorosła, gorzej, jak przemądrzała dorosła, jak wróg. – Mówiłaś coś o jakichś bachorach. Gdzie one są?

– Śpią, ucinają sobie drzemkę, kochane potworki... – Uśmiechnęła się w przestrzeń.

– Dobra jesteś! – zadrwił. Zupełnie już stracił humor. Znowu było jak zawsze; był on, a potem cała reszta, gdzieś obok, bez niego. – Zostawiasz dzieciaki same i pozwalasz napadać się w piwnicy. Świetnie!

– Długo śpią z reguły, i nie krzycz, głowa mnie boli, poza tym nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Gdyby nie ty, już dawno byłabym w domu.

– To spadaj, ja cię nie trzymam.

– Bo pójdę... – Wstała wolno, przytrzymując się poręczy.

– Zjeżdżaj! – warknął. – Ale już, bo się rozmyślę i jednak cię zgwałcę.

– Obraziłam się – oświadczyła Joanna Tamicka bez śladu uśmiechu i zaczęła wspinać się po schodach.

– Wariatka – rzucił za nią, żałując uśmiechu, który ze sobą zabrała. – Kretynka, pojebana filantropka! – dodał, choć nie do końca był pewny, czy dobrze rozumie znaczenie tego ostatniego słowa. Później, sam nie wiedząc czemu, cofnął się od schodów i poszedł sprawdzić, jaki numer miały drzwi piwnicy, przy których ją przydybał.

Joanna Tamicka z głową owiniętą mokrym ręcznikiem otworzyła drzwi. Przed nią na wytartej wycieraczce stał znajomy napastnik z piwnicy. Jej wargi bezwiednie i natychmiast ułożyły się w charakterystyczny uśmieszek. Radosny dołeczek w policzku nie wiedzieć czemu zirytował prawie skruszonego Pędraka.

– Czy ty nigdy, do cholery, nie patrzysz przez wizjer? – zaatakował.

– Nigdy. I zmień płytę, mały, jak ty właściwie masz na imię? Bo naprawdę pomyślę, że jesteś mentalnym sobowtórem mojego męża.

– Czym?

– Niczym.

– Wiem... – mruknął, przestępując z nogi na nogę. – Romek – dodał smętnie.

– Chryste, nie bierz tak wszystkiego do siebie. Chociaż ja też to robię, tyle że ja jestem wariatką, co już zdążyłeś zauważyć. Ciągle śmierdzisz... Romek. Chodź, ciocia Asia da ci jakieś ciuchy na zmianę i wypierze te... – Skrzywiła się z obrzydzeniem. – Nie, te sam sobie wypierzesz.

Pędrak wciąż stał niepewnie w progu.

– No chodź, tylko zachowuj się cicho, bo obudzisz dzieci. Ciągle śpią – podkreśliła z triumfem. – Ale jak się obudzą, nigdy nie wiadomo, gotowe wziąć cię za chuligana i...

– I pobić – dokończył Romek, wzdychając z rezygnacją. – Dobrze, będę uważać – obiecał, przekraczając próg.

– Łazienka jest tam, tu masz stary, ale świeży dres. No, bierz i idź! Co tak stoisz i śmierdzisz?

Romek, tłumiąc nerwowy chichot, schował się w łazience.

– I kto tu się boi gwałtu – skwitowała Joanna Tamicka szczęk przekręcanego zamka w drzwiach. – Chcesz jakąś bułkę albo co, może colę?

– Może obiad? – spytał z nadzieją Romek, wyplątując się z brudnego odzienia.

– Nie mam obiadu – wyznała Joanna do zamkniętych drzwi łazienki. – Dzisiaj sprzątałam, gotować będę jutro, ale coś ci tam znajdę w pralce, chociaż szalona ostatnio mrozi wszystko na kość.

– Pralka... mrozi... na kość... – powtórzył Pędrak, w osłupieniu przyglądając się masywnemu Superautomatowi PS 663 S Bio. Spojrzał w górę, szukając odpowiedzi. Nad pralką wisiały trzy pary leginsów: turkusowe, czerwone i w afrykański wzorek. Obok, przypięty za ucho, dyndał mocno wykochany miś panda, a za nim, przywiązana sznurowadłami do linek, wysychała para damskich tenisówek, czarnych w pomarańczowe kropki.

– Wiesz, lubię cię... ciociu Asiu – wyznał, zdumiony zarówno tym uczuciem, jak i własną szczerością.

Nim odkręcił wodę, usłyszał jeszcze niezbyt czysty, za to pełen entuzjazmu alt swojej gospodyni:

– „A kiedy przyjdzie na ciebie czas, a przyjdzie czas na ciebie, porwie cię wtedy do góry tak, wysoko cię uniesie...!”.

Maciej Tamicki poznał okrojoną wersję zdarzeń. Joanna słusznie uznała, że raczej nie byłby pobłażliwy dla kogoś, kto napadł na jego żonę w piwnicy, z nożem na dokładkę.

– Spadłam ze schodów i nabiłam sobie guza, ten młody człowiek pomógł mi się pozbierać, a ja się na niego zwymiotowałam; dałam mu twój stary dres na zmianę, dałam mu też twoją kolację, więc musisz sobie coś kupić, może flaczki, aha, przypadkiem okazało się, że Romek uciekł z poprawczaka, będziesz go musiał odprowadzić, nie ma innego wyjścia, już to sobie ustaliliśmy, jak wróci po dobroci, no wiesz... Tylko nie pozwól mu zrobić krzywdy! Przedstaw się jako jego wujek albo przyjaciel wujka, albo chrzestny czy coś w tym stylu, i wyjaśnij przekonująco, ty to potrafisz, kochanie, dlaczego chłopak uciekł, no że go sytuacja zmusiła, że był zdesperowany i tak dalej, że już nie będzie...

Na sugestię, żeby sama poszła i wszystko wytłumaczyła, Joanna tylko prychnęła i nie podjęła wątku. Ale Tamicki twardo dowodził, że najwyższa pora wreszcie wydorośleć i skończyć z tą wygodnicką nieśmiałością.

– Jeśli masz jakieś zobowiązania wobec pana Romka albo uważasz, a raczej twoje sumienie uważa, że tak trzeba, sama to załatw. Dlaczego zawsze musisz się mną wyręczać?

Romek poprosił, żeby się nie fatygowali.

– Sam trafię, to niedaleko, nawet z waszego balkonu widać, o tam, gdzie te topole szpalerem stoją, poza tym jakoś tak ciepło się zrobiło, nie zauważyliście... państwo? Przejdę się spacerkiem.

Tamicki skapitulował, spiorunowany oskarżycielskim wzrokiem żony, który nie mówił, ale wręcz krzyczał: „No, widzisz, co narobiłeś?!”. Odprowadził chłopaka i wytłumaczył, jak umiał. Szepnął też komu trzeba, iż współpracuje z pewną gazetą i artykulik o seksualnym napastowaniu chłopców w placówkach niby to wychowawczych byłby dla tego pisma nie lada gratką. Z czystej życzliwości poradził więc trzymać niejakiego Gegę z dala od Romana Pędraka. Na pożegnanie obiecał odwiedzać swojego „stryjecznego siostrzeńca” i sprawdzać, jak mu się wiedzie.

O faktycznym przebiegu spotkania w piwnicy dowiedział się po jakichś trzech miesiącach. Joanna Tamicka dłużej nie wytrzymała. Wygadała się. Nigdy nie umiała trzymać języka za zębami ani tajemnic w skrytości. Ale wtedy Maciej Tamicki zbyt już lubił Romka Pędraka, żeby go zabić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY
czyli postanowienia noworoczne.

Wraz z nadchodzącym nowym rokiem 1993 Maciej Tamicki – dwudziestoszścioletni magister polonistyki średniego wzrostu, szczupły mężczyzna, szatyn obcięty na jeża, podwójny ojciec i człowiek rozlicznych (byle nie technicznych) talentów, przedkładający niezobowiązujące dżinsy, koszule flanelowe, T-shirty, swetry i okrągłe okularki nad garnitury, krawaty, sygnety i żele do włosów – miał przynajmniej trzy powody, by się nad sobą poważnie zastanowić.

Po pierwsze zdrowie pozostawiało wiele do życzenia. Podstawowy problem stanowiły nerwy (nie głowa, żeby nie było nieporozumień, ale nerwy), a co za tym idzie – żołądek.

Swoją drogą ciekawe, jak ludziom inteligentnym i wrażliwym zbytnie przejmowanie się światem zaraz rzuca się na żołądek. Choć doprawdy trudno stwierdzić, co tak mogło zdenerwować Tamickiego, że w samym środku świąt zaczął się zwijać z bólu, wymiotować i zaprzysięgać dożywotnią dietę oraz abstynencję.

Kto wie, może wykończyły go zbyt ofiarne i po części daremne wysiłki, by święta tego roku wreszcie były bogate i dostatnie? A może przeraziła go perspektywa telewizyjno-konsumpcyjnego tygodnia na łonie rodziny? Albo zwyczajnie zaszkodził mu staropolski bigos z wkładką? W każdym razie Maciej Tamicki zdążył się nacieszyć Wigilią u swojej najlepszej teściowej i popołudniem Pierwszego Święta u swojej matki rodzonej, a już w nocy z 25 na 26 grudnia jego żołądek ostatecznie udowodnił mu, kto tu rządzi. Nagle, bez ostrzeżenia, wywrócił się na drugą stronę i wylał z siebie całą złość gromadzoną przez lata milczenia.

Jezu, jak to bolało!

Tamicki, szary na twarzy, z żółcią na ustach i zwinięty w precelek na łóżku, chcąc nie chcąc, musiał się pogodzić z faktem, że jest chory. Cho-ry! Nie inaczej. Konieczna będzie wizyta u lekarza, który z pewnością zapisze

mu jakieś paskudne pigułki o smaku gipsu, które trzeba będzie brać i nie narzekać. Tak więc pierwsze dogłębne przemyślenie Macieja brzmiało: „Jestem chory i potrzebuję fachowej pomocy”. Zaraz potem była próba przekonania samego siebie, że nie ma się czego wstydzić i słabość przewodu pokarmowego nie oznacza wcale słabości ducha. Zadanie tym trudniejsze, że z owym niezłomnym duchem nie działo się najlepiej.

Maciej Tamicki od wczesnej młodości miał kłopoty z rzeczywistością, przejawiające się w postaci „problemów gastrycznych na tle spastycznym”, a wyglądało to trochę jak typowe przypadłości trapiące kobietę brzemienną. Wreszcie po dziesięciu latach Tamicki uznał, że najwyższa pora skończyć z tą przydługą ciążą. Było to drugie – po decyzji à propos wizyty u gastrologa – ważne postanowienie podjęte w przededniu nowego roku 1993. Maciej Tamicki odczuwał autentyczną potrzebę zmiany, nieopanowaną chęć wyrwania się na świeże powietrze z zaduchu własnej zwichrowanej jaźni.

Koniec – zdecydował pomiędzy kolejnymi uderzeniami bólu i wycieczkami do łazienki, podczas gdy rodzinka obżerała się sernikiem tudzież opijała barszczem przyrządzonym na zakwasie domowej roboty – koniec z głupimi, nieuzasadnionymi kompleksami, bezsensownym obawami, koniec z kawą i herbatą, koniec z ciągłym udowadnianiem czegoś sobie albo innym, koniec z piwem i ciężką, tłustą kuchnią! Nadeszła pora mleka, dietetycznego jedzonka, ziółek, pora oczyszczenia i zgody z samym sobą.

„Maciusiu! – zawołał z głębi wątpiącej duszy. – Daj sobie wreszcie powiedzieć: jesteś niezły! I jesteś dorosły. Polub się, człowieku. I doceń! Masz żonę, którą kochasz, masz dwóch świetnych chłopaków, masz regularną rodzinę, którą na dodatek sam utrzymujesz, masz też dom, możliwości i... samochód!”.

Chyba właśnie samochód przekonał ostatecznie Tamickiego, że jest mężczyzną i naprawdę coś potrafi.

Własne auto... Odwieczne marzenie każdego chłopca – dużego i małego. Na benzynę czy na pedały, własne auto, które jedzie, trąbi i wyprzedza, jak nic innego poprawia nastrój panów na całym świecie i w każdym wieku. Pomijając więc kwestie zdrowotne oraz duchowe, Maciej Tamicki od listopada znajdował się w typowo męskiej euforii. Wszedł bowiem w posiadanie pojazdu samochodowego, to jest ośmioletniego fiata 126 p

koloru żółtego, którego nabył od swoich rodziców częściowo za gotówkę, częściowo za obietnicę gotówki – i to rozłożonej na raty.

Auto, nawet małe, ułatwia życie. Zwłaszcza komuś, kto nie obija się w jednej robocie, a kursuje po Poznaniu między Internovatorem na Garbarach, gdzie od dziewięciu miesięcy pracował oficjalnie, Agencją Reklamową Radia Omega przy Świętym Marcinie, gdzie mniej więcej od miesiąca pracował nieoficjalnie jako scenarzysta, a Studiem Nagrań OH YES na Grochowskiej, gdzie zupełnie nieoficjalnie dorabiał sobie jako autor tekstów. Pogubić się w tym można było i Tamicki powoli zaczynał się gubić...

Totalny chaos w życiu zawodowym stanowił ów trzeci ważki problem, który czekał u wrót nowego roku, domagając się szybkiego rozwiązania. Bardzo szybkiego – zanim Maciej Tamicki nadszarpnie rodzinne więzy, nadwyręży małżeńską jedność oraz do reszty zniszczy swoje zdrowie. Auto, owszem, usprawniało transport, pozwalało zaoszczędzić do kilku godzin na dobę, ale głównego problemu nie rozwiązywało. Macieja za mało było w domu. Za mało i za cicho, nie udzielał się, nie wdrażał, nie integrował – zdaniem swojej żony, która powoli zaczynała mieć powyżej uszu tej całej dorosłości.

Tamiccy nie byli jakąś specjalnie nadzwyczajną rodziną. Reprezentowali klasyczny model 2 + 2 i pierwsze dorosłe pokolenie na tak zwanym „swoim", które świadomie wkroczyło we współczesny, demokratyczny, wczesnopolski kapitalizm.

Z drugiej jednak strony nie byli tacy znowu zwyczajni. Na przykład, choć oboje poznaniacy, nie lubili sprzątania. Ograniczeń – też niespecjalnie. Za to uwielbiali sprawiać sobie przyjemności dzisiaj, nie przejmując się tym, co będzie jutro. Utracjusze, lekkoduchy, bałaganiarze. Poza tym on zawsze i dla każdego starał się być miły, stąd kłamał jak najęty; ona zaś strzelała gafę za gafą, twierdząc, że grunt to szczerość.

A teraz najważniejsze: Joanna i Maciej znali się od dziewięciu lat, niemalże dorastali razem, i pomimo wschodów i zachodów byli przede wszystkim przyjaciółmi. Zwyczajnie – lubili się. Nadawali na jednej fali, rozumieli się w pół słowa, nie nudzili się ze sobą i nie umieli żyć bez siebie.

Prócz tego bez przerwy się kłócili. W międzyczasie grali w domino, karty, słówka i Master Minda, układali puzzle, rozwiązywali krzyżówki i pasjami prowadzili poważne dysputy nad sensem i bezsensem

– głównie w kuchni. Znamienne, że Joanna wolała zwierzać się mężowi zamiast przyjaciółkom, a Maciej wolał się napić i pogadać z żoną przy kuchennym stole, niż iść z kumplami na wódkę.

Dlatego zaraz po tym, jak Tamicki powziął swoje trzy ważne postanowienia, ogarnęła go nieodparta chęć podzielenia się dobrą nowiną z małżonką.

Zajęczał cichutko:

– Asiuuu...

Joanna Tamicka stanęła nad mężem, cierpiącym w pościeli, obstawionym mleczkiem, sucharkami i pigułkami, wysłuchała rewelacji i wydała werdykt.

– Za grzeczny jesteś.

– Co? – Zdolności umysłowe chorego, podobnie jak jego ciało, mocno osłabły.

– Za grzeczny, za miły, za uprzejmy i nie umiesz powiedzieć „nie” – podsumowała krótko przemyślenia małżonka, na które biedaczek strawił dwa dni. Podsumowała i wróciła do kuchni, do dietetycznych klopsów w sosie koperkowym, które szykowała mężusiowi na obiad.

Maciej Tamicki zadumał się.

Może istotnie żonka miała rację? Może faktycznie wszystkie jego problemy wynikały ze zbyt daleko posuniętej grzeczności? Kiedyś nawet został posądzony o niecne zamiary tylko dlatego, że otworzył drzwi koleżance i podał jej płaszcz w szatni.

„Ludzie mnie wykorzystują – odkrył w nagłym przebłysku zrozumienia. – Licząc na moje dobre maniery i miękkie serce, wykorzystują bez skrupułów. Stąd praca po godzinach, bo przecież Tamicki się nie wykręci, stąd pieniądze płacone z opóźnieniem, bo przecież Tamicki nie zwykł się awanturować, stąd teksty zamawiane na wczoraj, bo przecież Tamicki jak coś obieca, to... – Maciej zbladł pod szarością. – Czy to możliwe, że byłem aż takim idiotą?”.

– Asiu! – zawołał. – Asiu, ratuj!

Joanna przybyła z odsieczą.

– No, czego znowu?

– Postanowiłem się zmienić. Tak, postanowiłem się zmienić. Właśnie do takiego wniosku doszedłem, gdy leżałem tak tu sobie i umierałem. Co ty na to? – Spojrzał wyczekująco na żonę.

– To się nie uda – mruknęła podpora swego męża. – Kłamać to ty umiesz, ale za grzeczny jesteś, mówiłam już.

– Schamieję – obiecał solennie. – Nauczę się. Nauczę się podskakiwać i zgarniać do siebie. Czy mi coś z tego przyjdzie, to już inna sprawa... – Złożony niemocą ciała, zmagający się z odnową ducha Tamicki, ponownie zadumał się głęboko. – Łatwo powiedzieć: zostań motylem. Gorzej, kiedy dupa ciężka i po staremu do ziemi ciągnie...

Ale Maciej Tamicki był twardy. Kiedy tylko dał radę zwlec się z łóżka, wyruszył do pracy, a zarazem na poszukiwanie swej pierwszej ofiary.

W hurtowni Internovator nie miał na kim trenować, bo nawet pies z kulawą nogą się nie pojawił. W radio był tak zajęty, że zupełnie zapomniał o swoich wprawkach z chamstwa. Dopiero wracając do domu, gdy palił w aucie pierwszego odprężającego papierosa, przypomniało mu się; brakowało tylko odpowiedniego obiektu do ćwiczeń. Po drodze żadnego nie spotkał, przy kiosku, gdzie kupował papierosy, też nie.

Kiedy jednak czekał na windę, pojawił się wreszcie idealny kandydat; sąsiad z tego samego piętra, z końca korytarza, Stary Krakowski – jak o nim mówił Maciej. Nie lubił on Tamickiego; jego żony i dzieci też niespecjalnie. Cała rodzinka go irytowała, ale ten ugrzeczniony studencik w okularach w szczególności! Bo skąd taki smarkacz ma samochód? Żona nie pracuje, dwójka dzieci... z czego on ich utrzymuje?! I ciekawe, kto im to mieszkanie załatwił, kiedy on, Sylwester Krakowski, na swoje musiał czekać dwadzieścia lat!

Tamicki zdawał sobie sprawę z niechęci sąsiada. Podejrzewał, że chodzi o te nieszczęsne schody, których nie myli tak regularnie, jak należało. Potrafili zapominać o swojej kolejce przez pół roku albo dłużej. Maciej odruchowo powiedział „dzień dobry”, sąsiad odruchowo nie odpowiedział.

Gdy tak późnym popołudniem Sylwester Krakowski z zakupami i Maciej Tamicki z raportówką czekali sobie wspólnie na windę, powietrze aż gęstniało od płynącej w stronę Macieja niechęci. Starszy mężczyzna rzucał mu spojrzenia pełne wyrzutu, gniewu, a nawet chyba... pogardy. Tamicki początkowo je ignorował, ale gdy wsiedli do windy, sąsiad przeszedł samego siebie. Wbił wzrok w twarz współtowarzysza (jechali tylko we dwóch) i wyglądało, że na coś czeka. Na rumieniec zakłopotania, nerwowe poruszenie, przeprosiny...? Maciej miał do wyboru: albo spuścić

wzrok i poddać się w tej wojnie nerwów, co zrobiłby jeszcze tydzień temu, albo...

Uśmiechnął się w duchu. A potem, patrząc Krakowskiemu prosto w oczy, wolno podniósł rękę i wpakował sobie palec wskazujący do prawej dziurki od nosa. Zaczął nim niespiesznie, acz z upodobaniem kręcić, wiercić i skubać, robiąc przy tym typową, bezmyślną minę faceta dłubiącego w nosie. „Ciekawe jak długo Stary wytrzyma?" – zastanawiał się złośliwie.

Sylwester Krakowski wytrzymał kilka sekund. Odwrócił wzrok. Nic nie powiedział, ale gdy winda stanęła, czym prędzej wysiadł, oczywiście bez pożegnania.

Tamicki, stojąc już przy swoich drzwiach, patrzył w ślad za sąsiadem. Przyglądał się jego szybkim krokom, niezręcznym manipulacjom przy zamku, gniewnym ruchom głowy, nierównej walce z klamką, potem obserwował same tylko drzwi, zatrzaśnięte na końcu korytarza.

Młody mężczyzna stał w ciszy, spokojnie.

Bez popadania w samouwielbienie kontemplował przepełniające go uczucie satysfakcji.

Sprowokowano go i zareagował. Nie bólem brzucha czy zdenerwowaniem. Nie przeprosinami albo nerwowym tikiem. Nie. Po raz pierwszy w życiu okazał komuś jawne lekceważenia. Z premedytacją zachował się po chamsku i nawet mu się spodobało.

„Niesamowite... To działa. To naprawdę działa!" – nie mógł wyjść z podziwu, choć nadal uważał, że postąpił niełądnie.

Niełądnie?

Niełądnie.

Ale czasami...?

Niełądnie!

ROZDZIAŁ ÓSMY
czyli idziemy do przedszkola.

Jędrek Tamicki stał przed lustrem i przyglądał się swojemu krągłemu odbiciu. Przyglądał się i dumał; skłonność do kontemplacji miał po tatusiu. Ponieważ jednak nie posiadł jeszcze należytej wprawy w skupionej kontemplacji, a po mamusi odziedziczył skłonność do dywagacji, były to rozmyślania cokolwiek chaotyczne.

„Jestem już duży. Wczoraj zdmuchnąłem aż trzy świeczki z tortu. Raz, dwa, trzy! Mateo też musiał dmuchać. On musi robić wszystko to co ja! Ale tort był mój. Babcia przyniosła. Dobry. Truskawkowy. Z galaretką i bitą śmietaną. Taki, jak chciałem. Pycha! Mateo też jadł. Mama też. Wszyscy jedli, ale im pozwoliłem. Ja zjadłem najwięcej. Truskawek też najwięcej. Wiem, skąd się bierze truskawki. Od babci z działki. Ale skąd się bierze bita śmietana? Moje włosy są jak śmietana. Takie jasne. Mama ma ciemne. I tata. Nawet Mateo. Tylko ja jeden mam jasne. To nie fel!”.

– O co chodzi, skarbie? – Tamicka zauważyła oburzenie na twarzy syna.

– To nie fel! – powtórzył na głos.

– Co jest nie fair? – Joanna nie po raz pierwszy doszła do wniosku, że gdyby jej dziecko było Anglikiem, o wiele szybciej by się z nim dogadała.

– To! – Jędruś pociągnął się za gęste, bardzo jasne włosy koloru wypłowiałej słomy.

– Włosy? Masz bardzo ładne włoski. Niejedna pani chciałaby mieć takie – przekonywała mama, kucając przed synkiem i targając blond grzywkę.

– Ale ja jestem pan – uciął dyskusję chłopiec. – I nie cem mieć... tego na głowie. – Pokazał język swojemu odbiciu w lustrze. Po czym obrażony na cały niesprawiedliwy świat pobiegł do dużego pokoju i rzucił się na rodzicielskie łóżko, które swego czasu z takim samozaparciem zbijał jego ojciec. Joanna ruszyła w ślad za naburmuszonym synkiem. Położyła się obok niego i pogłaskała po pulchnym ciałku.

– Może z czasem ci ściemnieją – pocieszała. – Tata, gdy był taki mały, też miał jasną czuprynkę.

– Ja-nie-jes-tem-ma-ły! Jestem duzy! – oburzył się trzylatek, obracając się do matki tyłem.

– Oczywiście, dlatego jak tylko skończą się ferie, pójdziesz do przedszkola – mama zgrabnie przeszła od tematu włosów do sprawy dużo bardziej ją zajmującej.

– Po co? – zapytał Jędruś, niespecjalnie zainteresowany odpowiedzią.

– Jak to, po co? – zdziwiła się Tamicka, nie przerywając uspokajającego głaskania. Jędruś już dawno wyrósł z dręczących go kolek, ale wciąż lubił masowanie plecków. Teraz też natychmiast wykorzystał okazję.

– Dlap mnie! – zażądał. Joanna Tamicka westchnęła w duchu, ale posłusznie wykonała rozkaz. Kwestia przedszkola nagliła. Czuła, że jeszcze parę tygodni z dwoma synkami naraz, dwadzieścia cztery godziny na dobę – a zacznie gryźć. Teoretycznie Jędruś powinien rozpocząć karierę przedszkolaka od września, ale Joanna znała siebie zbyt dobrze; wiedziała, że jest na granicy utraty samokontroli. Pół roku oczekiwania to stanowczo za długo. Skoro synuś skończył trzy lata, a pani dyrektor ewentualnie zgodziła się go przyjąć – nie zamierzała dłużej zwlekać. W domu zaczynało jej brakować powietrza i cierpliwości. Mateusz za chodzenie się nie brał, ale raczkował ze zdumiewającą prędkością i ruchliwością; cały czas trzeba było uważać, żeby go nie rozdeptać. Natomiast Jędrek głównie się obrażał. Początkowa fascynacja małym bratem szybko mu minęła. Obecnie zastąpiło ją święte przekonanie, że młodsze rodzeństwo to przekleństwo, które okrada pierworodne dzieci z uwagi rodziców, podbiera zabawki i na dokładkę je obślinia... Ble! Sprytna rodzicielka postanowiła rzecz wykorzystać.

– Po co ci przedszkole? – powtórzyła pytanie. – Pomijając fakt, że spotkasz tam wielu kolegów, z którymi będziesz się mógł świetnie bawić, w przedszkolu nie będzie... Mateusza.

– Nie...? – Chłopczyk zerknął bystro na mamę.

– Nie, jest za mały.

– Pewno! – Jędruś dumnie wypiął pierś, ale za chwilę w jego spojrzeniu pojawiła się podejrzliwość. – Nie cesz mnie? Wolis jego? Nie kochas mnie jus!

– Ależ skąd! – Joanna Tamicka mocno przytuliła syna. – Oczywiście, że cię kocham – zapewniła gorąco.

– Ale jego tez! – pisnął chłopiec.

– Też – potaknęła, nie zamierzając zaprzeczać, że obu swoich synków kocha nad życie.

– Tak samo? – drążył malec.

– Nie tak samo... – Tamicka zawahała się; wkraczali na śliski grunt.

– Wiedziałem! Jego baldziej kochas! Bo jest mały!

– Nie, żuczku, ani bardziej, ani mniej. Po prostu każdego kocha się inaczej. – Jędrek nie wyglądał na przekonanego. – W każdym razie ciebie kocham dłużej – dodała. Synek zadumał się intensywnie, aż jasne brwi złączyły się w jedną kreskę. Po kilku sekundach rozpogodził się. Widać przypadała mu do gustu mamina interpretacja faktów.

– No, dobla... Mogę iść do tego kola.

– Przedszkola – poprawiła Joanna.

– No mówię, kola. Ale on – miał na myśli młodszego brata – nie będzie blał moich zecy. Obiecaj!

– Obiecuję! – Joanna Tamicka przysięgła solennie, podnosząc dwa palce prawej ręki ku górze.

Dwa tygodnie później o wpół do ósmej rano Jędruś Tamicki, zaopatrzony w fartuszek, worek z kapciami, piżamkę, majtki i spodenki na zmianę (w razie gdyby nie zdążył do ubikacji) tudzież misia Pandę (gdyby mu się zrobiło smutno), wyruszył w swoją pierwszą drogę do przedszkola. Towarzyszył mu tata. Osiedlowe przedszkole imienia Śmiałka Umiałka znajdowało się jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów od bloku numer dwa. W normalnym, niezbyt spiesznym tempie, Maciej Tamicki pokonałby tę trasę w trzy minuty.

Jędruś szedł wolno, niemalże z namaszczeniem, rozglądając się wokół, jakby po raz pierwszy w życiu widział mijane obiekty: sklep, kiosk, osiedlową asfaltówkę, mały parking na tyłach ryneczku, wreszcie płot i krzewy okalające budynek przedszkola. Krótko mówiąc, wlókł się noga za nogą. Ojciec nie poganiał syna, nie chcąc wprowadzać nerwowej atmosfery, niemniej – dyskretnie zerknął na zegarek – wędrowali już kwadrans! A jeszcze trzeba będzie chłopca rozebrać i namówić na pójście do sali. O ile

w ogóle zgodzi się puścić jego rękę. Spocona łapka zaciskała się na dłoni mężczyzny niczym kleszcze.

Wreszcie dotarli na miejsce. Otworzyli przeszklone drzwi i wkroczyli w tłumek lekko poddenerwowanych rodziców i ich pociech. Niektóre dzieci – głównie te starsze – bez większego problemu ściągały kurtki, buciki, zakładały fartuszki i kapcie. Inne – a było ich znacznie więcej – czepiały się kurczowo rodziców i popłakiwały z cicha albo całkiem głośno. Przez ferie zdążyły odwyknąć od przedszkola i parę dni zajmie, nim znowu się przyzwyczają. Jędruś cofnął się i schował za nogą taty. Usta wykrzywił w podkówkę. „Oho, zaczyna się” – pomyślał Tamicki, czując, jak paluszki syna coraz mocniej zaciskają się na jego kciuku. Pochylił się nad chłopcem.

– Jędrusiu, za chwilę stracę palec, a Panda głowę – powiedział łagodnie, wskazując misia, którego malec w obronnym geście tulił do piersi. – Siadaj. Rozbieramy się.

– Nie cem – oświadczył kategorycznie pierworodny.

– Nie możesz iść na salę w kozakach i kurtce – tłumaczył cierpliwie Tamicki, udając, że nie wie, czego dotyczy protest. – No, siadaj tutaj. – Podprowadził opierającego się Jędrka do wolnego krzesełka. – Będzie fajnie, zobaczysz. Wiesz, ile tu mają zabawek? Mnóstwo. Spotkasz nowych kolegów i koleżanki. A od wiosny będziecie się bawić na placu zabaw. Widziałaś, jakie tu mają super drabinki i huśtawki? – zagadując syna, szybkim ruchami wyłuskiwał go z wierzchniego odzienia. Trochę problemu sprawił mu fartuszek, ale w końcu odkrył, jak się go wiąże. – No, jesteś gotowy.

– Nie cem – powtórzył chłopczyk, zapierając się nogami jak osioł, gdy ojciec spróbował podprowadzić go do drzwi wiodących z szatni do wnętrza przedszkola.

– Jędrusiu, inne dzieci już poszły, zostaliśmy tylko my... – Tamicki spojrzał na syna i westchnął cicho. Od samego początku bał się takiej właśnie sytuacji. Przecież nie będzie go ciągnął na siłę, bo dzieciak do reszty zniechęci się do przedszkola. Rozejrzał się bezradnie wokół. „Pomocy!” – zawołał w duchu.

Pomoc nadeszła w postaci starszej, sympatycznie wyglądającej pani przedszkolanki.

– Pan tu nowy? – zagadnęła do chłopca. – Jak pan ma na imię?

– Jędlek – przedstawił się mały Tamicki.

– Bardzo ładnie. Ja jestem pani Zosia. Wiesz, nie mamy tu żadnego Jędrusia. Będziesz jedyny.

Trzylatkowi, od dziesięciu miesięcy pozbawionemu przywileju jedynactwa, wyraźnie spodobała się taka perspektywa. Łaskawie pozwolił wziąć się za rękę; z drugiej nie wypuszczał kciuka taty.

Pani Zosia, stosując tę samą taktykę co Tamicki, zagadywała malucha.

– Twoja grupa nazywa się Skrzaty. Na śniadanie są dzisiaj kanapki z żółtym serem i szynką. Na obiad będzie pomidorowa i mielone, na deser kisiel. Lubisz?

– Lubi, lubi – wtrącił się Maciej, a widząc znaczący wzrok opiekunki, począł delikatnie uwalniać rękę z uchwytu synka.

– Będziemy dzisiaj malować i lepić zwierzątka z plasteliny. Najładniejsze prace trafią na wystawę – kontynuowała pani Zosia. – Może i tobie się uda. Wyglądasz mi na zdolnego chłopca. Spróbujesz?

Jędruś wolno potaknął. Nawet nie zauważył, że tata został nieco z tyłu. Nie zwrócił też uwagi na kolejną wymianą spojrzeń między dorosłymi. Przedszkolanka powiedziała bezgłośnie: „Niech pan już idzie, nim się zorientuje”.

Tamicki kiwnął głową i wykonał taktyczny odwrót. Z bólem serca opuszczał progi przedszkola. Jego synek zaczynał właśnie samodzielne życie. Gdyby mógł, stałby się niewidzialny i choć z daleka patrzył, jak sobie radzi. Ale nie mógł. Dlatego otulił się ciaśniej kurtką i ruszył do domu.

– Nawet nie myślałem, że tak łatwo pójdzie – mruknął, sam nie wiedząc, czy odczuwa ulgę, czy coś na kształt żalu.

Wtedy, poprzez mury, dotarł do niego wściekły wrzask:

– Ja cem do taty!!!

Tamicki odruchowo przyspieszył kroku.

Z przedszkola odebrała Jędrusia mama.

– Jak było? – zapytała zaciekawiona.

– Dobze.

– Poznałeś jakichś kolegów?

– No.

– A jedzenie ci smakowało?

– Tak. – Synek uparcie stosował w odpowiedziach styl enigmatyczny. Nie zamierzał wdawać się w szczegóły. Co innego go interesowało.

– A kupis mi coś? Kupis? Mama, kupis mi coś?

– Kupię.

Odtąd kupowanie „czegoś” po opuszczeniu przedszkola stało się nową świecką tradycją w rodzinie państwa Tamickich.

Wieczorem rodzice usiedli przy kuchennym stole, by omówić pierwszy dzień swojego syna w przedszkolu.

– Niewiele mi powiedział – zaczęła Joanna.

– Mnie też. Skryty jest. Nie znałem go od tej strony... – Tamicki zamyślił się. – Ale płuca ma! – Roześmiał się po chwili. – Jak się rozdarł, spłoszył wszystkie wrony.

– Może jutro pójdzie lepiej... – westchnęła jego żona.

Następnego dnia Joanna nie spała już od szóstej. Denerwowała się. Wzrokiem poganiała wskazówki. O siódmej przystąpiła do delikatnego budzenia synka.

– Żuczku, wstajemy. Pora do przedszkola... – Podrapała chłopczyka po plecach. Ten przeciągnął się z lubością i odemknął jedno oko.

– Juz byłem – wymruczał.

– Gdzie? – nie zrozumiała mamusia.

– W kolu, juz byłem – wyjaśnił Jędruś.

– O, rany! – jęknęła Tamicka, uświadamiając sobie, że dziecię potraktowało przedszkole jako imprezę jednorazową, nie cykliczną. – Skarbeńku, dzisiaj też musisz wstać. – Wzmogła uspokajające drapanie.

– Cemu?

– Bo cię proszę. – Joanna poleciała po całości; zagrała na uczuciach własnego dziecka. – Potem znowu ci coś kupię – kusiła niecnie.

– Loda?

– Ciepłego – zasugerowała. W końcu za oknem panoszył się luty, który ostatnio przypomniał sobie, że jest miesiącem zimowym.

Jędruś dał się przekonać. Gorzej poszło z jego tatusiem; po bezsennej, acz pracowitej nocy (na tapecie były polskie wersje tyrolskich przyśpiewek) godzina siódma rano wydała mu się więcej niż nieprzyzwoitą porą. Jednak obowiązek ojcowski wygrał ze zmęczeniem. Tamicki zwlókł się z łóżka, zrobił siku, umył zęby, odział się jako tako i poczłapał z synem do

przedszkola. Chłopiec znowu się nie spieszył. Tym razem jednak nie podziwiał świata dookoła, ale zadręczał ziewającego tatusia pytaniami i spostrzeżeniami czynionymi na gorąco.

– Zimno jest. A skąd się bieze mlóz? Ale wieje! Co lobi wiatr, jak nie wieje? Ślisko, co nie? O... wywaliłem się. Ty tez, tata, hi, hi!

Pozbierali się z oblodzonej ścieżki i ostrożnie pomaszerowali dalej. Synkowi buzia się nie zamykała. Tamicki bezwiednie się wyłączył. Chyba nawet przysnął. Szli tak wolno, jakby wcale nie szli. Dopiero zapadła znienacka cisza otrzeźwiła go nieco. Chłopiec wpatrywał się w niego wyczekująco.

– Co? Co powiedziałeś, synku?

– Ze chciałbym być bocianem.

– Że co? – Tamicki tak szeroko otworzył oczy ze zdumienia, że mało mu się powieki nie zwichnęły.

– Bocianem.

– Czemu? – Mężczyzna nie miał pojęcia, co może do tego stopnia wyróżniać bociana spośród innych stworzeń, że syn przedłożył go ponad dumnego orła, szybkiego konia czy choćby leniwego kota.

– Bo tak temu. Bociany są fajne, syscy je lubią. – Jędruś bez wahania udzielił wyczerpującej w swym mniemaniu odpowiedzi.

– Aha... – mruknął Tamicki i pogrążył się w kontemplacji tyczącej biało-czarnego ubarwienia, długich czerwonych nóg, niemniej długiego i czerwonego dzioba oraz nieskomplikowanej diety. Synek zamilkł i podążył w jego ślady – te przybliżające ich do przedszkola i te pląsające wśród chmur i podmokłych łąk...

Odtąd wspólne męskie rozmowy o życiu oraz milczące rozmyślania o sprawach wyższych i tajemniczych stały się kolejną świecką tradycją w rodzinie państwa Tamickich. A wszystko w drodze do przedszkola. Dwieście pięćdziesiąt metrów to czasami więcej niż podróż do gwiazd czy na koniec świata. Nie dystans jest bowiem ważny, ale z kim i dokąd się zmierza...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
czyli o wyższości kotów nad psami lub na odwrót.

– **K**oty śmierdzą – stwierdził autorytatywnie Aleks Gnat, dyrektor Agencji Reklamowej Radia Omega. Mówił ogólnie, ale w szczególności zwracał się do Macieja Tamickiego, pełniącego w tejże Agencji odpowiedzialną funkcję głównego scenarzysty (Tamicki ostatecznie zdecydował się na reklamę jako najciekawszą i najbardziej przyszłościową formę zarabiania pieniędzy; decyzję przyspieszył fakt, że Internovator zbankrutował, w każdym razie w Poznaniu). – Poza tym są fałszywe, co stwierdzono naukowo.

– Ale... – próbował oponować Tamicki, który nie miał nic przeciwko kotom, za to bardzo wiele przeciwko takim autorytatywnym stwierdzeniom. Oponował, rzec by można, dla zasady. Wypowiedzi szefa z reguły budziły w nim wewnętrzny sprzeciw i prowokowały go do złośliwych ripost. Dzisiaj jednakże nie miał siły na spory. Jego żołądek jakby się wściekł! Dokuczał mu przez całą noc, zaś o szóstej nad ranem zmusił do spędzenia koszmarnej półgodzinki sam na sam z muszlą klozetową. Być może dlatego już o ósmej był kompletnie wypompowany, a teraz, o wpół do pierwszej, czuł się jak przeżuty i wypluty kawałek starej dętki. Chciało mu się pić i marzył o krwistym befsztyku z frytkami. I na marzeniu musiał poprzestać.

Tamicki, jako dumny posiadacz niszy wrzodowej, był ostatnio na diecie i odżywiał się głównie papierosami, ściśle stosując się do zaleceń lekarza, który nakazał mu bardzo uważać na to, co je, natomiast co do palenia, to jako znawca przedmiotu absolutnie nie polecał natychmiastowego porzucenia zgubnego nałogu, bo „rozumie pan, stres to szeroko otwarte drzwi dla wrzodów”. Tamicki rozumiał i bardzo się przejął, wskutek czego palił jeszcze więcej niż zwykle. Jego wychudzona twarz i skwaszona mina człowieka permanentnie głodnego działały na nerwy. Zwłaszcza komuś tak

pyzatemu jak Aleks Gnat. Poza tym nawet pan dyrektor, choć niespecjalnie wrażliwy na tego rodzaju niuanse, musiał w końcu zauważyć, iż agencyjny scenarzysta raczej za nim nie przepada. Maciej Tamicki tłustymi wołami miał wypisane na twarzy, co myśli o swoim szefie, a zwłaszcza o jego genialnych pomysłach reklamowych. Na bladych, wymizerowanych policzkach przesłanie to było lepiej czytelne niż kiedykolwiek. Dlatego gdy Mister Magister Kursów Korespondencyjnych – jak nazywano w Agencji Aleksa – usłyszał jękliwe, lecz bez wątpienia oponujące: „ale...", śmiało ruszył do ataku.

– Nie, nie, wiem, co mówię, panie Maćku. Koty śmierdzą zdecydowanie bardziej niż psy, a fałszywe są jak jasna cholera! – oświadczył z powagą i zadęciem godnym lepszej sprawy. – W każdej chwili taki skubaniec może cię drapnąć albo zesrać się na samym środku dywanu twojej ciotki nieboszczki.

– Nie bardzo rozumiem...

– Bo też tu nie ma nic do rozumienia. – Gnat pokręcił głową z dezaprobatą. – Fakt to fakt. Żadna reklama tego nie upiększy, panie kolego, nawet pana autorstwa – zakończył złośliwie.

– No tak, ale co ma ciotka nieboszczka do wrednej kociej natury? – zapytał Tamicki odrobinę skołowany wywodami szefa.

– Bardzo wiele, panie Maćku, bardzo wiele. – Tamicki nie znosił, gdy zwracano się do niego per „Maciek", i wszyscy doskonale o tym wiedzieli (w końcu każdy ma prawo do małej szajby). Jednakże Aleks Gnat bez problemu o tym zapominał albo też miał głęboko w nosie szajby innych ludzi. „Jestem chłopak z Wildy – mawiał – a starego psa nowych sztuczek nie nauczysz" – dodawał, co zdaniem Macieja miało znaczyć, iż kto się chamem urodził, skowronkiem nie będzie.

Gnat w najlepsze kontynuował swoje wywody, a Tamicki słuchał go piąte przez dziesiąte, pomstując w duszy, że nie trzymał języka za zębami. Żeby oponować też trzeba mieć zdrowie.

– Kiedyś, w czasie wakacji, matka nie miała co ze mną zrobić i wysłała mnie do Wąbrzeźna, do siostry matki chrzestnej mojego wuja, krótko mówiąc do ciotki Peli, mojej ciotki nieboszczki, wtedy oczywiście jak najbardziej żywej. Były to, musi pan wiedzieć, najnudniejsze wakacje w moim życiu, gdy więc odkryłem za płotem w ogrodzie obecność zabiedzonego, strasznie brudnego kociaka, mam oczywiście na myśli

zwierzę, byłem w siódmym niebie. Przynosiłem mu skórki od kiełbasy, cukierki, boczek. I głaskałem przez dziury w płocie, trzema palcami, bo więcej się nie dało wetknąć. Wreszcie kiedyś przekradłem się przez płot, wziąłem kota pod pachę i zaniosłem go do domu ciotki. Pcheł miał co niemiara, ale wtedy mi to nie przeszkadzało. Ukryłem go pod krzesłem w salonie i poszedłem po coś do jedzenia. Jak pan myśli, co znalazłem, gdy wróciłem? No? Zero kota, za to na samym środku dywanu śmierdząca sraczka! Boże, jak ona śmierdziała, ta sraczka... W wychuchanym salonie mojej biednej cioci jechało tak, że można było zdechnąć! Oto kocia wdzięczność, panie Maćku. Za moje poświęcenie, za cukierki, boczek, żeby go tak... Mówię panu, koty to dranie!

Gdy tego piątkowego popołudnia Maciej Tamicki wracał do domu, wciąż nie mógł się uwolnić od myśli, że już jako dziecko jego szef przejawiał objawy zaawansowanej głupoty. No bo czegóż można się spodziewać po zestrachanym kocim malcu, który znalazł się w eleganckim salonie pod stylowym krzesłem, z dala od mamy i znajomego brudku podwórka? Czegóż innego jak nie luźnej kupy na samym środku perskiego dywanu? Zwłaszcza po tych wszystkich zapiaszczonych cukierkach i zielonym boczku.

„Gnat to zwykły dureń” – stwierdzenie to jak zwykle zakończyło tydzień pracy Macieja Tamickiego.

Już z daleka zobaczył swój blok. Właśnie tam, na dwunastym piętrze, ten balkon po lewej, na którym suszyły się pieluszki, tam był jego dom. Tamicki przyspieszył. Dostrzegł żonę, która pomiędzy tetrowe pieluchy wciskała wzruszające w swych rozmiarach spodenki, koszulki i skarpetki. Właśnie zastygła w pół ruchu. „Albo podziwia panoramę albo zaraz kichnie!” – pomyślał rozbawiony. Słońce niby już zachodziło, ale nadal świeciło wystarczająco mocno; w każdym razie dla jego żony, która psikała na słońce tak, jak inni kichają po zażyciu tabaki.

Joanna Tamicka kichnęła od serca. Raz i drugi. Po chwili trzeci. Potem wsparła się na łokciach i ponownie zastygła w bezruchu. Tym razem żeby popatrzeć...

Widok zaiste był wspaniały!

Z lewej: Piekarsko-Ciastkarska Spółdzielnia Spożywców, której słodkie wyziewy działały co rano na wyobraźnię oraz ślinianki mieszkańców

Żegrza, spieszących do roboty na szóstą; za piekarnią złocił się i lśnił w słońcu budynek WSK PZL POZNAŃ; nieco dalej denerwowały budujące się w żółwim tempie wieżowce przy ulicy Falistej; a gdzieś, hen, na horyzoncie radowały oko pola i nawet jakiś las. Na wprost rozpościerała się zielono-kominowa panorama przemysłowej Starołęki, obok uplasowała się robotnicza Wilda, a pomiędzy całym tym proletariatem wysuwał się na czoło otoczony topolami Zakład Poprawczy dla Chłopców. Z kolei z prawej strony rozsiadła się szkoła mistrzostwa sportowego, za nią kościół w kształcie ryby, a w tle – zachodnia część górnego tarasu Rataj.

Było na co popatrzeć, zwłaszcza wieczorem lub jeszcze lepiej w nocy, gdy ciemności miłosiernie ukrywały dymy, wyziewy, brud i smog, a tysiące światełek, tych z dołu i tych z góry, mrugało, mieszało i zlewało się ze sobą, że w końcu nie było wiadomo, gdzie kończy się miasto, a zaczyna niebo.

Patrząc nieco bliżej, bardziej przyziemnie, okna mieszkania państwa Tamickich wychodziły na: mały parking za blokiem, plac zabaw, trzepak, śmietnik, drugi plac zabaw; dalej na skrzyżowanie, na którym co rusz ktoś się z kimś zderzał; oraz wreszcie – na małą łączkę za ulicą, na której młode koty wprawiały się w łowieniu myszy. Jak przebiegały owe polowania, można się było dowiedzieć za pomocą dobrej lornetki albo bystrych oczu starszego syna państwa Tamickich.

– **T**ato, tato, pójdziemy popatseć na hoty – przywitały Tamickiego krzyki Jędrusia. Młodszy syn szczęśliwie ucinał sobie właśnie małą drzemkę.

– Hoty o tej porze śpią. – Pan Maciej postanowił być twardy i nie ulegać zachciankom pierworodnego.

– Nie wszystkie, tato, niektóle łowią, chodźmy patseć.

Co było robić. Połknęli obiad, zrezygnowali z piwa i poszli patrzeć.

Dobre pół godziny przyglądali się kotu, który za chińskiego boga nie mógł nic złapać.

– Ale ciamajda – wyraził swoją opinię Tamicki.

– A moze on jest choly? – ujął się za łamagą Jędruś. – Albo nie umie łapać myszy. Moze jego tatuś go nie nauczył, co?

– Koty łapanie myszy mają we krwi. – Pomimo pewności w głosie Tamicki nie dałby się zabić za to stwierdzenie.

– On taki biedny, tatusiu, weźmy go do domu, mama da mu klopsa, to plawie tak dobre jak mysz, co nie?

– Yhy – potwierdził odruchowo Tamicki i wkopał się na całego.

– Będziemy mieli hota, będziemy mieli hota! – wykrzykiwał na głos Jędruś, radośnie podskakując.

– Może wcale nie zechce z nami pójść. – Tamicki wykręcał się jak umiał, ale jeżeli oczekiwał zrozumienia ze strony kota, to srodze się zawiódł. Na cichutkie, nieśmiałe kici-kici kociak zareagował wprost nieprzyzwoicie entuzjastycznie. Przytruchtał do nich bez zbędnego ociągania, otarł się o nogi pana Macieja, przecisnął między nogami jego synka, po czym zaczął wyczekująco mruczeć. „Jak nic polezie za nami” – jęknął w duchu Tamicki.

– No, to chodźmy – westchnął z rezygnacją.

I poszli. A kot, drań jeden, pomaszerował za nimi. Przemknął przez ulicę, przebiegł przez plac zabaw, smyrgnął do środka bloku i bez wahania wpakował się do windy.

Tamicki spojrzał na rozradowaną twarz synka, zerknął na pełen wdzięczności pyszczek pechowego łowcy, no i wspomniał dzisiejszą rozmowę z szefem. „Przeznaczenie” – pomyślał, biorąc kota na ręce.

– Będę bronił cię do upadłego – szepnął w kocie futerko. – W końcu kto jest mężczyzną w tym domu?

Kot nie spieszył się z odpowiedzią...

– **K**ochanie... – Podejrzanie słodki głos męża i jego bardziej niż zwykle psie spojrzenie (Maciej, zdaniem swojej żony, miał oczy spaniela: wielkie, brązowe i wiecznie smutne) obudziły czujność pani domu.

– Co zmalowaliście? – zapytała ostro.

– Nie, nic. Tylko, widzisz, mamy... – mówiąc to, uchylił rąbka wiatrówki i oczom oszołomionej Joanny Tamickiej ukazał się szary pyszczek.

– Kot! Macie kota! – krzyknęła oskarżycielsko i w tym samym momencie kot spocił się ze strachu. Zrozumiał, że ulica i winda to pestka w porównaniu z tą groźną panią. „Jeszcze mogę się znaleźć z powrotem na tej przeklętej łące” – przeraził się i wtulił nos w rękaw koszuli swojego obrońcy i wybawcy.

– Ależ kochanie, on jest taki biedny, nawet myszy nie umiał złapać i poszedł za nami, jakby nas znał od lat, a Jędruś tak bardzo chciał mieć

hotka...

– Ty mi tu na Jędrka nie zwalaj! – Joanna zmarszczyła brwi i obrzuciła całe towarzystwo niechętnym spojrzeniem. – To ty, na własnych rękach, przywlokłeś to zwierzę do domu, pewnie ma masę pcheł i całą kupę innego robactwa. Dlaczego on jest taki brudny? I co się tak trzęsie? Jeszcze nas czymś zarazi! Nie myślcie sobie, że ja będę po nim sprzątać, jak wam się zachciało hota, to sobie sami po nim sprzątajcie! I ciekawe, co na to wszystko powie Remigiusz.

Remigiusz powiedział, co następuje:

– Chyba zupełnie ocipieliście? Mają kota! W domu! Zupełnie zwariowali! Ten kot musi stąd wyjechać i to natychmiast. W ogóle nie ma o czym mówić. Kot?! Zjazd mi z tym kotem!

Remigiusz wciąż był lekarzem, dermatologiem, z trzydziestoletnim stażem i bagażem doświadczeń. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Niezmienna pozostała również jego niechęć do zwierząt i przekonanie o własnej nieomylności. Udało mu się z psem, nie wątpił więc, że kota też bez trudu wybije dzieciakom z głowy. Lecz tu trafił na mur nie do pokonania i to z najmniej spodziewanej strony. Joanna Tamicka postawiła ostre weto. Coś się jednak zmieniło... Joanna nie była już młodą żoną, przejętą swoją pierwszą ciążą, ale doświadczoną w bojach matką dwójki zdrowych chłopaków, która już nie takim przeciwnikom musiała stawić czoła. Trzyletni malec potrafi być o wiele bardziej upierdliwy niż dziadek dermatolog.

– Cholera, czy to jest mój dom, czy Remigiusza? No ja się pytam, kto tu w końcu mieszka i czyje to są dzieci? Jeżeli będę chciała hodować nutrie na balkonie, to nikomu nic do tego! A kot? Co taki kot przeszkadza? Nie trzeba z nim wychodzić, robi do kuwety i jest zdecydowanie bardziej czystym stworzeniem niż pies, no zobacz sam, przecież ten kot bez przerwy się liże, pamiętasz, jaki był szary, a teraz, proszę, brzuszek ma biały jak śnieg. Jeżeli dzieciaki nie dostaną uczulenia na kocią sierść, kot spokojnie może zostać.

Dzieciaki – na razie – uczulenia nie dostały i kot został. Żeby tylko jeden! Okazało się bowiem, że kot jest kotką, niemającą jeszcze roku, bez pcheł, za to zarobaczoną, wychudzoną i na dodatek w ciąży.

– W ciąży? – nie mogła pojąć Joanna. – Takie dziecko?! Musiał ją dopaść jakiś kocur-zboczeniec, co to się w przyrodzie wyrabia, a wszystko przez tę dziurę ozonową...

Indy – takie imię dla kota wybrał Jędruś. Skąd mu się to wzięło, nikt nie wiedział. Chyba że miłość do Indiany Jonesa Joanna przekazała synowi w genach.

Indina była członkiem rodziny Tamickich od jakiegoś tygodnia. W tym stosunkowo krótkim czasie Maciej doszedł do wniosku, że opiekowanie się kotem to nie taka prosta sprawa, jak by się mogło wydawać, i że luksus posiadania kotka pociąga za sobą pewne niedogodności. Na przykład kłaki. Masy kocich kłaków, wszędzie – na ubraniach, meblach, podłodze, w jedzeniu. Gubienie sierści to rzecz normalna i łatwa do przewidzenia, zwłaszcza w kwietniu – jak to na wiosnę – niemniej kto lubi włosy w zupie czy na kanapce z kiełbasą? Ale kłaki to nic w porównaniu z nerwowością zaadoptowanej sieroty. Indy trudno się oswajała z nowym domem, za to łatwo się denerwowała; szczególnie łatwo denerwowali ją mali Tamiccy. Nie pomagały tłumaczenia, prośby ani groźby. Kotek drapał więc uparte łapska, nie dające mu spokoju, chował się za pralkę i pod wannę, nie chciał jeść i z desperacji popuszczał po kątach. Musiał dopiero nauczyć się korzystać z kuwety. Weterynarz zapewniał, że w ciągu tygodnia opanuje tę trudną sztukę, ale tydzień mijał... Indinie zaś nadal zdarzało się załatwić sprawę pod stołem w kuchni. A że zmieniała właśnie dietę, przechodząc z bliżej niezidentyfikowanych odpadków na frykasy typu KiteCat, no i żyła w ciągłym stresie – miała klasyczną sraczkę. Natomiast na temat kociej sraczki Aleks Gnat już tydzień temu wypowiedział się niezwykle trafnie, mianowicie: „Jedzie tak, że można zdechnąć!”. Więc Maciejowi przemknęło przez myśl, czy aby jego szef wyjątkowo nie miał racji. Tak zupełnie przypadkiem. Może faktycznie, ogólnie rzecz biorąc, koty to dranie, co gorsza, śmierdzą na potęgę. Ponadto Tamicki wciąż nie mógł zapomnieć Homka. Dlatego też piątkowy wieczór upłynął mu niepostrzeżenie na rozważaniach, co lepsze: pies czy kot.

„Niby to pies jest prawdziwym przyjacielem człowieka, jedynym, wiernym i kochającym, a koty, jak wiadomo, chadzają własnymi drogami i drapią, meble też. Ale nie szczekają; Homek, cholera, szczekał – zasępił się Tamicki. – No, ale za to z psem można się pobawić – rozważał dalej –

wyjść na długi spacer, posiłować się, pobawić patykiem, a kot... to kot. Tyle że z takim kotem w ogóle nie trzeba wychodzić. Czasami co prawda, świntuch jeden, załatwi się na dywan i śmierdzi. Zdarza się też, że kocisku jedzie z paszczy zdechłą rybą, ale rzadko i w końcu nie trzeba wąchać. Nie trzeba też go kąpać. Jak się czymś pobrudzi, sam się wyliże i już. Niewątpliwie koty to czyściochy, a jak się jeszcze regularnie opróżnia kuwetę, w ogóle nic nie czuć. Ale psy to takie świetne zwierzaki, można zwierzyć się w przyjacielską sierść, wypłakać... Za to Indy nie tarza się w starych serach".

I tak w koło Macieju, jakby mało miał zmartwień.

Dylematy te dręczyłyby pewnie biednego Tamickiego w nieskończoność, gdyby nie pewne zdarzenie.

Następnego dnia, w sobotę – piękną, słoneczną i niestety duszną od samego rana – Maciej Tamicki wyrzucał śmieci. Oj, nie lubił tego! Był to wszakże jedyny obowiązek domowy, w którym Joanna nie zamierzała męża wyręczać, bez względu na to jak bardzo był zmęczony i ile jeszcze miał roboty. Agencja Reklamowa Radia Omega nie posiadała bowiem Tamickiego na wyłączność. Człek był z niego zdolny i skoro już się zdecydował związać swoje życie z reklamą, pisał scenariusze i różne teksty również dla innych Agencji. „Ale kto to doceni..." – rozczulił się nad sobą. Potem, pomimo rosnącej duchoty, złego humoru, a w planie ciężkiego, sobotniego dnia pracy przy komputerze, wziął worek, paczkę z kocimi ekskrementami i ruszył do windy. Trochę musiał poczekać, bo chyba znowu jeździła tylko jedna.

Wreszcie przyjechała. Tamicki wsiadł, powiedział „dzień dobry", dźwig towarowy ruszył, on głęboko westchnął i w tym samym momencie poczuł, że ma ochotę natychmiast wysiąść.

W windzie śmierdziało. Podejrzliwym wzrokiem obrzucił towarzyszy podróży: trzech młodzieńców na wrotkach i elegancką parę za swoimi plecami. Dyskretnie obwąchał również worek na śmieci i zgrabną paczuszkę. Ale nie, to nie one były źródłem tego potwornego odoru. Jeszcze raz przyjrzał się uważnie chłopcom na rolkach; może któryś z wysiłku lub gorąca popuścił albo pechowo – Tamicki nikomu nie życzyłby podobnego nieszczęścia – pocił się w sposób tak okropnie śmierdzący. Jednak talenty detektywistyczne opuściły Macieja w owym

ważnym momencie jego życia i nijak nie potrafił wyśledzić, kto śmierdzi i dlaczego. Pozostało mu więc zacisnąć zęby i wytrzymać.

Droga z dwunastego piętra na parter potrafi być bardzo długa. Tamickiemu, jako człowiekowi o słabym żołądku, śniadanie zaczęło podchodzić do gardła. Przygięło go nieco do podłogi i już kombinował, że w razie czego uchyli worek na śmieci i ulży sobie prosto do puszki po kukurydzy. Wtedy właśnie, w chwili gdy winda prawie osiągnęła upragniony poziom parteru, a Tamicki stan krytyczny, grożący erupcją treści żołądkowej, elegancki pan, stojący za jego plecami, poruszył się nerwowo. „Oho – pomyślał z niejakim triumfem udręczony Maciej – ten będzie pierwszy”.

Niezupełnie trafił. Dżentelmen tylko chrząknął, po czym do uszu wszystkich obecnych doleciał sceniczny szept adresowany do jego eleganckiej towarzyszki:

– Ależ ten pies śmierdzi jak wszyscy diabli!

Dopiero teraz pan Maciej zauważył wciśniętego w kąt windy spaniela, który na skutek upału dyszał i ślinił się obficie. Wyglądał żałośnie i nieszczęśliwe, za to cuchnął... że daj Panie Boże zdrowie!

Tamicki ponownie głęboko odetchnął – tym razem samymi ustami i z ulgą. Przynajmniej jedna z rozlicznych wątpliwości dręczących jego duszę została ostatecznie rozwiązana.

– Bo niech mi teraz ktoś spróbuje wmówić, że koty śmierdzą! – mruknął pod nosem. Następnie zabrał swoje śmieci i czym prędzej wysiadł z windy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
czyli czasami lepiej nie zadawać pytań.

Na początku lata Roku Pańskiego 1993 Joanna Tamicka uciekła z domu. Zabrała torebkę, spacerówkę, syna swojego młodszego Mateusza, syna swojego starszego Andrzeja i sprawnie zwinęła żagle. Nie odpłynęła daleko. Portem okazał się być mały plac zabaw za blokiem numer dwa; portem przyjaznym, bo znajomym (subiektywnie rzecz biorąc), portem bezpiecznym, bo anonimowym (obiektywnie rzecz biorąc). Niemniej Joanna uciekła tchórzliwie z własnego domu i rodzi się uzasadnione w tej sytuacji pytanie: dlaczego? Dlaczego inteligentna kobieta z wyższym matematycznym wykształceniem, osoba – było nie było – dorosła (choć z napadami furii i głupawki) ucieka z domu? Dlaczego wymyka się ukradkiem z mieszkania i dekuje na tyłach bloku, wśród ławek, huśtawek i piaseczku?

Odpowiedź brzmi: z powodu Świadków Jehowy. Tych uprzejmych, jakże ujmujących ludzi, którzy z uśmiechem na ustach i kolorowymi pisemkami w dłoniach chodzą od domu do domu, od drzwi do drzwi, w jednym tylko celu: by porozmawiać. Nie chcę nawracać ani przekonywać. Łakną rozmowy. Li i jedynie! O nic więcej nie proszą, niczego więcej nie pragną... oprócz chwili rozmowy. Kulturalnej i na poziomie, sięgającej wyżyn moralnych i hasającej wśród stratosferycznych obszarów ducha. Nic więcej, prócz małego *tête á tête* z Biblią, Ideą i Tym, Co Najważniejsze.

Czy może być coś gorszego...?

Żeby jednak w pełni zrozumieć motywy, które pchnęły Joannę Tamicką do ucieczki z domu, należy cofnąć się w czasie...

...do wczesnego popołudnia ponad trzy lata temu. Wtedy to przewrotny los po raz pierwszy zetknął Joannę z braćmi ze Zboru. (Stykała się z nimi także jako panna, ale bez większych konsekwencji). Jędrek miał wtedy dopiero dwa miesiące i dzwonek u drzwi przyłapał młodą matkę w chwili, gdy karmiła swojego synka mlekiem własnej produkcji.

Myśląc, że to mąż wraca ze sklepu, otworzyła drzwi z dzieckiem na ręku, gołym brzuchem i na wpół obnażoną piersią. Zdębiała na widok dwóch eleganckich panów, stojących w pół ukłonie i raczących ją absolutnie naturalnym uśmiechem. Dżentelmeni w garniturach ani miną, ani pozą nie zdradzali zaskoczenia czy skrępowania wynikłą sytuacją; jakby do codzienności obu panów należały półnagie kobiety z niemowlakami w objęciach. Za to Joanna Tamicka czuła się zmieszana i zażenowana za całe towarzystwo.

Panowie zaczęli od tego, że oczywiście nie chcą przeszkadzać, że oni tylko na chwilę i jakiż to piękny widok: matka karmiąca swe dziecko. A to chłopczyk czy dziewczynka? Jasne, że chłopak, taki duży bobasek, tłuściutki, widać od razu, że dobrze się chowa, apetycik dopisuje...

Zachwyt, aprobata i błogie uśmiechy obu mężczyzny jakoś nie robiły wrażenia na młodej mamie. Nadal było jej głupio; głupio i zimno – w końcu marca przy otwartych drzwiach ciągnie z korytarza, że hej, a ona stała w progu z gołym brzuchem i bosymi nogami.

Eleganci kontynuowali w najlepsze, że w dzisiejszych czasach niby tak wiele się zmieniło na lepsze, że mamy wolny kraj, demokrację, nowe inwestycje, grubą kreskę, prywatne szalety i wolne wybory, ale jednocześnie wiele spraw pozostało niezałatwionych, wręcz zapomnianych.

„Pewnie od niedawna zbierają na biednych... – pomyślała zziębnięta niewiasta – i jeszcze nie nabrali wprawy. Zapytaliby wprost, odpowiedziałabym szczerze, że nie mam”.

Elokwentni panowie sunęli dalej: czy ona, jako matka i żona, nie uważa, nie zastanawia się, nie czuje... i tak dalej, grzecznie, mile, lecz zawile. Joanna Tamicka wciąż jakoś nie mogła dojść celu tej wizyty. Wreszcie nie wytrzymała:

– Panowie mówili, że w jakiej sprawie?

Mężczyźni drgnęli, jakby pytanie zniecierpliwionej gospodyni wyrwało ich ze snu.

– A, tak, tak... Chcieliśmy porozmawiać – wykrztusili wreszcie. – Wielu ludzi czuje się zagubionych w tej nowej sytuacji, oddalają się od Boga. Czy nie uważa pani...?

– Nie, nie, dziękuję, może pan ma rację, może nie, ale ja naprawdę nie mam teraz czasu na rozmowy.

– Tak, oczywiście, rozumiemy, więc może zgodzi się pani... zostawimy broszurkę, pani poczyta, zapozna się...

– Dobrze, dobrze – zgodziła się natychmiast Joanna i wzięła podsuwane jej pisemko. Mili, grzeczni panowie coś jeszcze mówili, ale ona nie słuchała. – Do widzenia, do widzenia, mały się kręci, muszę go przewinąć.

Zamknęła drzwi.

Ale jeżeli myślała, że to koniec, to grubo się pomyliła.

Przede wszystkim dostała kataru. To po pierwsze.

Po drugie, po siedmiu miesiącach panowie wrócili po swoje pisemko. Joanna Tamicka już go nie miała. Ze wstydem wyznała, że zgubiła.
W istocie – po kilku nieudanych próbach przeczytania broszurki, po pół roku przekładania jej z lodówki na telewizor – wyłożyła nią kosz na śmieci. Skąd mogła wiedzieć, że uprzejmi dżentelmeni wrócą po swoją własność? Prawdę mówiąc, myślała, iż dali jej to pisemko na zawsze. No i źle myślała, problemy finansowe mają teraz wszyscy, poza tym dali, żeby przeczytała.

Czy przeczytała?

No nie przeczytała, bo zgubiła.

Ale jak mogła zgubić? Czasopismo to nie szpilka. Może poszuka jeszcze raz?

Może...

To oni jeszcze wrócą.

I wrócili. Po miesiącu. Tyle że tym razem otworzył im Tamicki, który z właściwym sobie wdziękiem oświadczył miłym panom, że ich pisemko się nie znajdzie. Bo wcale się nie zgubiło. Wręcz przeciwnie. On doskonale wie, co się z nim stało, i może im powiedzieć, jeżeli będą nalegać.

Nie nalegali.

Joannie, podsłuchującej w kuchni, zrobiło się nawet trochę żal nieproszonych gości. Jednak nie na tyle, by przeszkodzić mężowi – oj, wyrobił się pan Maciej ostatnio – w akcji spławiania obu braci w wierze.

Po mniej więcej dwóch latach...

Joanna – dumna mama już dwóch synków – od samego rana biegała z nocnikiem za Jędrusiem, w międzyczasie podkarmiając i przewijając Mateusza, nowego członka rodziny. Po dwóch tygodniach bycia podwójną mamą, której głównym zajęciem stało się pranie, wieszanie, zdejmowanie i prasowanie podwójnej liczby pieluch – marzyła wyłącznie o drzemce.

W chwili kiedy oczy jej się same zamykały, Jędruś z brudną pieluchą w garści wystękał, że zrobił e-e, a Mateusz zaczął się głośno domagać kolejnej porcji białka, do drzwi ktoś energicznie zapukał. Joanna nie wiedziała, za co się ma najpierw złapać: za jednego syna, za drugiego syna, za klamkę u drzwi... „A może zamknę się w łazience? – przemknęło przez jej skołataną głowę. – A może to mama? – pomyślała z nadzieją. – Może mi troszkę pomoże...”.

Niestety za drzwiami zamiast wyczekiwanej babci Grażynki zobaczyła dwie panie. Nawet całkiem sympatyczne. Uśmiechały się przyjaźnie do spoconej, lekko potarganej pani domu i pyzatego blondaska kukającego zza jej nogi. Uśmiechnęły się jeszcze szerzej, gdy wokół rozszedł się charakterystyczny zapaszek.

– Oho, chyba mamy mały problem – zwróciła się do Jędrusia starsza z pań, siwowłosa, lekko korpulentna, w liliowym, gustownym płaszczu w gruzełki.

– Dokładnie, muszę go umyć i przebrać. Niech panie... – Joanna Tamicka przyjrzała się obu kobietom. Wyglądały niegroźnie i kiwały głowami ze zrozumieniem. Zaryzykowała. – Niech panie wejdą, proszę, zaraz wracam.

Wróciła błyskawicznie. Z zapłakanym Mateuszkiem na ręku.

Ochom i achom nie było końca.

– Jaki śliczny, ile ma? Prawie trzy tygodnie! Taki słodki, oczy jak węgielki! Jak ma na imię? Moja córka też niedługo będzie mieć takiego, a mały chyba głodny, ssie pani sweter... – Istotnie Mateusz zaczął szukać jedzenia i wpakował sobie kawałek maminego swetra do buzi.

Jedno głodne niemowlę, jeden latający z gołą pupą dwulatek i wizyta miłej skądinąd pary, tyle że w najgorszym z możliwych momentów – Joannie za bardzo to przypominało, zbyt się kojarzyło...

– O co właściwie chodzi? – zapytała z niepokojem, przerywając wspominki obu kobiet z czasów, gdy same miały małe dzieci.

– Chciałyśmy porozmawiać. Rozumiemy, że jest pani zajęta, opieka nad domem to ciężka i absorbująca praca, często niedoceniana, ale może warto zatrzymać się na chwilę, zastanowić, poświęcić trochę czasu...

– Cały swój wolny czas przeznaczam na spanie – ucięła Joanna. Nie zamierzała się wdawać w żadne religijno-moralne spory. Z prostego powodu: nie czuła takiej potrzeby.

– Oczywiście, przy dwójce małych dzieci można być zmęczonym – nie ustępowały przemiłe panie. – Jednak choć chwilka na refleksję, bo czy nigdy nie przyszło pani do głowy, że gdyby człowiek przestrzegał Słowa Bożego, na świecie nie byłoby tylu wojen, nieszczęścia, biedy?

– Hmm... niespecjalnie mi przyszło – mruknęła Tamicka i poczuła się jak ostatni głupek. No bo dlaczego jej nie przyszło?

– W Biblii są odpowiedzi na wszystkie pytania, poprzez Biblię Bóg wskazuje nam drogę...

– Czasami odnoszę wrażenie, że Bóg jest dość okrutny w swoich wskazaniach, w każdym razie ten ze Starego Testamentu – wyraziła opinię Joanna Tamicka, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Bóg nie jest okrutny, Bóg jest tylko sprawiedliwy.

– Dobrze, nie chcę się sprzeczać – zgodziła się natychmiast Joanna.

– Ależ dlaczego? Właśnie na takie i wiele innych wątpliwości znajdzie pani odpowiedź w Biblii. Trzeba tylko chcieć zgłębić tę wiedzę.

– Tak, na pewno wystarczy chcieć, ale mnie w tej chwili... Jędrek, załóż kapcie... no, nie bardzo mi się chce. Nie bardzo też mam możliwości, jak pani widzi.

– Oczywiście, dzieci... właśnie! Jest pani matką, czy nie obawia się pani o przyszłość swoich maluszków? Upadek moralny naszych czasów...

– Szczerze mówiąc, nie uważam się za specjalnie upadłą, wręcz przeciwnie. Owszem, są rzeczy, których się wstydzę, chyba jak każdy, w miarę normalny... Jędrek, przestań się huśtać na drzwiach... ale biorąc pod uwagę wszystkie swoje grzechy, wszystko, w co wierzę, wszystko, co zrobiłam i czego nie zrobiłam, uważam się za dobrego człowieka – wyznała nieskromnie Joanna Tamicka swoim mocnym, dźwięcznym głosem. Panie wyglądały na oszołomione.

– To znaczy, że jest pani, ee... szczęśliwa? – zapytała uprzejmie młodsza z pań, a kapeluszu na jej głowie przekrzywił się niedowierzająco. Coś jakby ironia zawisła nad progiem.

– Oczywiście – palnęła Joanna. – Jestem szczęśliwa.

Po takim bezkompromisowym oświadczeniu, wygłoszonym głośno, odważnie i bez cienia wątpliwości, każdy inny powiedziałby tylko: gratuluję, oby tak dalej i do widzenia, po czym odpłynąłby w siną dal na poszukiwania mniej szczęśliwych bliźnich. Dwie urocze damy ze Zboru nie zamierzały jednak tak łatwo rezygnować ze swojej misji.

– To tylko winszować i zazdrościć – mruknęła starsza, a młodsza wyciągnęła w kierunku Joanny rękę z... kolorowym pisemkiem.

– Nie, nie! – szepnęła instynktownie Tamicka. Instynktownie, ale za wolno, za wolno...

– Ależ tak, proszę się nie krępować, bardzo proszę, niech pani weźmie. – Słabe protesty zostały zignorowane, rozczapierzone w obronnym geście palce zgrabnie ominięte, a intrygująca gazetka z kolorowymi obrazkami trafiła prosto do łapczywych łapek Jędrusia. – Może i dla siebie znajdzie tam pani coś ciekawego, może są sprawy, z którymi nie radzi sobie pani tak dobrze, jakby mogła. Kochanie, tylko nie podrzyj, lepiej daj mamusi, potem razem sobie pooglądacie. Może ma pani pytania, na które właśnie my moglibyśmy odpowiedzieć.

W ten oto sposób Joanna Tamicka znowu weszła w posiadanie rzeczy, której wcale nie pragnęła. Stała się właścicielką broszurki wydawanej przez Towarzystwo Strażnica. Właścicielką? Dobre sobie. Ciekawe, kiedy znowu przyjdzie jej się tłumaczyć z tego, czy ma, czy czytała i jakie wyciągnęła wnioski.

„Dlaczego ja, no, dlaczego akurat ja...?” – jęknęła w duchu.

Przez następny rok Joanna Tamicka pilnowała pisemka jak źrenicy oka. Niestety nie upilnowała. Wszędobylski Jędruś wspólnie z ciekawskim bratem pędrakiem Mateuszkiem (który właśnie uczył się chodzić przy meblach) dorwali w końcu tajemnicze pisemko i przerobili je na usmarowaną kredkami papierową sieczkę. Efekty swego zbrodniczego dzieła wpakowali do sedesu i spuścili wodę, skutecznie zapychając rurę odpływową.

Tu wreszcie dochodzimy do kulminacyjnego momentu tej historii. Do sromotnej ucieczki Joanny Tamickiej z własnego domu, do żenującej rejterady przed... W rzeczy samej, przed kim?

Późnym rankiem dnia, który nastąpił po okrutnej egzekucji dokonanej na kolorowym pisemku, na dwunaste piętro bloku numer dwa doczłapał

niepozorny człeczyna. Ponieważ windy nie działały, musiał iść po schodach. Ponieważ brakowało mu kondycji, a nie brakowało zbędnych kilogramów – zmęczył się. Ponieważ bezlitośni mieszkańcy spławiali go czym prędzej, nie dając chwili na wytchnienie – zasapał się. Ponieważ miał problemy z gospodarką wodną – spocił się obficie i wręcz nieprzyzwoicie. Ponieważ miał katar jak byk – oddychał przez usta, mówił przez nos i co jakiś czas smarkał w zieloną chustkę. A ponieważ żadnej z tych rzeczy nie robił porządnie, w efekcie jedynie charczał, niewyraźnie mamrotał i bezustannie pociągał nosem.

Takiż mało ciekawy obrazek ujrzała Joanna, gdy otworzyła drzwi w pierwszą niedzielę lata.

– Czy pan się źle czuje? – zapytała pełna dobrych intencji. – Może wody albo... krzesła?

– Je...jestem Świa...dkiem Jehowy – wyrzęził facecik w niemodnym garniturze i otarł pot z czoła źle skrojonym rękawem.

– To współczuję – odparła Tamicka, a jej współczucie zmalało do granic nieistnienia. – Nie rozumiem tylko, czemu jest pan sam, zdążyłam zauważyć, że zwykliście chadzać parami. Może tamten się rozchorował, pan też nie wygląda najlepiej, zresztą mniejsza z tym... – Kobieta nabrała oddechu i wyznała odważnie: – Co do gazetki, po którą ewentualnie pan się fatygował, to bardzo mi przykro, ale chłopcy, jakby to powiedzieć, podarli biedaczkę, a potem utopili, miło mi było pana poznać, ale właśnie, rozumie pan, że...

– Może porozmawiamy! – rzucił w desperackiej próbie nawiązanie kontaktu pechowy członek Zboru.

– Niby o czym? – warknęła Joanna.

– O życiu...? – zasugerował z nadzieją człowiek z Biblią.

– Moje życie nie wymaga komentarza – oświadczyła bezwzględna białogłowa. – Moje życie właśnie domaga się lunchu. Jak go nie dostanie na czas, gotowe ruszyć do ataku. – Dzikie, przenikliwe okrzyki braci Tamickich, dobiegające z okolic lodówki, potwierdzały te wieszcze słowa.

– To może choć gazetkę, co?

– Żadnych gazetek, drogi panie, już nigdy więcej. Mam dosyć tłumaczenia się, czy je czytam i co z nim robię, jak nie czytam.

– Ale to już nie te czasy, już nie musi pani oddawać ani...

– Ja nic nie muszę, łaskawco, absolutnie nic! – rzuciła wyniośle.

W oczach łysawego człowieczka pojawiły się łzy; młoda kobieta miała nadzieję, że to od kataru.

– Proszę, niech pani weźmie gazetkę, proszę, niech się pani zastanowi, ja przyjdę później, proszę...

Joanna Tamicka nie była z kamienia.

– Okej, zastanowię się, ale niech pan sobie za wiele nie obiecuje.

– Dziękuję, dziękuję.... – Grubasek zgiął się w pół.

Gdy tylko Joanna zamknęła drzwi za cudakiem, wróciła do niej natrętna myśl sprzed roku: „Dlaczego ja, czemu akurat ja?”, a potem bez zastanowienia krzyknęła w stronę kuchni:

– Dzieciaki, zbierać się, idziemy na huśtawki!

Na rzecz huśtawek i lunchu w postaci czekolady mlecznej oraz soczku dzieciaki zrezygnowały z oblegania lodówki.

Pogoda tej pierwszej letniej niedzieli była bardzo artystyczna, malarska, nastrajała melancholijnie i jednocześnie budziła nieokreślony niepokój. Świeciło słońce. I padało. Raz tu, raz tam, zależnie jak się chmura ustawiła. A chmura była ciemna, poszarpana i groźna. Słońce przeświecało przez jej ciemną grozę, przeciekało w złocistych smugach na liście młodych jarzębin i delikatnych brzózek. Strzeliste promienie, które można było dojrzeć i policzyć, rozciągały się na kształt wielkiej harfy między niebem a ziemią. Wyczuwało się oczekiwanie strun tęskniących za ręką mistrza, czuło się coś tajemniczego wiszącego w powietrzu...

Joanna, dywagująca w duchu na temat kaprysów pogody, na jawie zaś zajęta huśtaniem swych pociech, nie od razu zauważyła, że ma towarzystwo.

Na ławce – na jej niebieskiej ławce! – usiadł wymięty facet z katarem, łysiną i Biblią. Ten sam!

Joanna Tamicka postanowiła go ignorować. Niestety zostawiła na ławce torebkę. W torebce były klucze, pieniądze i wiele innych rzeczy, przede wszystkim zaś – czekolada.

– Mama, czekolady! – zażądał Jędruś.

– Skarbie, może starczy, nie będziesz mógł zrobić kupki, jak zjesz za dużo czekolady – delikatnie i z troską tłumaczyła bujającemu się synkowi mama.

– Jeden, ostatni, mama, daj!

Podziwiając nieziemskość chmury i prześwietlających ją promieni, Joanna jak gdyby nigdy nic podeszła do niebieskiej ławki, wzięła torebkę i zaczęła w niej pospiesznie grzebać.

– Dlaczego ja, dlaczego akurat ja? – usłyszała zaskakujące, choć znajome pytanie.

– Przepraszam, pan do mnie?

Załzawione oczka spojrzała na nią z bezdenną rozpaczą.

– Dlaczego mi to robisz, Boże?

– Ależ proszę pana, pan się myli, ja w żadnym razie nie jestem, nie poczuwam się...

– Dlaczego uwziąłeś się na mnie? Jestem Twoim wiernym sługą. Moim jedynym marzeniem, jedynym celem mojego życia jest służyć Tobie, głosić Twoje Słowo, a Ty mnie odtrącasz! Dlaczego? Dlaczego nic mi nie wychodzi, dlaczego ludzie nie chcą mnie słuchać, nie chcą ze mną rozmawiać, co robię źle? Dlaczego nawet ta kobieta, która obiecała czekać, nie poczekała? Dlaczego wszyscy mnie lekceważą?

– Więc pan jednak do mnie? – domagała się uściślenia Tamicka.

– Dlaczego, Jahwe? Dlaczego jesteś dla mnie taki okrutny? Innym, gorszym, bardziej grzesznym pobłażasz, a mnie bezustannie każesz i doświadczasz.

– Niech pan przestanie zawodzić i powie wreszcie, o co konkretnie chodzi? – zniecierpliwiła się Joanna; synek popatrywał na nią z głodem i wyrzutem w oczach.

– Dlaczego?! Dlaczego, Jahwe, dlaczego ja? – nie ustawał w pretensjach człowieczek. – Dlaczego akurat... ja?!

I wtedy pociemniało wszystko wokół jak przed burzą. Słoneczna harfa zajaśniała mocniejszym blaskiem. Jej strun dotknęła ręka mistrza. Popłynęła pieśń – mocna, dźwięczna i przejrzysta. Joanna Tamicka zrozumiała słowa i powtórzyła je człowiekowi, który prócz swego biadolenia nie słyszał nic więcej.

– Bo On cię nie lubi.

Mężczyzna patrzył szeroko otwartymi oczami, sapał, siąkał i niczego nie pojmował.

– Rozumiesz, kochać musi, ale lubić... nie lubi i tyle.

Joanna Tamicka wracała do domu z głębokim, wewnętrznym przeświadczeniem, że już nigdy więcej nie ucieknie. W końcu dano jej radę,

jaką się dostaje raz w życiu. „Nie zadawaj pytań, na które niekoniecznie chcesz znać odpowiedź. I najważniejsze. Nigdy, przenigdy nie irytuj Boskiej Doskonałości swoją ludzką indolencją”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY
czyli o windach, które stają, napisach, które trwają i ludziach, którzy postanawiają się zmienić.

Trudno powiedzieć, co właściwie podkusiło Aleksa Gnata. Może to była sprawka pięknej jesiennej pogody i tych wszystkich przyjaznych prądów rozłażących się w powietrzu. W każdym razie Aleks Gnat postanowił się zmienić. Konkretnie postanowił zmienić swój stosunek do pracowników. Zamarzyło mu się zostać ludzkim szefem. Takim, który się interesuje, zagaduje, pyta o rodzinę i w ogóle. Umyślił sobie znaleźć z tak zwaną „wiarą" tak zwany „wspólny język".

Niestety pracownicy Agencji Reklamowej Radia Omega, nie wiedząc, o co chodzi, zaczęli omijać miłego szefa szerokim łukiem. Aleks Gnat obrał więc inną taktykę.

„Należy pozyskać sprzymierzeńca" – wykoncypował sobie i... padło na Macieja Tamickiego. Dyrektor podumał, postękał i wymyślił, że da głównemu scenarzyście podwyżkę. Aha! I sam mu o tym powie. Aha! Wyszukał u kadrowej adres Tamickiego, wcisnął się do swojej czerwonej sportowej toyoty i pełen dobrych intencji ruszył w kierunku osiedla Orła Białego.

Jakoś przebrnął przez korki i roboty uliczne; jakoś znalazł blok z numerem drugim; jakoś wślizgnął się do niego bez konieczności gadania z tą idiotyczną dziurą w ścianie, zwaną domofonem; jakoś udało mu się dostać do jedynej jeżdżącej windy – i to już za drugim podejściem; jakoś dojechał na szóste piętro, na którym wysiadł przedostatni pasażer obładowany wiaderkiem, piłką, trójkołowym rowerkiem i młodszym bratem; jakoś...

Tu szczęście Aleksa Gnata się skończyło. Między szóstym a siódmym piętrem winda stanęła. Początkowo pan dyrektor dopuszczał możliwość tak zwanych przejściowych trudności: że nic takiego, winda odpocznie, nabierze nowych sił i przestanie się wygłupiać. Jednak po dłużącej się minucie upartego zawieszenia Aleks zaczął się denerwować. Po dwóch minutach – klął na czym świat stoi, a po trzech – miał dość zdawania się na fochy nieprzewidywalnego dźwigu osobowego. Gnat postanowił działać. Przypomniało mu się, że kiedyś podsłuchał rozmowę Tamickiego z sekretarką; dyskutowali na temat sposobów ożywienia znieruchomiałej nagle windy.

– Co on tam mówił? – Aleks Gnat cały aż się skrzywił od wysiłku umysłowego. – Co? Że niby pcha, skacze, dusi... Chwila, po kolei, nic na łapu capu – upominał sam siebie. – Na początek pchamy drzwi, bo może niedokładnie się zamknęły.

Pan dyrektor spojrzał niepewnie na ścianę przed sobą, potem na górną połowę drzwi z szóstego i dolną połowę drzwi z siódmego. Zaparł się i pchnął z całej siły jedne i drugie odrzwia, a po chwili, dla pewności, pchnął też ścianę pośrodku.

Nic.

– Jak nie skutkuje – przypominał sobie dalej w pocie czoła – albo winda stoi między piętrami... cholera, nie mógł tego wcześniej powiedzieć... dusimy na „stop”, a potem na najbliższe piętro. – Różowy gruby palec wylądował na przycisku „stop”; zaświeciło się czerwone światełko; paluch oderwał się i zawahał. Najbliższe piętro półpiętra między szóstym a siódmym to szóste czy siódme? A może piąte lub ósme? Po kolejnym długotrwałym namyśle (pot ciekł już teraz z całego dyrektora) Gnat zdecydował się na piąte i ósme, a dla czystego sumienia docisnął także szóste i siódme. Nic. Nadusił również na „alarm”. Żadnego odzewu.

Aleks Gnat nie poddawał się tak łatwo. Kombinował dalej. „Najlepszym sposobem jest jednak podskoczyć, tak zdecydowanie, ale nie za wysoko, bo się, draństwo, urwie” – mówiąc to, Maciej Tamicki zarechotał, choć Gnat, mężczyzna słusznej wagi i postury, a nie taki chudy wymoczek jak ten Tamicki, doprawdy nie widział tu nic śmiesznego.

Niech tam – wzruszył ramionami. Następnie rozejrzał się ukradkiem na boki, jakby sprawdzał, czy nikt nie patrzy, i podskoczył. Delikatnie, leciutko, na czubkach palców.

Nic.

Podskoczył odrobinę mocniej, odważniej, już na całych stopach obutych w eleganckie, włoskie mokasyny. Znowu nic. Teraz podskoczył ze złością, wyładowując w tym skoku całą swoją frustrację.

Że ta durna winda stoi! – skok. Że on jak kto głupi jest w niej zamknięty! – skok. Że nie wie co robić! – skok. Że mu gorąco, boi się i nie ma pojęcia, po jaką cholerę zachciało mu się odmian! – skok, skok, skok.

Po chwili Aleks Gnat skakał niczym Gene Kelly po kałuży w *Deszczowej Piosence*.

Nagle winda wydała z siebie przeciągły jęk. Gnat również jęknął, z przerażenia, i zamarł w bezruchu.

Cisza. Dzięki Bogu! Wytrzymała, uff! Pechowy pasażer osunął się po ścianie i klapnął na podłogę. Nieważne, że wyglądała na brudną, oplutą, a nawet osikaną. To nic, najważniejsze, że ani drgnie – stoi, nie leci w dół ku zagładzie. Po raz kolejny pot oblał Aleksa Gnata od stóp do głów. Nieszczęśnik poluźnił krawat, przymknął oczy. Bał się nawet krzyknąć. Siedział tak z pół godziny, zanim odważył się zmienić pozycję i wyprostować nogi. Włoski garnitur za siedem baniek będzie do wyrzucenia, ale to nic. Otworzył oczy. Pora przyjrzeć się temu więzieniu. Małe. Brudne. Obskurne. Ale nie spodziewał się pokoju w Holiday Inn. Grunt, że ta puszka jest stabilna.

– Jednak – westchnął po dziesięciu minutach nudy – żebym miał ze sobą choć gazetę. Poczytałbym sobie, zobaczył, co dają w telewizji, spróbowałbym rozwiązać krzyżówkę i jakoś czas by zleciał, zanim ktoś mnie tu znajdzie, a tak...

Pozostało mu studiowanie napisów na półdrzwiach, ścianach oraz na suficie windy.

RZEGRZE PANY – odcyfrował na połówce drzwi szóstego.

– Aha... – skojarzył – to kumple tych od „Wilda pany” i „Śródka pany”, ale jaką dzielnicę Poznania mieli na myśli? Zege... Rzege? Zegerzegrze, tfu!

FUCK THE SKINS – odnalazł na połówce drzwi siódmego.

– Czemu nie? Jak ładne i chętne... – pomyślał na głos, myląc ogolonych na łyso facetów z pewną odmianą bezpruderyjnych dziewcząt. – A właściwie kto powiedział, że temu Tamickiemu należy się podwyżka,

co? – zastanowiło nagle Aleksa Gnata. – Przecież on nawet w krawacie nie chodzi. Wszyscy mogą, a on nie!

PUNKS NOT DEAD – dopatrzył się w esach-floresach na suficie.

– Punk? Punk... Aha, Pank! Już wiem. Punk to z angielska. Panki to ci w skórach i z czubami.

TU BYŁEM FRYTA – przeczytał na ścianie po prawej.

– Ciekawe jak długo ten biedak tu siedział... – rozczulił się nad bratem w niedoli. – A tak w ogóle Tamicki mógłby od czasu do czasu założyć coś innego niż dżinsy. – Myśl ta uderzyła dyrektora swoją niebywałą słusznością. – Ciekawe, czy on w ogóle ma jakiś porządny garnitur. Pewnie nie. Artysta, niech go szlag!

WALENIE TO ZDROWIE, PÓKI SIĘ ŻONA NIE DOWIE.

Aleks Gnat nie był taki głupi, żeby komentować na głos tę maksymę ludową; zwłaszcza biorąc pod uwagę typ żony, jaki sam posiadał.

LOVE HUJ.

– A na zdrowie, dziewczyno! – wymamrotał ze szczerą życzliwością.

JABOL IS GUT – głosił napis za plecami Aleksa, co stwierdził, gdy obrócił się delikatnie, żeby nie nadwyrężać windy.

– Wolę piwo – skomentował Gnat i rozejrzał się w poszukiwaniu dalszych sentencji. Jednak na tym napisy się kończyły. Reszta ściennej twórczości młodocianych artystów okazała się nieczytelna.

– Ależ ta młodzież się opieprza! – rozsierdził się Aleks Gnat. – I czego ich uczą w tych szkołach? Nawet pisać porządnie nie potrafią! – wściekał się. – W dupie mają, że człowiek tu z nudów umiera. A ten Tamicki...! Co z tego, że jest dobry w pisaniu reklam. Jest też drogi i pyskuje. Zwłaszcza ostatnio. I czemu ta winda nie jedzie?! Halo, jest tam kto? Ja tu jestem! Halo! – Przyłożył dłonie do ust i wyskandował: – Tu-jes-tem-tu-we-win-dzie!

– Pewnie, pewnie, że we windzie – usłyszał w odpowiedzi rozbawiony głos.

– Halo, jest tam kto? Niech mi pan pomoże stąd wyjść! Siedzę tu już chyba trzy godziny!

– Tylko półtora bez trzech minut, kochasiu. – Franciszek Wons zachichotał. Aleks Gnat odniósł nieodparte wrażenie, iż był to chichot złośliwy.

– Dobra, dziadek, nie licytujmy się, pomóż mi tylko stąd wyjść, okej?

– A właśnie, że ważne, synek. Rekord wynosi cztery godziny szesnaście minut. – Pan Franciszek, którego hobby stało się wyłapywanie uwięzionych w windzie lokatorów, posiadał niezwykle ścisłe informacje. – I to w prawej towarowej, a ty jesteś w lewej osobowej.

– Gówno mnie to obchodzi, dziadek, chcę stąd wyjść! Zrób coś!

– Chwila, kochasiu, już wezwałem pogotowie.

– Po kiego grzyba pogotowie, nic mi nie jest, chcę tylko stąd...

– Pogotowie dźwigowe, kochasiu. Przyjadą i wypuszczą ptaszka z klatki. – Staruszek znowu zachichotał. Gnatowi wydało się, że jeszcze bardziej złośliwie niż poprzednio.

Przez trzydzieści trzy minuty, coraz bardziej spocony i coraz bardziej wściekły więzień dźwigu osobowego zmuszony był wysłuchiwać windzianych anegdot Wesołego Staruszka.

– A wiesz, kochasiu, że niektórzy, choć mieszkają tu prawie pięć lat, nigdy nie „stali”? Na przykład ta tęga wdowa z trzynastego albo Tamicka z dwunastego. – Aleks Gnat aż sapnął, gdy usłyszał znajome nazwisko.

– Już ja mu dam, o tak, już ja mu dam – burknął nieco złowieszczo pod adresem nieświadomego niczego pana Macieja.

– Jej mąż tak, on „stał”, dwie godziny i pięć minut, i wcale się nie zdenerwował – perorował staruszek. – Po prostu zaczął coś tam sobie pisać. Chłopcom z pogotowia, gdy go uspokajali, że jeszcze tylko minutka, powiedział, że nie ma pośpiechu, bo ma tu jeszcze małą robótkę, a w windzie przynajmniej panuje cisza i spokój, nie to co u niego w domu. I co powiesz, kochasiu? Niezły aparat, nie?

– O tak, fantastyczny – wycedził przez zęby Aleks Gnat.

Nim wreszcie fachowcy dotarli na miejsce, nim pogrzebali, gdzie trzeba, nim winda ruszyła z miejsca i dowiozła swojego spoconego pasażera na zamówione przed dwiema godzinami dwunaste piętro, Aleks Gnat pożądał zemsty jak niczego w swoim życiu. Dysząc wszystkim co najgorsze, nacisnął dzwonek. Otworzył mu uśmiechnięty i wypoczęty Maciej Tamicki, odziany w obszerny, niewątpliwie wygodny, czerwony dres. Koło jego nóg pętały się dwa koty, które popatrywały na Gnata z jakąś wredną uciechą.

– O, dzień dobry, panie dyrektorze! – zagaił uprzejmie Tamicki. – Cóż pan tu robi? Coś się stało? Wygląda pan nieszczególnie...

Aleks Gnat zazgrzytał zębami.

– Wie pan co, panie Maćku – warknął. – Tę podwyżkę zobaczy pan jak własną dupę!

Po wypowiedzeniu tego zdania humor Aleksa Gnata polepszył się w sposób widoczny. Na do widzenia poprawił krawat, zadarł dumnie podwójny podbródek, żeby głupie koty sobie nie myślały, po czym obrócił się na pięcie i skierował ku... o nie, nie ku windzie, ale ku schodom na końcu korytarza.

ROZDZIAŁ DWUNASTY
czyli historia jednego sylwestra.

Damy sobie radę – zapewniał przez telefon Edward Tamicki. – Też mieliśmy dwóch synków, wiemy, do czego są zdolne te geny!

– Daj spokój, Asiu – zauważył cicho Maciej, przejmując od małżonki słuchawkę. – W końcu chłopaki jadą tam tylko na jedną noc, a nie na cały miesiąc. Tak, tato, przywiozę ich za pół godziny. Do zobaczenia.

Obrócił się i uśmiechnął z pobłażaniem na widok sceptycznej miny żony.

– Nic im się nie stanie. Najwyżej objedzą się jak świnki i wykończą dziadków.

– Właśnie... – mruknęła pod nosem Joanna.

Teściowie nie byli z żelaza. Babcia Basia miała „tylko” kłopoty z sercem; z kolei dziadek Edek co poszedł na badania do szpitala, wracał z nowym schorzeniem: nadciśnienie, cukrzyca, kamienie, wreszcie staw biodrowy do wymiany. „Niedługo poinformują mnie, że właściwie już nie żyję” – kpił sobie starszy pan Tamicki.

Żarty żartami, ale nie zawsze było mu do śmiechu. Najgorzej sprawy miały się z biodrem, przez które z trudem ruszał się bez kul. Nieraz przeklęty „kopyt” rwał go tak bardzo, że pan Edward nie mógł spać z bólu, a o chodzeniu następnego dnia nie miał co marzyć. W szpitalu ortopedycznym zalecili natychmiastową wymianę stawu, bo może się skończyć amputacją, no i dodali, że jak sobie pan Tamicki kupi taki staw, to oni mu go ewentualnie wymienią. Sztuczny staw biodrowy – bagatelka – dwa tysiące dolarów! Jak tu zdrowieć przy takich cenach?

Mimo słabnącego ciała dzielny duch dopisywał i starsi państwo postanowili wziąć do siebie wnuków na sylwestra. Joanna Tamicka od samego początku miała wątpliwości. Znała swoje dzieci najlepiej; żeby ich znieść dłużej niż przez trzy godziny, bez szkody na ciele i umyśle, należałoby zaliczyć kurs przetrwania w ekstremalnych warunkach.

Czerwony beret komandosa też by nie zaszkodził, smarkacze przynajmniej czuliby respekt. Nim mąż zabrał jej słuchawkę, tłumaczyła właśnie, by małym bandytom nie pobłażać, bo wlezą na głowę, dom rozniosą w strzępy i.... Mogła sobie darować. Dziadek za nic nie chciał uwierzyć, że jego wnuczęta to diabły wcielone. „Ludzie uczą się na błędach – pomyślała, wkładając do torby pieluchy, rzeczy na zmianę i instrukcję obsługi synków. – W każdym razie niektórzy".

Joanna miała już na nogach szpilki, na twarzy wykończony makijaż, na głowie ostateczną fryzurę, a na ławie w dużym pokoju serwetę, talerze i sztućce, gdy jej mąż wrócił do domu.

– No i jak? – zapytała, nie bardzo wiedząc, co chciałaby usłyszeć.

– Świetnie – odparł Tamicki, nie bardzo wierząc w to, co mówi. – Jędrek zaraz po wejściu zażądał parówki, Mateusz jeszcze w czapce dorwał się do szynki. Natomiast dziadkowie, pełni optymizmu i wiary we własne siły, kazali mi przynajmniej na ten wieczór zapomnieć, że mam dzieci, i dobrze się bawić.

– No i? – Joanna ponownie zadała zasadnicze pytanie.

– No i... – Maciej wcisnął kurtkę do szafy w przedpokoju, bo wieszaki miały być wolne dla gości – zamierzam się świetnie bawić i nie pamiętać – oświadczył twardo mężczyzna, który czuł się w tym roku odrobinę wykończony swoim ojcostwem.

– Aha – przyjęła do wiadomości Joanna.

Do bajki Jędrek i Mateusz zdążyli zjeść po parówce, bułce, trzech plasterkach szynki i połówce czekolady oraz wypić po bobofrucie i dwóch kubkach kompotu czereśniowego, który to kompot babcia Basia sama zrobiła i sama przyniosła z piwnicy. Zdążyli też nakruszyć, wdeptać w dywan masło, rozmazać czekoladę i rozlać kompot na obrus. Pani Barbara na kolanach zbierała okruszki i wywabiała plamy z dywanu; obrus namoczyła w wannie.

Gdy wnuczkowie podjedli i obejrzeli dobranockę, nareszcie na serio wzięli się za zabawę. Jędrek zaciągnął babcię do gry w piłkę w przedpokoju. Grali w nogę zdezelowaną piłką do koszykówki. Pani Barbara po piętnastu minutach meczu spociła się jak mysz i mocno poczerwieniała; po półgodzinie zrzuciła bluzkę oraz spódnicę. Mateusz

początkowo próbował się włączyć w rozgrywkę, ale nie biegał wystarczająco szybko i w ogóle nie trafiał nogą w piłkę, więc brat wykopał go do dużego pokoju, gdzie dziadek próbował oglądać *Wiadomości*. Przy nieludzkich okrzykach Jędrusia oraz żałosnych piskach Mateuszka zadanie to nie zaliczało się do najłatwiejszych.

Dziadek westchnął, wstał z kanapy narożnikowej, dokuśtykał do telewizora, zrobił głośniej, zdjął z półki miskę z orzechami, usiadł na krześle przy stole w taki sposób, by odciążyć chore biodro, i kiwnął na chlipiącego przy drzwiach Matołka.

– Chodź, połupiemy sobie.

Zaintrygowany chłopczyk przekrzywił głowę jak wróbel. Nie miał pojęcia, do czego namawia go dziadzio, ale brzmiało ciekawie. Jeszcze trochę obrażony przydreptał do stołu i wdrapał się dziadkowi na kolana. Zaczęli współpracę. Mateusz wybierał orzechy i rozgrzebywał łupinki, dziadek łupał, kątem oka oglądając, co się dzieje w kraju i na świecie. Pod stołem spadające łupiny i okruchy układały się w interesujący wzór bałaganu.

Około siódmej w progi domu państwa Tamickich zawitał pierwszy gość; Gosia Wilczyńska – przyjaciółka Joanny ze szkoły. Chodziły razem jeszcze do podstawówki. Potem w liceum siedziały w jednej ławce, wreszcie razem studiowały matematykę. Dzisiaj Małgorzata, zdaniem swojej przyjaciółki, była stanowczo za szczupła i zdecydowanie za dużo paliła. Poza tym pracowała jako nadzorca sieci komputerowej w Urzędzie Marszałkowskim, miała dwójkę dzieci, mieszkanie na Strzeleckiej i męża w Swarzędzu.

Czekali około godziny, zanim pojawili się kolejni goście. Joanna zaczęła nawet pociągać nosem i kwękać, że pewnie nikt więcej nie przyjdzie, więc po co robiła tyle bigosu oraz barszczu – gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

Na kolację była cielęcinka, pączki, mandarynki, ziemniaki z sosem, cukierki, tort czekoladowy, oranżada poziomkowa i oczywiście czekoladowy kleik ryżowy, który zaleciła mama na posiłek wieczorny. Przeżuwające dzieci mają w pewnym niewielkim stopniu ograniczone zdolności mówienia i zupełnie nieograniczone możliwości rozrabiania. Jędrek przebudował narożnik w czołg i zaczął ostrzeliwać Mateusza. Ten się bronił rzutami na „wieżyczkę” i niezrozumiałymi dla nikogo groźbami

oraz ze wszystkich sił starał się wedrzeć do wnętrza opancerzonego gąbką pojazdu. Dziadek od samego patrzenia na te zmagania zrobił się zmęczony. Niezmordowana babcia biegała z prowiantem od talerzy do otwartych paszczy i nie spuszczała czujnego oka z dzielnych wojowników. Gdy na kilka chwil pochłonął ją film w telewizji, dzieci zrzuciły dwa obrazki i wiszącą obok nich małą lampkę.

Film po *Wiadomościach* miał być sensacyjny i pełen zadziwiających zwrotów akcji, ale dziadkom Tamickim, oglądającym go z doskoku, wydał się mało porywający. Zwłaszcza że po ich własnym domu sensacja goniła sensację.

Po filmie Jędruś ziewnął. Mateusz też. Jędruś podchwycił. I podczas gdy leciały reklamy, chłopcy ziewali, jakby im kto za to płacił. Babcia ośmieliła się zasugerować, że może wnuczkowie kochani pójdą wreszcie spać...

Impreza w domu państwa Tamickich rozwijała się w sposób typowy. Rozmowy, rozmowy i jeszcze raz rozmowy. Głównie w kuchni. Pokój do tańców co prawda przygotowano, zwinięto dywan, przyniesiono radiomagnetofon, panie były chętne, ale panowie jak zwykle woleli żarty i rozmówki przy piwie, bigosie, wódce i kanapkach. Nic nowego. Może tylko gości było nieco mniej niż zwykle w takich sytuacjach, bowiem łącznie z gospodarzami balowało zaledwie siedmioro sylwestrowiczów. Nikomu to nie przeszkadzało; przynajmniej dla każdego wystarczy barszczu i szampana. Co ważniejsze, każdy mógł się dorwać do głosu, bez konieczności przekrzykiwania gwaru kulturalnej, towarzyskiej dyskusji.

Na pomysł pójścia spać wnuczkowie zareagowali standardowo, donośnym: „nieeee!”. Natomiast dziadek był za, a nawet bardzo. Biodro go już tak bolało, że usiedzieć nie mógł. Jędrek, ni z tego ni z owego, zaczął się rozbierać. W Mateuszu natychmiast obudził się duch rywalizacji. Widząc, jak bardzo Jędrek wyprzedza go w wyścigu do wanny, rozdarł się i zaczął szarpać ubranko. Babcia przybyła z odsieczą i wysupłała Mateuszka z jarzma spodenek, skarpetek, bluzy i pieluchy.

Na jedynce leciał jakiś program rozrywkowy. Babcia, broniąc przed zalaniem łazienkę i własną krągłą osobę, pucowała lepkie od kompotu paluszki i usmarowane czekoladą buzie. Tak więc rozrywkę miała zapewnioną.

Już w piżamkach i łóżkach mali bracia Tamiccy wyglądali jak aniołki. Przez pięć minut. Przystojny pan nie skończył śpiewać swojej pięknej noworocznej piosenki, gdy Jędrkowi zachciało się pić. Potem zażądał bajki. I drugiej.

Przy trzeciej powieki zaczęły mu opadać, babcia spróbowała wstać z podłogi... Wnuczek drgnął i kazał się drapać po plecach. Babci zdrętwiała noga, zmieniła pozycję. Wnusiowi zachciało się siusiu. I może kupkę? Niezawodna babcia Basia wydobyła z zakamarków łazienki metalowy, emaliowany na biało nocnik i postawiła dumnie przed Jędrusiem. Temu wydłużyła się mina. Przedtem robił siusiu na ubikację, bo mama zapomniała spakować im nocnika, ale z kupą gorsza sprawa, a z takim dziwnym nocnikiem to już w ogóle – beznadziejna!

– Nie ma innego? Ten jest za mały i za zimny – marudził czterolatek.

– Nie ma, Jędrulku – zmartwiła się babcia. – Ten nie jest taki zły, chociaż spróbuj.

Spróbował. Z siusiu jakoś poszło, ale...

– Kupa nie chce do takiego nocnika. Woli niebieski, z pieskiem.

Pani Barbara poczuła się bezradna jak nigdy w życiu. Wtedy z pokoju męża dobiegło ją ciche wołanie. Zaniepokojona otworzyła drzwi. Przy łóżku paliła się lampka. Spojrzenie pana Edwarda wyrażało bezradność równą jej własnej. Ale nie tylko. Panią Barbarę lekko przeraziła szara, zmęczona twarz męża, wykrzywiona grymasem bólu. Mateusz z roześmianą buzią siedział na dziadku i podskakiwał.

– Basiu, długo tego nie wytrzymam... Proszę, zdejmij go ze mnie i zabierz, jak możesz, tak mnie kopyt boli...

– Chodź, Mateuszku. – Pani Barbara wzięła wnuczka na ręce i wyszła z pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi. – Dziadek jest zmęczony i troszkę chory, będziesz spał razem z Jędrkiem.

Jednak o ile Mateusz nie miał nic przeciwko temu, o tyle Jędrek absolutnie się nie zgodził.

– Nie będę z nim spał! Nie ma mowy! On łazi w nocy i ryczy! Sama sobie z nim śpij.

– Chyba nie będę miała innego wyjścia. – Babcia westchnęła i zaniosła Mateusza do swojego królestwa; za jej plecami spiker opowiadał z dużym zapałem, jakie to jeszcze atrakcje czekają drogich widzów.

Młodzi państwo Tamiccy stali na balkonie swojego mieszkanka. Gwiazd nie było widać, ale im to nie przeszkadzało. Przytulali się i coś tam sobie szeptali na ucho. Ich myśli zgrabnie omijały pewnego małego chłopczyka, któremu...

...na widok wielkiego łóżka i nieprzebranego morza babcinych rzeczy oczy zalśniły jak czarne brylanty. Niebezpieczny błysk nie umknął uwadze pani Barbary, ale co mogła poradzić? Z duszą na ramieniu zostawiła małą bombę zegarową w swoim pokoju, pośrodku dużego łóżka. Przymknęła drzwi.

Poprawiła Jędrkowi kołdrę, zsuwającą się na podłogę, wyłączyła fonię, przysiadła na krześle i zapatrzyła się w nieme migawki z życia politycznego mijającego roku.

Po dwudziestominutowym przeglądzie najważniejszych wydarzeń plus komentarze – bomba wybuchła. Po całym domu rozszedł się intensywny zapach eksplozji. Babcia Basia znalazła Mateuszka za łóżkiem na podłodze; przycupnięty nad przewróconą szklaną fiolką, patrzył zafascynowany, jak mocno pachnący płyn wycieka z buteleczki i wsiąka w dywan.

– Moje perfumy! – krzyknęła pani Barbara i rzuciła się ratować resztę kosztownego prezentu od męża. Ocalała ledwie jedna czwarta.

Cały pokój – zasłony, pościel, dywan, ubrania, książki, robótka ręczna, stojąca na półce patera z rybą w galarecie i tort czekoladowy – wszystko z wolna przesiąkało pięknym zapachem jaśminu z nutą ambry i drzewa sandałowego.

Do północy zostało pół godziny – pokazywał studyjny zegar i mówiły usta spikerki z wyłączonym głosem. W okolicznych akademikach studenci zaczęli już witać Nowy Rok. Raz po raz wybuchały petardy, leciały w niebo sztuczne ognie i głośne życzenia. Chłopcy oprzytomnieli całkowicie. Babcia zwróciła ładnej prezenterce głos. Jędrek z Mateuszem przysiedli na podłodze przy drzwiach balkonowych. Radosnym okrzykiem witali każdy nowy wybuch, rozświetlający noc snopem kolorowych iskier.

Pani Barbara wolno, razem ze wskazówkami telewizyjnego zegara, odliczała czas do dwunastej.

O północy, gdy na Orła Białego, w mieszkaniach, na balkonach, w przyblokowych ogródkach i na oszronionych placach zabaw, witano

Nowy Rok, Joanna Tamicka odruchowo spojrzała w kierunku pokoju chłopców. I już prawie powiedziała: „Nie tak głośno, dzieci śpią” – gdy mąż przyłapał ją na zakazanych myślach.

Kiedy wnuczkom znudziły się sztuczne ognie, doszli do wniosku, że już dawno nic nie jedli. Zgodzili się na kanapki z jajkiem na twardo, pomidora, ogórka i dwa banany; Jędrek zażyczył sobie jeszcze miętowej herbatki, zaś w imieniu Mateusza (który nie mówił za wiele, a jak już mówił, to potrzebował tłumacza) – nieśmiertelnej „bułki z szynką na pół” i jeszcze trochę kompotu, „nie musi być czereśniowy”.

Babcia narzuciła szlafrok i poszła do piwnicy po kompot z jabłek.

Gdy wróciła, chłopcy w najlepsze oglądali *Szopkę Noworoczną*. Zgodnie siedzieli pod kołdrą Jędrka, jakby zapomnieli, że są braćmi, chichotali, trącali się łokciami i małpowali występujące zwierzaki.

Szopka się skończyła i przypomnieli sobie, że są braćmi. Jędrek zwalił Mateusza na podłogę, ten w odwecie ugryzł go w łydkę. Darli się obydwaj przez całą „listę płac” *Noworocznego Polskiego ZOO* i zapowiedź kolejnego programu.

Dziadek nakrył głowę poduszką.

Wzniósłszy już wszystkie toasty, damskie towarzystwo twardo postanowiło, że pora na tańce. Niestety panom starczyło samozaparcia na marne pół godzinki pląsów. Później padli jak nieżywi w objęcia foteli i oznajmili, że w danym momencie łakną już jedynie piwa tudzież rozrywki intelektualnej.

– Może by tak w domino albo w karty...? – zaproponował Tamicki.

Pani Barbara przestała wnikać w zagmatwaną historię, która się wokół niej rozgrywała. Zobojętniała na bijatyki, wciąż nowe zachcianki, przeskakujące programy (Mateusz dorwał się do pilota), posiusianą kołdrę (Jędrek nie wytrzymał i ze śmiechu popuścił do łóżka), łzy jak groch, skoki głośności (teraz Jędruś zaznajamiał się z pilotem), jęki Mateusza domagającego się mamy...

Stare zabawki Maciusia i Przemka rozsypane na podłodze... Mateusz za każdym razem, gdy przebiega koło ubikacji, przydeptuje żółtego, gumowego kurczaka w cyklistówce, który piszczy rozpaczliwie...

Dogrywka meczu w przedpokoju... rzuty karne, bójka sędziego z kapitanem... Obraz kontrolny... Samotna myśl, że dzieci to jednak nie to samo co wnuki... Potem już tylko poziome pasy w asyście wysokiego tonu nadwyrężonego telewizora... Za oknem jakby zaczynało świtać... Cisza...?

Chłopcy usnęli tam, gdzie padli. Jeden z głową na skotłowanej pościeli, a kolanami na podłodze, drugi w poprzek brata. Jak zwykle, kiedy spali, wyglądali niczym aniołki. Pani Barbara bała się ich ruszyć. Okryła tylko wnuczków kocami i wyszła z pokoju.

Kto by pomyślał, że dorośli mogą bawić się jak dzieci... Gosia płacze ze śmiechu; Agata zwinięta w kłębek na łóżku nie może dobyć z siebie głosu; Aśka zupełnie ochrypła od niekontrolowanych wybuchów radości i triumfalnych okrzyków; Marcel klęczy na podłodze, nie ma siły ustać o własnych siłach.

W tym samym czasie Maciej pokazuje na migi tytuł filmu Kubricka według prozy Kinga: *Lśnienie*.

Marcel nie odgadł. A wyjaśnienie Maciusia, że próbował pokazać „lśnienie" jako „olśnienie" tylko bez „o", wywołało kolejną falę dzikiej wesołości.

Koło trzeciej Asia odpadła. W trakcie zabawy przestała kontrolować nie tylko swoje krzyki, ale także ilość i rodzaj spożywanych drinków. W jednej chwili siedziała na kanapie i chichotała, w drugiej – przewróciła się na bok. Zdjęcie utrwaliło ją w momencie, gdy śpi z głową za plecami Agaty, nogami nonszalancko założonymi jedna na drugą i opartymi o podłogę czubkami szpilek. W jaki sposób znalazła się potem w łóżku – w koszuli nocnej, wykąpana, ale w kolczykach i makijażu – nie miała pojęcia.

Rano obudziła się około siódmej i wypiła duszkiem dwie szklanki wody mineralnej. Dowlokła się z powrotem do łóżka. Legła jak nieżywa. Głowa jej pękała. Zapowiadał się solidny kac.

Chłopcy wstali o szóstej rano. Włączyli telewizor, zjedli śniadanie; o dziewiątej dziadek ulitował się nad babcią i zabrał wnuczków na spacer.

Resztę przedpołudnia pierwszego dnia stycznia chłopcy spędzili w parku i na huśtawkach.

Potem wrócili na obiadek i zaczęło się od nowa.

Joanna przebudziła się ponownie koło dziewiątej. Z trudem ruszała powiekami. Wtem poczuła smród papierosa. No jasne, Gosia, która u nich spała, musiała sobie zapalić. Jeszcze przed śniadaniem, nawet przed kawą!

Zielona na twarzy Joanna Tamicka pobiegała do ubikacji z jękiem:

– Gocha, ja cię zabiję!

Jakoś opanowała mdłości. Wzięła prysznic, a raczej usiadła w wannie i lała na siebie gorącą wodę, póki mąż jej nie obudził.

– Oj, Asiu, Asiu, z tobą jak z dzieckiem... Ciągle cię trzeba pilnować. – Wyciągnął żonę z wanny i zaniósł z powrotem do łóżka.

Okrywając ją kołdrą, mamrotał pod nosem:

– No i proszę, ululała się na perłowo. Wszystko przez to jej niezdecydowanie. Raz piwo, raz szampan...

– Ja...uż nie będę, na...awdę... – bełkotała niezdyscyplinowana niewiasta. – Tylko, Maciusiu, zrób coś z tym hotem – Dżinks spał w najlepsze w długich włosach swojej pani – żeby, wiesz, tak głośno nie... mru...czał...

– Mogę go udusić – zaoferował się natychmiast troskliwy małżonek.

Do dziadków po dzieci pojechali dopiero koło trzeciej, kiedy głowa Joanny choć częściowo wróciła do swoich normalnych rozmiarów.

Sodoma i Gomora, panująca w trzypokojowym mieszkaniu na Rocha, nie zdziwiła młodych rodziców. Nie zbulwersował ich widok Mateusza biegającego na wpół goło, bo zmoczył wszystkie pieluchy i pani Barbara bała się go ubrać, żeby nie zasikał również jedynych suchych spodni, jakie mu zostały; nie zaskoczyła ich wyniosła mina obrażonego nie wiedzieć o co Jędrka; nawet babcia odziana jedynie w stanik i majtki wyglądała w tym otoczeniu całkiem zwyczajnie.

Tylko ciężki aromat unoszący się wokół, wdzierający pod czaszkę, wzbudził w Joannie nieufność i wyraźną niechęć do dłuższego pozostawania w jego oparach.

– No i jak się bawiliście? – zapytał podstępnie pan Edward swoją pobladłą synową.

– Świetnie. A wy? – odwzajemniła się podstępem Joanna.

– Doskonale. Chłopcy byli naprawdę bardzo kochani. – Dziadek Edek uparcie trzymał się swojej wersji i co ciekawe chyba autentycznie w nią wierzył.

Dopiero po tygodniu, tajnym kanałem, poprzez starszego brata, Maciej usłyszał opinię swojej mamy, że „ojca do tej pory kopyt boli, a wy to jednak byliście nieco grzeczniejsi”.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY
czyli o roli śmieci w życiu człowieka.

Istnieje coś takiego jak czas między wiosną a latem. Analogicznie do czasu między zimą a wiosną. Tyle że charaktery obu „pomiędzy" są inne.

Przedwiośnie to okres małej, słodkiej drzemki tuż przed obudzeniem. Ziemia przeciąga się wtedy rozkosznie, ziewa zalotnie, wysuwa spod białej kołderki to stópkę, to rączkę, zawraca w głowie ciepłym zapachem rozespanego ciałka. O, chwile te, jakżeż urocze!

Z kolei owa dziwna pora między wiosną a latem to męczący duszę i ciało czas zawieszenie – pora nudy, snucia się i oczekiwania. No bo wiosna już przekwitła, a lato nie odemknęło jeszcze złocistych ócz. Cóż porabiać w ten czas nijakości, kiedy nie podniecają już zielone listki ani odsłonięte łydki licealistek; nie zachwycają motyle świeżo wyklute z kokonów ani młode kobiety wyzwolone z wełnianych czapek i płaszczy; nie czarują delikatne barwy łąki ani rumieńce pierwszych flirtów? Cóż porabiać, kiedy nie pora jeszcze na letnią labę, słodkie nieróbstwo i leniwy upał?

Nie wiadomo. Jedni więc, na przekór niewiadomemu lub po prostu z przyzwyczajenia, robią to co zwykle. Drudzy – nudzą się, snują i oczekują. Jeszcze inni szukają rozrywek. Wszelakich. Jako przyczynek do zabawy wystarczy drobiazg, na przykład śpiąca na śmietniku kobieta.

Śmietnik za blokiem numer dwa na osiedlu Orła Białego w Poznaniu nie należał do najwygodniejszych legowisk. W każdym razie nie powinien należeć. Kanciasty zielony pojemnik z pomarańczowymi włazami, otoczony małym placykiem – jedno i drugie utrzymane w należytej czystości – żaden luksus. Jednak w stanie zaniedbania miejsce to budziło niejakie nadzieje. Góry papierów izolowały od zimna; puszki, butelki i inny śmieć brzęczący ostrzegały przed intruzami; rozwleczone na płocie kolorowe włóczki udawały firanki; sterty szmat, gałganów i butów nie do pary tworzyły atmosferę domowego ciepełka. No i jeszcze kusiła czerwona

rozkładana kanapa z wyleżanym środkiem, która od kwietnia zalegała między tyłem kontenera a płotem. Dla osób mało wymagających więcej zachęt nie potrzeba.

W pierwszy poniedziałek czerwca, gdzieś koło godziny ósmej, lokal z kanapą przy śmietniku zajęła starsza, siwowłosa kobieta; na oko bezdomna, bezrobotna i niespecjalnie czysta, ale nieszkodliwa, nawet wtedy, gdy ziewała głośno i drapieżnie, ukazując przy okazji nad podziw piękne zęby.

Tuż po godzinie ósmej dwadzieścia osiem (8.28) na placyk przy śmietniku wparowali, mocno już spóźnieni do przedszkola, tatuś z synkiem. Maciej Tamicki targał ze sobą dwa worki, Jędruś Tamicki w pulchnej rączce dzierżył półmetrowy kijek, którym dźgał tatowe paki, ciekaw, jak szybko uda mu się zrobić dziurę i jak duża musi być ta dziura, żeby śmieci zaczęły wypadać. Wystarczyło pchnąć raz a dobrze i odrobinę pociągnąć w dół – czarna folia się naderwała i przez dziurę wyleciała puszka po śledziach, a tuż za nią obierki ziemniaczane.

– Jędrek! No, co ty robisz, do diabła?! – Młody mężczyzna ustawił worki przy kontenerze i wyrwał z ręki syna narzędzie przestępstwa. Miał ochotę połamać je na tyłku pierworodnego. Z obrzydzeniem wziął w dwa palce puszkę ubabraną rybim olejem i położył ją na górze śmieci wyłażących z pierwszego, otwartego włazu. Na to, by zbierać obierki nie miał już czasu ni nastroju – wkopał je tylko pod śmietnik. Pozostawała jednak nagląca kwestia reszty domowych odpadków. Hm... Zielony pojemnik był przepełniony. Przez moment myśl, aby oba worki beztrosko porzucić pod płotem, postała w głowie spieszącego się rodzica. Ale syn patrzył, cholera, i należało mu dawać dobry przykład. Tamicki podszedł do drugiego włazu; niestety stąd również śmieci sypały się jak z rogu obfitości. Otworzył trzeci i tu wreszcie udało mu się znaleźć odrobinę miejsca, gdzieś w głębi woniejących czeluści.

– O, teraz się przyda twój patyk – mruknął mściwie. – Wrzucił jeden worek, dopchnął go drugim, a całość zaczął utykać w pomarańczowej paszczy włazu patykiem syna.

– Mój kijek! – zawył chłopiec.

– Twój kijek się wykijkował – oznajmił ojciec, gdy patyk się złamał. Zresztą i tak nie oddałby synowi badyla, którym grzebał w śmietniku. Poza

tym, znając Jędrka już od czterech lat z okładem, nie miał wątpliwości, że pomysłowy dzieciak ponownie użyłby go w celach bandyckich.

Tatuś złapał synka za rękę i ryczącego jak zarzynane cielę powlókł do przedszkola. Obaj nie zauważyli kobiety śpiącej na czerwonej kanapie za śmietnikiem.

Była godzina ósma trzydzieści pięć (8.35). Robiło się coraz cieplej.

O godzinie ósmej czterdzieści pięć (8.45) przy śmietniku pojawił się Alojzy Wróbel, mąż Marianny Wróbel z czwartego piętra. Na głowie miał beret (jako że zawsze nosił beret, bez względu na pogodę, uważając, że deszcz czy słońce, pamiątkowy beret po stryjku marynarzu chroni go najlepiej), z ramienia zwisała mu skórzana torba typu listonoszka, a pod pachą trzymał pakunek, owinięty w szary papier i przewiązany szpagatem. Sporych rozmiarów paczka wyglądała niczym prezent – brakowało tylko kokardy i karteczki z życzeniami. Ktoś nieznający bliżej pani Wróblowej zdziwiłby się pewnie, że w tym arcydziele znajdują się tylko śmieci. Tylko? Nie dla Marianny Wróbel, która jako poznanianka z dziada pradziada była osobą pedantyczną i porządną aż do przesady. Nie mogłaby spokojnie zasnąć, mając świadomość, że ktoś ogląda jej śmieci przeświturające niechlujnie przez foliowy worek i jeszcze – nie daj Boże! – osądza ją na podstawie tego, co zobaczył. Dlatego pan Alojzy, zanim wyszedł do pracy, objuczony został przez małżonkę estetyczną, foremną paką.

Tak pięknego pakunku nie godziło się zwalić byle gdzie. Skoro więc w pojemniku nie było już miejsca, pan Wróbel rozejrzał się w poszukiwaniu skrawka przyzwoitej powierzchni, by złożyć tam śmieci swojej żony. Z tyłu dostrzegł samotne krzesło w zadowalającym stanie i na wytartym obiciu położył paczkę. Przesunął ją odrobinę, odszedł dwa kroczki, wrócił, poprawił jeszcze raz i z ukontentowaniem kiwnął głową. Na odchodnym po raz ostatni objął wzrokiem miły sercu obrazek i wtedy kątem oka dostrzegł róg czerwonej kanapy, wystający zza kontenera. W samej kanapie nie było nic szczególnego. Kanapa jak kanapa. Stara, pewnie z wyleżanym środkiem. Ale na niej, jeden na drugim, leżały dwa wysłużone adidasy, każdy innego koloru... i podrygiwały. Jakby koliście. Zaintrygowany Alojzy Wróbel zapomniał o paczce, krześle, nawet o żonie i podszedł bliżej. Z butów wystawały płócienne spodnie koloru szarożółtego, kończyły się czerwonym paskiem, za który wsunięta została

fioletowa koszulka bawełniana, opinająca się nieco na biuście. Dalej była już tylko siwa czupryna, bujna i mocno skręcona, spod której wystawał zaczerwieniony czubek długiego nosa i chude łokcie, jako że kobieta spała z rękami pod głową.

Alojzy, dziwnie spłoszony, a zarazem zaciekawiony, przez kilka chwil przyglądał się śpiącej. Była chyba w jego wieku. Szczupła, o wiele szczuplejsza niż Marysia, może nawet niebrzydka, ale brudna... taka brudna! Alojzy pomyślał, jak bardzo musi być nieszczęśliwa z tego powodu.

A może nie...? Może brud wcale jej nie przeszkadza? Może w jej świecie są ważniejsze sprawy niż czyste ubranie, kąpiel co wieczór, wypastowana podłoga i firanki w oknach?

W tym momencie kolorowe adidasy podskoczyły gwałtownie i wykonały półobrót – ich właścicielka, w asyście cichych posapywań i chrapnięć, przekręciła się na drugi bok. Świsnęła przez nos, podciągnęła kolana bliżej brody, a potem znieruchomiała. Alojzy poczuł się nieswojo, jak intruz. Jakby nieproszony, bez pukania, wszedł komuś do mieszkania. Poczuł się też winny, że w higienicznych śmieciach Marysi nie ma nic, absolutnie nic, co mogłoby się przydać tej śpiącej kobiecie. Marianna Wróbel była nie tylko porządna, ale także oszczędna, jak przystało na poznaniankę z tradycjami, dlatego nie wyrzucała niczego, co mogłoby się jeszcze przydać. Wówczas Alojzego ogarnęła złość, a nawet wstyd, że być może kobieta znajdzie tę przeklętą paczkę i będzie się łudzić, że coś tam jest... a tam nic, kompletnie nic!

Mężczyzna podskoczył do paki, rozerwał sznurek i rozgrzebał papier. Teraz jak na dłoni było widać, że nie ma tu nic ciekawego. Zadowolony Alojzy Wróbel odwrócił się, rzucił przez ramię spojrzenie w kierunku czerwonej kanapy, skłonił się lekko, przytykając czubki palców do skórzanego otoku beretu i odszedł, uśmiechając się od ucha do ucha.

Kiedy Alojzy Wróbel odjeżdżał do pracy błękitnym fiatem 125, była ósma pięćdziesiąt siedem (8.57), a na dworze dwadzieścia pięć stopni (25°C) w cieniu.

Dziewiąta siedemnaście (9.17). Powietrze suche i męczące. Kolejny dzień upału. Słońce nie ma litości; postanowiło, że lato zacznie się w tym roku w maju i słowa dotrzymało. Tyle co zeszłoroczny śnieg obchodzi je, że

ludzie muszą w taki gorąc chodzić do pracy, że asfalt przykleja im się do butów i mdleją w tramwajach; że dzieciarnia przysypia w szkołach, młodzież ma matury i egzaminy wstępne, że nic się nie chce, choć chcieć się musi... Tym mniej więcej torem biegły myśli Kasi Malińskiej, która z pomarańczowym kubełkiem w ręce, a futrzanym chodniczkiem i metalową trzepaczką pod pachą, dowlokła się do śmietnika za blokiem numer dwa. Zielony kontener sąsiadował przez płot z brązowym trzepakiem.

Katarzyna – dziewiętnastoletnia córka Jana i Zenobii Malińskich – niedawno przebrnęła szczęśliwie przez maturę (niecały tydzień temu zdała ostatni ustny, z angielskiego), a teraz przygotowywała się do egzaminów wstępnych na historię. Szło jej opornie. Przez ten upał – i nie tylko – jakaś taka niemoc bizantyjska ogarnęła wolę, duszę i ciało dziewczęcia. Wystarczyło pomachać Kasi przed nosem podręcznikiem, a momentalnie zasypiała. No jak się można uczyć w takich warunkach? No nie można, ale kurde trzeba.

– Życie uwzięło się na mnie – mamrotała, przerzucając dywanik przez grubą rurę trzepaka. – Słońce uwzięło się na mnie. – Walnęła trzy... cztery... pięć razy z ospałą złością w środek futrzaka. – Świat mnie dręczy, a rodzice podle wykorzystują! – fuknęła, przerzuciła chodniczek na drugą stronę i wykonała trzy energiczniejsze trzepnięcia. – Wiedzą, że muszę się uczyć, sami wciąż mi przypominają, jak mało czasu zostało, a potem co? – Trzepaczka opadła w ręce dziewczyny, która oparła się ciężko o pionową brązową rurę. – A potem wysyłają mnie ze śmieciami i jeszcze każą trzepać ten okropny drobnomieszczański futrzak. – Kasia była ostatnio zwolenniczką gołych parkietów, indiańskich kilimów i ratanowych mebli.

Ogólnie zniechęcona maturzystka zwinęła wyliniały dywanik, złapała wiaderko i ruszyła do domu. W połowie drogi do drzwi wejściowych zaklęła i zawróciła. Pomarańczowy kubełek wciąż był pełen.

Mrucząc pod nosem inwektywy pod adresem swoim, świata, nauki i starszej siostry, która wybyła z domu na wcześniejsze wakacje, Kasia czym prędzej pozbyła się śmieci. Zajęta wyłącznie swoją dręczoną i podle wykorzystywaną osobą nie zauważyłaby nawet słonia na płocie, a co dopiero chudej kobiety pochrapującej dyskretnie na czerwonej kanapie za śmietnikiem.

Była dziewiąta trzydzieści dwie (9.32). Osiedle Orła Białego usychało z pragnienia, tonąc we własnym pocie. Siwowłosej śniło się morze.

Siedmioletni Damian i pięcioletnia Magda o godzinie dziewiątej czterdzieści (9.40) przyczłapali do śmietnika, dźwigając wspólnymi siłami jedno małe wiaderko. Donieśli kubełek na placyk i ciężko dysząc, zastanawiali się, co dalej.

– Nie dosięgniemy – oceniła sytuację Magda.

– Ja dosięgnę – oświadczył natychmiast Damian.

– Ty to głupi jesteś – zareplikowała jego siostra.

– A chcesz w dziób? – Na takie dictum dziewczynka zamilkła. Bystro rozejrzała się dokoła.

– Weźmy tamto krzesło – zaproponowała.

– Głupia jesteś – odpowiedział na wszelki wypadek jej brat. – Dobra, weźmy – zgodził się zaraz potem.

Wzięli.

Paczka Alojzego Wróbla wylądowała na płytach chodnikowych. O zgrozo, śmieci pani Wróblowej ukazały w pełni swe wstydliwe oblicze.

– Kurde, nie ma miejsca – zawyrokował Damian z wysokości swojego chudego metra dwadzieścia trzy plus krzesło.

– Jak nie ma, jak nie ma? – Magda podskakiwała niecierpliwie, próbując dostać się na krzesło.

– No nie ma, durna, mówię ci chyba.

– I co teraz? – zasępiła się dziewczynka.

– Wywalimy pod płotem – zdecydował chłopiec, zeskakując z krzesła.

– Ale mama mówiła... – zaoponowała dziewczynka.

– Ale tata mówił, że jak chamy nie sprzątają, to się nie będzie szczypał.

– Jakie chamy? – zainteresowała się Magda.

– No, różne... Dalej, chodź! – Trącił siostrę w bok. – Wywalimy kubeł za śmietnikiem.

– No... – wahała się Magda – dobraaa...

Jednak za śmietnikiem niczego nie wywalili, gdyż za śmietnikiem ktoś leżał. Z wrażenia aż upuścili wiadro, a śmieci wysypały się prosto na chodnik. Rodzeństwo spojrzało po sobie i zdało się na instynkt. Damian złapał wiadro, Magda złapała się Damiana i uciekli. Dochodziła dziewiąta pięćdziesiąt (9.50).

Umykające w popłochu dzieci minęły się przy płocie z Konstantym Szpakiem – osobnikiem wolnym i niezależnym, żyjącym ze sprzedaży pustych butelek po napojach wyskokowych, które wcześniej był spożył.

Przekroczywszy krawężnik, Konstanty – odziany w siatkowy podkoszulek, bermudy w papugi i sandały jezuski – natychmiast zabrał się do metodycznego przetrząsania zgromadzonych na placyku rzeczy. Szukał, rzecz jasna, szkła natury zwrotnej, ale niczego nie znalazł. Oprócz wciśniętej między płot a bok czerwonej kanapy siatki pełnej drogocennych butelek. Szpak ucieszyłby się bardziej na widok tych butelek jedynie wtedy, gdyby były pełne. Złapał za ucho parcianej siatki i pociągnął.

Kobieta odruchowo uczepiła się drugiego ucha i burknęła przez sen:

– Odczep się, koleś, to moje.

– O! Pardonsik! – odparł kurtuazyjnie Konstanty. – Nie wiedziałem, że te buteleczki mają tak uroczą właścicielkę. – Przysiadł półdupkiem na kanapie i wyraźnie szykował się do konwersacji.

– Spadaj, koleś! – warknęła półgębkiem leżąca. – Śpię!

– O! Pardonsik! Nie wiedziałem, że dama jest zmęczona. Całuję rączki i znikam.

I faktycznie zniknął. Prawie bezszelestnie, jeżeli nie liczyć dosadnego: „merde, psia go mać, gówniane ścierwo!”, które wypsnęło mu się w chwili słabości, kiedy przywalił małym palcem u nogi w stary akumulator.

Podczas gdy Konstanty Szpak klął na czym świat stoi, pomimo bólu zachowując jednak pewną klasę, dochodziła dziewiąta pięćdziesiąt osiem (9.58).

O dziesiątej pięć (10.05) przy śmietniku ponownie pojawili się Damian i Magda. Bez góry śmieci, za to z całym bezmiarem ciekawości, która napędza dzieci od chwili narodzin. Ponieważ teraz wiedzieli już, czego się spodziewać, osoba śpiąca za kontenerem nie wzbudziła w nich strachu, a jedynie podbarwione respektem zaintrygowanie.

– Kto to jest? Co tu robi? Czy... żyje?! – szeptało między sobą rodzeństwo Płoszów.

– Ty, on chyba śpi – zawyrokował w końcu Damian, gdy usłyszał dobiegające z czerwonej kanapy ciche chrapanie.

– Ale ty głupek jesteś, wiesz? – wycedziła z przygniatającą pogardą drobniutka Magda. Ton ten trenowała już od jakiegoś czasu, gdy tylko odkryła, że słowem można niszczyć równie skutecznie co pięścią. Niestety Damian – choć rachityczny – nie wyglądał na specjalnie zmiażdżonego.

– To ty jesteś głupkowata! Nie słyszysz, jak chrapie?

– Słyszę, słyszę, ale ja nie o tym. To jest kobieta, ona, nie on.

– Ciekawe skąd wiesz, mądralo? – Chłopiec, wciąż nieprzekonany, nie wiedzieć czemu się zarumienił.

Magda chciała odpowiedzieć, że po prostu wie i już, bo przecież sama też jest kobietą; ale z obawy, że Damian nie doceniłby należycie takiego argumentu, rzuciła jedynie:

– Bo ma piersi, o... tam! – Wskazała ręką. Zupełnie niepotrzebnie. Ostatecznie siedmioletni Damian mniej więcej wiedział, gdzie kobieta ma piersi.

– No, dobra, to baba – zgodził się chłopiec wobec oczywistych dowodów. – Ale dlaczego śpi tutaj?

– Hm... – zasępiła się jego siostra.

Na to pytanie nie umiało odpowiedzieć żadne z nich.

Podczas gdy tak stali i dumali, minęła dziesiąta szesnaście (10.16).

Dumanie przy śmietniku w wykonaniu rodzeństwa Płoszów wkrótce zostało dostrzeżone. Do Magdy i Damiana przyżeglowała wolno trójka starszych chłopców, którzy szli do szkoły dopiero na popołudnie, wskutek czego nudzili się jak mopsy.

– Te, na co się tak gapicie? – zapytał jeden z nich, najwyższy, z deskorolką przerzuconą przez ramię.

Chuderlawy Damian, który z zasady unikał starszych od siebie chłopców (zwłaszcza tych silnych i rumianych), milczał nieprzychylnie. Za to Magda błysnęła elokwencją.

– Tam, za śmietnikiem, śpi jakaś kobieta. Myśleliśmy, że nie żyje albo coś, ale chrapie, więc żyje, śpi sobie. Czemu tutaj, nie wiemy.

– To ta, no... – nie mógł sobie przypomnieć drugi z chłopców, rudzielec z rowerem – ...ta, wiecie, śmieciara!

– Jaka śmieciara? – nie zrozumiało rodzeństwo.

– No taka, co grzebie w śmieciach, zbiera butelki, szmaty, makulaturę i różne takie, i z tego żyje – wyjaśnił trzeci dziesięciolatek (zdaniem Magdy

najprzystojniejszy).

– No i co z tego, że śmieciara? – Dziewczynka dalej nie pojmowała. – Czemu śpi tutaj, a nie w domu? Mama nawet bawić się nam nie pozwala na śmietniku, bo mówi, że brudno i jeszcze coś złapiemy, a ona tu śpi. Czemu nie idzie do domu?

– No co ty, mała? Życia nie znasz czy jak? – Starsi chłopcy spojrzeli na dziewczynkę z politowaniem. – Ona nie ma domu, śpi pod mostem albo gdzieś.

– Albo na śmietniku – dopowiedziała Magda. – Biedna...

Jej współczucie trwało dokładnie pięć sekund i minęło, gdy na jej elektronicznym zegarku w kształcie Myszki Miki błysnęły cyferki 10.25.

– **E**j, banda, co robicie? – Do grupki dzieci obradujących przy śmietniku dołączył nowy chłopiec. Miał na imię Albert, kwadratową, nieproporcjonalnie dużą głowę, ciemnoblond włosy, niewielki wytrzeszcz i wywołał wśród obecnych mieszane uczucia.

– Tam, Albercik, tam śpi jakaś pani, za śmietnikiem, tam! – pospieszyła z odpowiedzią Magda, podskakując w podnieceniu i wskazując obiema rękami na czerwoną kanapę. Lubiła Alberta. Zresztą Magda lubiła prawie wszystkich.

Chłopcy – teraz już cała czwórka – milczeli nieprzychylnie. Nie lubili Alberta. Zresztą mało kto go lubił.

Nowo przybyły miał osiem lat i niewątpliwie był chłopcem silnym i rumianym. Poza tym miał wredny charakter, bezczelną gębę i tatę strażaka. To ostatnie budziło wśród znajomych dzieci z podwórka zrozumiałą zazdrość i niejaki podziw, jednak pozostałe cechy zrażały do smarkacza skuteczniej niż choroba zakaźna.

– Śpi, mówicie, śpi... – Albertowi podejrzanie zaświeciły się oczka. – Ta śmieciara śpi tu sobie. To trzeba ją obudzić! – huknął znienacka, aż wszyscy pozostali podskoczyli z wrażenia.

– Co ty...? – Nawet Magda wyglądała na mocno zbulwersowaną.

– Bo co? – Albert zjeżył się. – Stoicie tu jak stare baby, a ona sobie śpi. A czego śpi? Czy ktoś ją prosił? Czy ktoś jej pozwolił? Zawołam mojego tatę i zobaczycie. On jej pokaże.

Powołanie się na autorytet taty strażaka jak zwykle podziałało niezawodnie. Reszta dzieci nie protestowała już, gdy Albert wyciągnął

z kieszeni małe niedojrzałe jabłko i rzucił nim w kierunku śmietnika. Twarda zielonka uderzyła o metal z głuchym stukiem, odbiła się i spadła na płyty, o dobry metr omijając nogę poświstującej przez nos kobiety.

– Macie! – Albert wcisnął w dłonie Magdy i Damiana po dwa jabłka. Miał ich pełne kieszenie; wyprawa do zapuszczonego sadu po drugiej stronie ulicy okazała się wielce owocna.

Rodzeństwo wzięło. Odruchowo.

– Wy też. – Trójka starszych chłopców również została hojnie obdarowana. – Bierzcie i rzucajcie – zachęcał Albert, który sam ciskał coraz sprawniej i celniej. – No, nie stójcie jak stare baby!

Wzięli. Nie wiedzieli, jak odmówić, żeby nie wyjść przy okazji na stare baby. O co przy Albercie wcale nie było trudno. Chyba na tym głównie polegał problem tego dzieciaka. Przy nim inne dzieci robiły się tak samo paskudne jak on.

Najpierw pojedynczo, nieśmiało, potem coraz odważniej, gęściej i celniej leciały zielone jabłka w kierunku kontenera.

Grad zielonek zaczął padać za dwadzieścia dwie jedenasta (10.38). W takt jego nierytmicznego staccato kobieta śniła o dzikich koniach i rozległych preriach.

Joannie Tamickiej, która przyprowadziła na huśtawki swojego młodszego syna, nasilający się hałas przy śmietniku przeszkadzał w czytaniu. Po kilku groźnych, acz nieskutecznych spojrzeniach postanowiła zadziałać bardziej konkretnie. Wstała z ławki, podeszła trzy kroki, otworzyła usta...

– Hej, chłopcy, hm... – odchrząknęła. Jej głos w porannym, suchym powietrzu o godzinie dziesiątej czterdzieści (10.40) płynął cokolwiek niemrawo. Joanna odchrząknęła jeszcze raz, nabrała powietrza, wytężyła siły, ponownie otworzyła usta... O tak, teraz donośny alt nabrał właściwej sobie mocy, bez trudu doleciał, gdzie trzeba, i rozpędził koleżeństwo.

Joanna Tamicka wiedziała, że ktoś śpi za śmietnikiem, ale uznała, że mała drzemka na starej kanapie to żadna zbrodnia. Natomiast obrzucanie metalowego kontenera i śpiącego gościa gradem niedojrzałych jabłek wydało jej się reakcją nazbyt gwałtowną, żeby nie powiedzieć histeryczną, a przede wszystkim – zbyt głośną.

Gdy młoda kobieta ponownie siadała na niebieskiej ławce, niespiesznie mijała godzina dziesiąta czterdzieści cztery (10.44).

Mała, niespełna trzyletnia Mila natknęła się w piaskownicy na jeszcze mniejszego, zaledwie dwuletniego Mateusza. Ponieważ ani jedno, ani drugie nie znało się jeszcze na zegarku, a upływ czasu był dla nich zupełną abstrakcją, spotkanie tych dwojga nie zostało zaznaczone w notatniku przeznaczenia pod jakąś konkretną godziną, a nawet datą. Po prostu stało się i już.

Mila podeszła do chłopczyka zakopującego w piasku czerwony samochodzik. Obserwowała go już od paru chwil. Podobał jej się. Ładny był. Miał ciemne włoski i duże czarne oczy. Piękne miał te ślepka, jak koraliki; Mila aż cmoknęła z zachwytu. „On jest mój” – pomyślała i w jednej chwili zdecydowała się powierzyć mu swoją wielką tajemnicę.

– Chodź – szepnęła i wyciągnęła rączkę. – Chodź, chłopcyku ładny, chodź ze mną.

Mateusz, niewiele się zastanawiając, złapał nieco przybrudzoną łapkę i podreptał za swoją przewodniczką.

– Milusiu, dziecko, gdzie idziesz? – zainteresowała się pani Kochańska, mama Mili, na moment przerywając sobie pogawędkę z sąsiadką. – Dokąd prowadzisz chłopczyka?

– A tam, mamusiu – odpowiedziała bardzo grzecznie dziewczynka, wskazując palcem mniej więcej na krzaki oddzielające plac zabaw od asfaltowego trotuaru. – Tam sobie idziemy popatseć.

– Na co, córuś? – drążyła temat mama Milusi, bardziej z obowiązku niż przekonania. Zaledwie jednym uchem słuchała odpowiedzi, drugie nastawiając na ploteczki znajomej.

– Na ciało, mamuś – równie grzecznie jak poprzednio odpowiedziała Mila. – Tam lezy, nie lusa się.

– Dobrze Miluniu, dobrze, tylko grzecznie, niczego nie dotykaj, kochanie... Co pani powie, tak jej powiedział...? Co za... Nie rusza się, Miluś, pewnie zdechło, więc rączkami nie dotykaj, bo to be... Że też na takich kary nie ma, no niech pani powie, takich to się powinno...

– Dobze – dziewczynka bez problemu zgodziła się na skomplikowane żądania matki.

– A telaz chodź, chłopcyku ładny.

Para maluchów znowu złapała się za ręce i pomaszerowała w stronę krzaków. Minęli je. Przecięli trotuar. Przebiegli szybko osiedlową

asfaltówkę. Wreszcie dotarli do płyt chodnikowych przy śmietniku.

– Tam, chodź... – Mila pociągnęła za sobą nieco opornego Mateusza. – Tu, widzis, moja tajemnica lezy, widzis, chłopcyku ty mój... – Dziewczynka w przypływie czułości pogłaskała Mateusza po buzi. Ten przyjął pieszczotę po męsku.

Dzieci zniknęły za kontenerem.

Joanna odłożyła książkę i przekręciła się na ławce, kładąc łokcie na oparciu.

– Widzis, widzis, piękna tajemnica – szczebiotała Mila – tylko moja, a telaz nasa, chłopcyku ładny. A jak ty mas na imię? Powiedz mi plędziutko. – Mateusz spojrzał bezradnie na pochylającą się ku niemu pyzatą buzię. Miła była ta buzia. Rumiana, z niebieskimi oczkami i jasnymi kitkami. Ale za szybko mówiła, połowy nie rozumiał. Poza tym pytała go o coś, a on jeszcze nie umiał mówić. No i trochę się wstydził. Dziewczynka wciąż go głaskała, przytulała, jak mamusia... A gdy chciała go pocałować, Mateusz odrobinkę zesztywniał.

– No, nie stydź się, chłopcyku ślicny. – Cmok w policzek. – Ja jestem Milusia, a ty? Moze Edzio? – Cmok w ryjek. – Nie... Edzio nie pasuje do takiego ładnego chłopcyka. Taki ślicny jak księcio – zachwycała się. – Moze Kamil? Tak, tak, Kamil! – Zaklaskała z radości. – Kamilek pasuje do księciunia. – Mili bardzo podobało się to imię i nie każdy jej zdaniem był godzien je nosić. Ale Mateusz nie docenił takiego komplementu.

– Nie, nie, nie! – zbuntował się nieoczekiwanie. – Ła Matetu – oświadczył zdecydowanie.

– Co? – nie zrozumiała Mila. – Co mówiłeś, Kamilku?

– Nie! – wrzasnął ładny chłopczyk. – Nie, nie!

– Oj, bzydki chłopcyk... – Mila pochyliła się ku Mateuszowi i pogroziła mu palcem; jej mina wyrażała zawód i niezadowolenie. – Bzydki, a ja ci pokazałam moją tajemnicę, bzydki Kamilek...

– Nie, nie, ła nie ce! Pupia, pupia ty! – Pozornie łagodny chłopiec wpadł w typową dla siebie wściekłość.

Krzyki Mateusza nieznacznie zakłóciły sen „tajemnicy”, która odemknęła jedno wodnistoniebieskie oko i mruknęła groźnie:

– Zjem was, zjem was co do okruszyny. – Śniła o pączkach i maślanych bułeczkach, ale dzieci nie miały o tym pojęcia.

– Aaa, maaamaaa! – wrzasnęły zgodnie, po czym z płaczem rzuciły się do ucieczki.

Wśród łkań i posmarkiwań tłumaczyły potem, „że tam, tam... tajemnica dzieci zjada!”. Joanna Tamicka na pocieszenie dała synkowi lizaka. Pani Kochańska zaś, wciąż pochłonięta rozmową z sąsiadką – tym razem o przepisach kulinarnych – wytarła Mili nos i skwitowała: „no i dobrze, jak kto lubi, można też z koperkiem”.

W pustynnych okolicach godziny jedenastej na huśtawkach i w piaskownicach zrobiło się luźniej i spokojniej. Na trójkątnym placyku boju pozostały jedynie niedobitki wymęczonych mam oraz garstka walecznych szkrabów, którym nie straszne były skwar, pot ni zadyszka.

Za śmietnikiem, w poprzek czerwonej kanapy, na brzuchu, twardo i wytrwale spała zmęczona kobieta. Z zamkniętymi oczami podziwiała zieloną, wilgotną dżunglę tonącą w płynnym złocie zachodzącego słońca...

Franciszek Wons spacerował sobie przed sklepem PHS-u, czyhając na kompana wartego pogawędki. Jak na złość jednak dzisiaj panowała totalna posucha – nie tylko w kwestii pogody.

Pan Franciszek należał do ludzi z gatunku chochlików. Dziwnie jakoś świat wokół niego mrużył przekornie oczy i nabierał ochoty na psikusy. Franciszek Wons bywał namolny, nieznośny, nawet upierdliwy, ale ogólnie dawał się lubić. Jego wady wynikały z faktu, że zbyt łatwo się nudził. Nudził okropnie, a już zwłaszcza o tej dziwacznej porze roku bez imienia. Żona odumarła go przed kilku laty, dzieci rozjechały się po świecie, za swoją rodziną nie przepadał, z sąsiadami niby żył dobrze, ale zdarzało się, że unikali go jak zarazy.

Staruszek rozglądał się bystro wokół siebie, ale nic – żadnego sąsiada, znajomego, żadnej młodzieży wymagającej upomnienia, żadnego nieznajomego godnego zaczepienia – no nic! Prawdziwa pustynia konwersacyjna. Pan Franciszek pokręcił się trochę w kółko, wreszcie wzruszył ramionami i powlókł się do domu. Po drodze zahaczył o pocztę. Może emerytura już przyszła?

Nie przyszła.

Powód do awantury jak się patrzy!

O wpół do dwunastej (11.30) afera pocztowa osiągnęła swoje apogeum, rozciągając się na kierowniczkę, trzy kasjerki i dwóch listonoszy.

Za dwadzieścia dwunasta (11.40) ożywiony kłótnią Wesoły Staruszek pomaszerował do domu.

Przechodząc koło śmietnika (a przechodził blisko, bo lubił patrzeć, co ludzie wyrzucają na śmieci), zauważył najpierw góry odpadków oblegających kontener niczym horda dzikich najeźdźców; ponarzekał na ludziska, że brudasy, na Zakład Oczyszczania Miasta, że lenie. Potem ciekawskie oko przyciągnęła czerwona kanapa. Początkowo leżąca na niej kupa szmat nie zainteresowała specjalnie pana Franciszka. Dopiero strzecha siwych włosów obudziła czujność Wesołego Staruszka. „Peruka? – zdziwił się. – Po co komu siwa peruka? A jak już ją ma, to czemu wywala do śmieci? Wygląda na dobrą". Obszedł płot dookoła. Wyminął zręcznie worki, siatki, stare krzesło i stanął zdumiony.

– To włosy... prawdziwe, Boże przenajświętszy! Ktoś tu leży. Zabity! Zamor...! – Okrzyk zgrozy zamarł mu w gardle.

Franciszek Wons cofnął się o krok. Chciał krzyczeć, wołać pomocy, ale zawahał się, zastanowił... Kiedy nikt nie patrzył, na własny użytek, Wesoły Staruszek potrafił zachowywać się wcale rozsądnie. Zanim więc wezwał policję, pogotowie i straż pożarną, postanowił upewnić się co do faktycznego stanu człowieka na kanapie.

– E, ty! Co ty tu tak...? – Stuknął butem w nogę tapczanu. Żadnej reakcji. – Ty, żyjesz ty?! – Pan Franciszek się zdenerwował. – Rusz się, mówię ci, bo policję zawołam! Ej... kobieto! – Zauważył niezbity dowód kobiecości ukryty pod wyblakłym fioletem koszulki.

– I po co zaraz policją straszyć – mruknęła niewiasta, przekręcając się odrobinę, by móc obrzucić intruza niechętnym spojrzeniem. Niski, szczupły staruszek, z kępkami siwych włosów przy uszach, w stroju angielskiego oficera z kolonii, obdarzony donośnym głosem i świdrującym wzrokiem, nie wzbudził w niej entuzjazmu.

– Kobieto nieszczęsna, co ty robisz na tym śmietniku?!

– A co, nie widać? Odczep się... – Natrętny jegomość spłoszył jej sen. Bardzo piękny. Śniła o lesie, głębokim, tajemniczym, z cienistymi jarami, szemrzącymi cicho strumykami i polankami pełnymi słońca; przekomarzała się z krasnalami – małymi, pyskatymi, wcinającymi niedojrzałe jabłka, tak kwaśne, że mordki się im wykrzywiały, i mówiły... co mówiły? – Dajże mi spokój, spadaj – wymamrotała kobieta, zamierzając dośnić swój sen do końca.

Franciszek Wons nie dał spokoju.

– Bój się Boga, ty chyba tu nie śpisz?!

– Nie, skąd, opalam się – odburknęła ze złością.

– No, co to ma być, proszę państwa, no co? Kobieta na śmietniku, ale czemu, ja się pytam?

– Pewnikiem ktoś ją wyrzucił, proszę łaski szanownego pana. Może dałby pan choremu dziesiątaka na lekarstwo?

Konstanty Szpak pojawił się nagle przy czerwonej kanapie. Jakby wyrósł spod ziemi. Pożądliwe spojrzenie rzucone na torbę pełną pustych butelek wyjaśniało tę niespodziewaną, wręcz magiczną materializację.

– Wyrzucił?! – oburzył się Franciszek Wons. – Ale czemu? Panie, posuń się pan trochę, depczesz mi po nogach i chuchasz w kark, a wierzaj mi, kochasiu, nie jest to miłe.

– Pardonsik szanownego pana. – Konstanty odsunął się posłusznie i dyskretnie chuchnął sobie w dłoń, tak na próbę. „Czepia się" – osądził, ale odsunął się jeszcze trochę. Z tej bezpiecznej odległości kontynuował rozmowę. – Wyrzucił, bo mu taka siaka dama niepotrzebna. Może choć piątaka, upraszam się łaski szanownego dyrektora.

– Ale czemu niepotrzebna? – Wesoły Staruszek uparcie ignorował próby wyłudzenia gotówki.

– A po co komu taka stara baba! – rozeźlił się Konstanty. Widząc, że nici ze wsparcia, stracił nieco na manierach. „Butelek też się nie da buchnąć, pilnuje, taka siaka – pomyślał smętnie, widząc, jak śpiąca, chyba podświadomie, jedną ręką obejmuje wypchaną siatkę. – Trza się zmywać".

I zmył się, tym razem jednak starannie omijając dybiący na niego akumulator.

Dyskusję obu panów siwowłosa rejestrowała zaledwie małym kącikiem umysłu. Na nowo pogrążała się w świecie, który wolała. Jej dusza wyrywała się do opuszczonego snu. Zwinęła się w kłębek, pojawiły się obrazy... Chochlik, pomarszczony i nieznośny, z kępkami siwych włosów wokół uszu. Dokuczał jej, więc naciągnęła mu czapkę na oczy. Śmiesznie wyglądał. Uśmiechnęła się. Chochlik podskoczył i aż się popluł z oburzenia.

– Wyrzucili... – Franciszek Wons zasępił się. Nie rozumiał. – Nie rozumiem... – Pokręcił głową. – No, niech mi ktoś wytłumaczy, bo nie mogę pojąć. Całkiem dobra baba, no całkiem jeszcze do rzeczy – mruczał,

obchodząc czerwoną kanapę. – Siwa i brudna, ale jeszcze całkiem, całkiem, a ktoś ją, ot tak, na śmietnik. Co za ludzie, co za marnotrawstwo. – Zerknął na zegarek. – Już dwunasta. Ależ ten czas leci. A ci ludzie jacy rozrzutni. Jak tak można, zaraz na śmieci, jak starego grzyba, no jak...?

Tak pomrukując, wycofywał się chyłkiem. No bo marnotrawstwo marnotrawstwem, ale i jemu... na co jemu taka siaka baba, do tego stara i brudna?

Minęło południe. 12.00. Pora pojedynków i ostatecznych rozstrzygnięć. Dla niektórych. Dla innych – jedna spośród dwudziestu czterech godzin, jedna spośród tysiąca czterystu czterdziestu minut, jedna spośród...

Dla niewielu słońce w zenicie – gorące, życiodajne, piękne.

Są ludzie, dla których świat ma tylko jeden liczący się wymiar. Czas. Czas od świtu do zmierzchu, przez noc, do kolejnego świtu. Czas – wymiar przetrwania. Ludzie żyjący w tym jednowymiarowym świecie nie są wymagający. Czerwona kanapa z wyleżanym środkiem, wciśnięta między płot a zielony kontener z pomarańczowymi włazami, kusi niczym jabłko z drzewa poznania dobra i zła...

Serafina Małek z pewnością nie należała do osób zachłannych. Nie miała dachu nad głową, pracy, renty i sympatycznej rodziny, ale za to nie brakowało jej pogody ducha, woli przetrwania i zadziwiających w jej sytuacji pokładów życzliwości dla bliźnich. Z drugiej jednak strony nawet ktoś tak optymistycznie i minimalistycznie nastawiony do życia jak Serafina samym powietrzem nie wyżyje.

Człowiek je, śpi i wydala. Bez tego ani rusz. Nie da się sprawy obejść, udając, że problem nie istnieje. Nie da rady zlekceważyć bolesnych ostrzeżeń wściekłego z głodu żołądka, mówiąc, że to głupie kaprysy i wielkopańskie fanaberie. Nie powiedzie się krucjata przeciw wydalaniu jako czynności upokarzającej i niegodnej homo sapiens. Nie uda się wytłumaczyć zmęczonym kościom, że sen to zwykła strata czasu i że bezkarnie przesypiamy jedną trzecią życia. Ech, wszystko to na nic. Durny, tępy organizm wie lepiej. Chce jeść, chce spać i chce wydalać.

Tego wczesnego czerwcowego poranka Serafina Małek uległa swojemu ciału już w dwóch zasadniczych kwestiach. Jedną sprawę załatwiła po prostu w krzakach, niedaleko wiaduktu przy rondzie Żegrze. Co do śniadania, miała umowę z piekarnią PCSS przy tym samym rondzie. Ona

troszczyła się o ich śmietnik, „żeby – jak powiedziała jedna z panien sklepowych – nic mi się tu, Serafina, nie walało, żadne butelki, kartony i inne takie, zrozumiano?”. Oni w zamian sprzedawali jej za połowę ceny (a nieraz nawet dawali za darmo) ciastka i bułki, które zostały im z poprzedniego dnia; o ile jakieś się ostały – pechowo to była bardzo dobra piekarnia.

Tym razem, po wolnej sobocie i nieczynnej niedzieli, czekało na Serafinę aż dziesięć pączków i tuzin bułeczek (dwie makowe plecionki, trzy grahamki, jedna mleczna, trzy rogale, trzy zwykłe).

„Oj, trafiło mi się dzisiaj!” – Uszczęśliwiona kobieta zacierała ręce. Kiedy okazało się jeszcze, że za śniadanie nic nie trzeba płacić – „nie będziemy z was zdzierać, Serafina, w końcu te pączki są jeszcze z piątku” – radość jej nie miała granic. Kopiasta zawartość dwóch papierowych tytek radowała oko, budziła żołądek i obiecywała raj w gębie.

„Oj, będzie używanie, będzie używanie!” – cieszyła się jak dziecko. A ponieważ sprzątać niespecjalnie było co – po weekendzie nie zdążyło się jeszcze nabrudzić – Serafina pospiesznie się pożegnała, capnęła zdobyczne wiktuały i ruszyła wąską ścieżyną w kierunku swych włości.

Drożyna zaczynała się tuż za trawnikiem przed piekarnią, potem wiła malowniczo między niewielkim polem pszenicy a łączką pełną górek, dolinek, dziur, myszy i kotów, aż do dużego niestrzeżonego parkingu przy Kurlandzkiej. Kolejnym elementem tego mało miejskiego krajobrazu był zdziczały sad na tyłach PCSS, sąsiadujący ze skromnym pszenicznym łanem. Ale mało kto z własnej nieprzymuszonej woli zapuszczał się w te niebezpieczne rejony.

Chyba że ktoś, tak jak Serafina, właśnie tam chodził do pracy. Masy butelek poniewierających się w wysokiej trawie, pod gruszami, jabłoniami i mirabelkami, nęciły obietnicą zarobku, a solidny drąg i, co tu kryć, niespecjalnie wyjściowy wygląd Serafiny Małek pozwalały jej nie przejmować się ewentualnym spotkaniem z podchmielonym elementem.

Co do łąki, miała ona dla tej pięćdziesięcioletniej kobiety, pozbawionej niemalże wszystkiego, znaczenie fundamentalne. Była jej domem letnim. Zimą rezydowała na dworcu, ewentualnie – gdy nie było wielkiego mrozu ani ohydnej śniegowej pluchy – nad Maltą, pod rurami z ciepłą wodą, z których oblazła cynkowana osłona. Latem, albo jak teraz ciepłą wiosną, przenosiła się do kępy chaszczy w rogu łąki, tuż przy skrzyżowaniu, gdzie

z paru opon, dętek, koca, starej kołdry oraz kilku zardzewiałych rurek od namiotu urządziła sobie lokum. I właśnie ku niemu, czwartego czerwca, gdzieś około wpół do siódmej rano (według mało skrupulatnych obliczeń, bazujących na fakcie, że piekarnię otwierano o szóstej), podążała wyschniętą dróżką Serafina Małek, objuczona dwiema torbami z prowiantem. Podążała i ziewała szeroko. Dzisiejszej nocy na skrzyżowaniu ulicy Kurlandzkiej z ulicą Żegrze wyłączono lampy i oczywiście w tych egipskich ciemnościach musiał zdarzyć się wypadek. Piski, trzaski, przekleństwa, policja na sygnale, Pomoc Drogowa... „Dobrze, że tym razem nie trzeba było wołać Straży Pożarnej” – pomyślała Serafina, naciągając kołdrę na głowę.

Potem napatoczyła się na jej sypialnię grupka wyrostków z piwem w dłoniach. Obudzili ją, żądając gościny i papieroska. Serafina nigdy nie tykała papierosów, uznając palenie za zgubny nałóg drążący płuca i kieszeń, a nachalnych gości nie tolerowała – zwłaszcza nocną porą. Kazała smarkaczom się wynosić. Nie posłuchali, gorzej, zaczęli ją poszturchiwać i obrażać. Serafina znała życie i wiedziała, kiedy lepiej się wycofać. Nie czekając na dalsze obelgi i siniaki, zniknęła w ciemnościach.

Do rana przeczekała pod wiaduktem.

Ziewanie i zmęczenie po bogatej w atrakcje nocy nie wpłynęły zbytnio na apetyt Serafiny. Zawsze, bez względu na okoliczności, miała ochotę na małą przekąskę. Kiedy tylko dotarła do „siebie”, usadowiła się na dużym kamieniu, na dwóch mniejszych położyła papierowe torby, poluźniła pasek w spodniach i przystąpiła do konsumpcji. Połowę smakołyków pochłonęła od razu, resztę zostawiając sobie na drugie śniadanie. Prawdę powiedziawszy, zapchała się i nieco ją zemdliło. „Pić! – pomyślała tęsknie. – Oj, napiłabym się czegoś dobrego, na przykład... A zresztą, czemu nie? No niby czemu nie? Przecież pączki i bułki były za darmo. W końcu raz się żyje!” – krzyknęła w myślach i postanowiła zaszaleć jak wielka pani. Za całe piętnaście tysięcy dwieście złotych w sklepie PHS-u po drugiej stronie ulicy kupiła sobie wino wiśniowe – swoje ulubione. Zamierzała wrócić na łąkę i wypić je co do kropelki, ale kiedy przechodziła koło śmietnika między szesnastkami, porzucone tam bogactwo kazało jej się zatrzymać. Nie mogła przejść koło takich skarbów obojętnie!

Pozbierała i posegregowała butelki, pakując je do jednej z parcianych siatek, które zawsze nosiła przy sobie. Poszperała w szmatach i znalazła dla

siebie prawie nową, jedynie trochę poplamioną farbą olejną, koszulę flanelową oraz nieco za dużą i bez sznurowadeł, ale jeszcze całkiem dobrą parę trampek. Trafiła też na nadgryzionego przez myszy Harlequina. Kiedy wreszcie jej oko spoczęło na czerwonej kanapie, aż jęknęła z zachwytu. Torbę z butelkami wcisnęła między płot a bok tapczanu. Trampki miały posłużyć za poduszkę. Otworzyła wino, usadowiła się na kanapie i popijając wiśniowy nektar, zagłębiła się w lekturze romansu.

Problemy pięknej, młodej i dumnej Lucindy Gray z nie mniej dumnym, za to nieco starszym, niebywale męskim i bajecznie bogatym Brademe Stonem wciągnęły ją do tego stopnia, że nie wiedzieć kiedy wypiła wino i zjadła resztę pączków. Ostały się tylko bułki, sierotki, w ilości pięciu sztuk.

Serafina skończyła czytać. Przeciągnęła się i beknęła głośno, niezbyt przejmując się dyskrecją i elegancją. Pustą butelkę schowała do siatki. Ze sposobu, w jaki cienie dwóch wieżowców padały na plac zabaw i śmietnik, odgadła, że jest już po ósmej.

– Do spanka, Serafina, do spanka, najwyższa pora! – skonstatowała z radością. Umościła się w zapadniętym środku tapczanu, zwinęła w kłębek i momentalnie zasnęła.

Ludzie przychodzili i odchodzili, dzieci szeptały, inne krzyczały, ktoś czegoś chciał, o coś pytał, nie rozumiał... wreszcie odszedł. Wszyscy odeszli.

A dla Serafiny, samotnej i wreszcie samej, czas się zatrzymał. Przyzwyczajona do spania w trudnych warunkach, sen miała czujny i szybki. Nie marnowała czasu na długie zasypianie i przeciągłe wstawanie. Budziła się i zasypiała w sekundę, w razie niebezpieczeństwa sen umykał, po jego zażegnaniu – wracał.

Ale tym razem, na czerwonej kanapie wciśniętej między płot a przepełniony kontener, zapragnęła pokosztować zakazanego owocu głębokiego, beztroskiego snu, który ufa miejscu i ludziom.

Minęło południe.

Serafina wciąż spała, nieświadoma niczego.

Śniła, a czas miłosiernie omijał czerwoną kanapę...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY
czyli o przyczynach frustracji, tych dużych i tych małych.

Szklanka. W środku cola. Zwykła, przeźroczysta szklanka, do połowy wypełniona płynem. Jednak Maciej Tamicki wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

Szklanka stała na brzegu kuchennego stołu. Nawet całkiem sporo za ten brzeg wystawała. Mężczyzna czuł wręcz fizyczny ból, gdy tak patrzył na szklankę łajdaczkę, szklankę kamikadze, która drwiła sobie z niego. Spadnę, słyszał cichy brzęk, a może nie spadnę... Wyciągnął rękę, powoli, ostrożnie, żeby nie spłoszyć, żeby nie wyprzedził go...

Łokieć. Goły, damski łokieć. Obok szklanki. Joanna Tamicka coś opowiadała i nie zwracała uwagi na dramat rozgrywający się na stole. Jej łokieć muskał szkło, krążył, nęcił, uwodził, namawiał do samobójstwa, a ona gadała, wymachiwała dłońmi... Łokieć tańczył wokół szklanki taniec śmierci.

Mężczyzna sięgnął. Kobieta była szybsza. Złapała szklankę i opróżniła ją w dwóch łykach.

– Od tego gadania aż mi w gardle zaschło. Co za przeklęty upał! – Oblizała wargi i odstawiła kruche naczynie z powrotem na stół. Znowu blisko krawędzi. Za blisko. Mężczyzna wolał nie ryzykować.

– Przesuń tę szklankę, bo zaraz spadnie.

– Ty masz chyba jakąś obsesję, najchętniej wszystko byś zwalił na kupę i trzymał pośrodku stołu, żeby tylko, broń Boże, nie spadło. Wyluzuj się, człowieku. Spadnie, to spadnie, niebo się od tego nie zawali, a poza tym niby dlaczego miałoby spaść? Dwa długaśne centymetry do brzegu...

– I pięć króciuteńkich do twojego szalejącego łokcia. Przesuń tę cholerną szklankę w bezpieczne miejsce, ja cię bardzo proszę! Co ci

szkodzi? Jak mnie kochasz, zrób to. Dobra, jestem świr, ale irytują mnie rzeczy, które stoją tak, że kuszą los lub ciebie.

– Dobra – poddała się Joanna, która istotnie zbyt często coś tłukła, rozlewała lub rozdeptywała. – Widzisz? Biorę szklankę – wzięła szklankę – podnoszę – podniosła – i odstawiam...

W tym momencie od strony uchylonego okna doleciał głośny ni to gwizd, ni to skrzek. Młoda kobieta drgnęła, szklanka wysmyknęła się spomiędzy jej palców i spadła. Na stół. Uff! Z wysokości dziesięciu centymetrów. Szczęściara!

Normalna szklanka pewnie doceniłaby ten cud i bez szkody na kwarcowym ciele przetrzymała upadek, ale to była szklanka łajdaczka, więc pękła na trzy części.

– Cholera! – mruknęła Joanna. – A to pech. Zostało nam już tylko pięć szklanek.

Tamicki był mniej wyważony w swych reakcjach.

– Szlag by trafił tego gówniarza! – krzyknął. – Zaraz tam pójdę i skręcę mu kark!

Miał na myśli jedenastoletniego Szczepana, który mieszkał nad nimi. Chłopiec ów od wczoraj zamęczał sąsiadów grą na odpustowej trąbce, która była odporna na przekleństwa i pobożne życzenia, bo za nic nie chciała się popsuć. Była też wściekle różowa, ale tego Tamicki już nie wiedział; zresztą miał to gdzieś, bardziej skupiając się na głośnych, przenikliwych tonach wydawanych przez niewielkie, acz skuteczne narzędzie tortur.

Szczepan Szkudak nie był bowiem tuzinkowym grajkiem. Jak już zaczął świstać, robił to systemem. Jeden długi świst, chwila spokoju, dwa krótkie gwizdojęki, pięć minut ciszy i znowu jeden przeciągły skrzekopisk oraz trzy krótkie miauknięcia. Brzmiało to jak rozpaczliwe wołanie o pomoc umierającego świstaka. Uszy dostawały na głowę, nerwy się strzępiły, a poczucie humoru po dwudziestu minutach takiej kaźni wyparowywało niczym sen złoty.

– Pójdę i wsadzę mu tę piszczałkę do gardła! – powiadomił żonę rozsierdzony Tamicki. – Bo inaczej znowu będzie fiukał przez pół dnia – snuł tragiczne prognozy. – Czy rodzice tego dziecka są głusi?! – wybuchnął. – Ten smark nas zamęczy! Dwójka naszych bąków nie jest tak uciążliwa jak ten przeklęty Janko Muzykant. Dobrze choć, że twoja mama

zabrała szkodników na spacer, bo jeszcze szczyl przebrzydły podrzuciłby im pomysł, jak wykończyć dużych rodziców za pomocą małej trąbki.

– Maciej, uspokój się. Dzieciak pewnie się nudzi, dlatego śwista. Poradzimy sobie. Zamkniemy okna, spuścimy żaluzje, położymy się na łóżeczku, obłożymy lodem z zamrażalnika... – mówiła łagodnie i cicho, głaszcząc męża po ramieniu.

– Nie mów do mnie jak do wariata. A zamknięcie okien nic nie pomoże. Te straszne dźwięki przenoszą się przez ściany, sufit, rury, powietrze; osaczają nas. Nie ma dzieci, moglibyśmy pospać albo pokochać się, a co robimy...? Poza tym czemu mamy w środku lipca zamykać okno, co? Wolę zabić gnojka! I zrobię to, jeżeli się zaraz nie zamknie. – Doprowadzony do ostateczności mężczyzna pogroził pięścią w stronę sufitu. – Spokój tam! – wrzasnął. – Tu są ludzie! Jak się nudzisz, szczeniaku, to sobie idź pobiegaj!

O dziwo, poskutkowało. Piski ustały.

Tamicki uśmiechnął się chełpliwe.

– No! I tak trzymać! – powiedział na głos, a do żony szepnął z cieniem przechwałki: – Dałem mu, co? – Ale cicho, żeby nie drażnić odpustowej piszczałki.

Szczepan faktycznie się nudził. Wyglądał przez okno, leżąc na parapecie, i umierał z nudów. Ponieważ nawet jak na jedenastolatka był wyjątkowo długi, spora jego część bezpiecznie pozostawała w mieszkaniu. Niemniej na widok dziecka wychylającego się z okna trzynastego piętra większość rodziców – nie tylko zbzikowany na punkcie szklanek i krawędzi Tamicki – dostałaby zawału. Szczepanowi to wisiało. Ze stoickim spokojem patrzył na dół, przyglądał się dzieciom na placu zabaw, samochodom pędzącym ulicą, facetowi bawiącemu się z psem i dmuchał sobie w trąbkę, i czuł tę, jak jej tam, frustrację. Właśnie tak. Pani od polskiego powiedziała im niedawno, krótko przed końcem roku szkolnego, że jak tak na nich patrzy, to znaczy jak patrzy na ich klasę IV d, jak słucha tych głupot, które wygadują, to czuje się wielce sfrustrowana. Miało to oznaczać, że są tak beznadziejnie tępi, że aż żal ściska. Tego oczywiście pani od polskiego nie powiedziała, ale Szczepan i tak doskonale wiedział, co miała na myśli z tą frustracją. Sfrustrowany zrozumie sfrustrowanego.

Szymon uniósł trąbkę, zamierzając fiuknąć sobie zdrowo, ale się rozmyślił.

Było lato, a on nie miał co ze sobą zrobić. Czy to nie okropne? Większość jego kolegów wyjechała na wakacje, a on...? Dlatego grał na piszczałce. Z żalu nad sobą, na znak protestu i na złość matce, która ostatnio wciąż mu przypominała, że „teraz, Szczepek, musisz zachowywać się ciszej niż zwykle, musisz pamiętać, że teraz to nie to samo co przedtem” i takie tam duperele. A on nie chciał pamiętać! Miał w nosie tę ich głupkowatą niespodziankę! Niespodzianka? Też mi coś! Co on, małe dziecko, żeby mu takie bajeczki opowiadać?!

„Nie ma sprawiedliwości na świecie – odkrył Szczepan, obserwując zmagania młodego jamnika ze smyczą i obrożą. – Szczeniak – zawyrokował – to się jeszcze nie przyzwyczaił. Ale przywyknie. Kurczę, jak ja bym chciał mieć psa! Zrezygnowałbym z prezentów na Gwiazdkę przez dwa, no, niech będzie, trzy lata z rzędu za nowofundlanda albo wilczura. Zwykły kundel też mógłby być. Ponoć kundle są bardzo inteligentne. A obiecywali mi... Że ojciec obietnicy nie dotrzymał, nie nowina, ale mama...? Jak mogła mi to zrobić, jak mogła?! – Wzrok chłopca pobiegł w róg pokoju, gdzie leżało to... to niewystarczające coś, które miało mu zastąpić psa. – Różowe okropieństwo! Czy ja jestem dziewczyną, żebym mi się podobały takie, takie... No, jak mogła! A tak jej ufałem”.

– Szczepek, chcesz wylecieć?! Złaź z tego okna! – Pani Szkudakowa siłą ściągnęła syna z parapetu. – Znowu grałeś na tej fujarce, a przecież prosiłam! – zganiła go ostrym szeptem i spojrzała z obawą w kąt pokoju. – Sąsiedzi już wczoraj się skarżyli. Poza tym, umawialiśmy się, prawda? Miałeś nie hałasować! – Oburzona wyrwała z rąk chłopca różową piszczałkę. – W ogóle nie pojmuję, czemu ojciec ci to kupił. Ten człowiek w ogóle nie myśli.

– Pewnie dlatego, że za dużo chleje – wymruczał posępnie Szczepan.

– Szczepan! Nie wolno tak mówić o własnym ojcu! – Matka trzepnęła go w ucho.

Cóż, nie pierwszy raz Szczepan oberwał za to, kim był jego ojciec. Genek Szkudak oprócz tego, że miał problemy z myśleniem, miał też poważny problem z alkoholem, wskutek czego jego rodzina miała nieustające problemy z Genkiem Szkudakiem.

– A tobie o własnym mężu wolno? – wybuchnął rozgoryczony chłopiec. – Słyszałem, jak się darłaś na niego w nocy. Że pijak, świnia i gnój. A on na

ciebie, że jesteś taka sama kurwa jak twoja matka. Czy on miał na myśli babcię?

Pani Celina zaczerwieniła się po korzonki włosów.

– Nie mądruj się, za mały jesteś. Czemu siedzisz w domu w taką piękną pogodę? Idź na dwór – zarządziła.

– Nie chce mi się.

– A mi się nie chce oglądać twoich głupkowatych min i wysłuchiwać twoich bezczelności. Bierz piłkę i zmiataj. Tu mi tylko przeszkadzasz, przecież wiesz, jak dużo teraz mam roboty.

– Mama, pomogę ci – zaofiarował się nagle Szczepan. – Pomogę ci przy... przy tym – dokończył z grymasem obrzydzenia na chudej buzi, wskazując brodą kąt pokoju.

– Naprawdę? – ucieszyła się mama. – Kochany jesteś chłopiec.

– Mama...

– No co, Szczepek?

– Proszę cię, kup mi psa. Przecież obiecałaś! Ja już będę grzeczny, obiecuję, i będę się nim zajmował, wyprowadzał, dawał jeść, szczotkował! Mama, proszę, proszę...

– To dlatego byłeś taki chętny do pomocy – domyśliła się pani Szkudakowa i pokiwała smętnie głową.

– Nie, ja się naprawdę staram polubić to... coś, ale z psem byłoby mi dużo łatwiej. Mama, proszę! – W oczach i głosie chłopca było autentyczne błaganie, ale jego ręce bezwiednie zacisnęły się w pięści.

– Nie. To absolutnie niemożliwe. Przecież wiesz. Tłumaczyłam ci już. Dlaczego jesteś taki okropny? – zdenerwowała się. – Uparty jak osioł. Dalej, zabieraj się na dwór – zakończyła dyskusję i wróciła do dużego pokoju. – Ta fura rzeczy sama się nie uprasuje – mruknęła już do siebie.

I jak tu nie być sfrustrowanym? Chłopiec niechętnie zbliżył się do głównego powodu swojego złego samopoczucia. Pochylił się i przyjrzał badawczo.

Nie. Jednak nie.

Zdecydowanie nie o takim przyjacielu marzył, nie o takim prezencie. Gdyby mógł, z miejsca by się wymienił, złożył reklamację. Tylko u kogo? Kto by go wysłuchał? Tym bardziej że stworzenie śpiące w rogu pokoju nie należało do tak zupełnie zwyczajnych. Było nawet trochę lepsze od chomika czy rybek. Małe jeszcze, ale ponoć te spryciarze, gdy trochę

podrosną, zaczynają chodzić na dwóch łapkach i gadać lepiej niż papuga. Od biedy dają się też nauczyć paru sztuczek: otwierania drzwi, zapalania światła, jedzenia łyżką. „Hm... może nie będzie tak źle? – pomyślał chłopiec. – Zresztą i tak nie mam wyjścia. Mama powiedziała, że jak ono już jest, to musi zostać”.

Pogodzony z rzeczywistością odwrócił się na pięcie i poszedł szukać piłki.

Tymczasem w kącie małego pokoju, w małym łóżeczku, na różowym kocyku, pod różową kołderką spało sobie spokojnie małe różowe niemowlę.

Szczepan wrócił do pokoju w czapce, tenisówkach i z piłką pod pachą. Jeszcze raz spojrzał na siostrę.

– Do psa to ty się nawet nie umywasz. – Co do tego akurat Szczepan nie miał wątpliwości i czym prędzej oświecił nieproszone rodzeństwo. – Ale będą z ciebie ludzie – pocieszył ssącego kciuk niemowlaka – skoro cię nie obudziła moja piszczałka. Tylko żeby wszystko było jasne – zaznaczył – ja tu rządzę, zrozumiano? Lepiej to sobie dobrze zapamiętaj na przyszłość, smarkulo.

Gdy Szczepan wychodził z domu, zabrał swoją wściekle różową trąbkę odpustową.

Kilka minut później do wszystkich mieszkańców bloku numer dwa na osiedlu Orła Białego dotarło nieskrępowane murami i sufitami trąbienie.

Młody grajek improwizował. Był teraz nieco mniej sfrustrowany, za to bardziej żywiołowy i równie irytujący jak wtedy, gdy grał z nudów.

W mieszkaniu Tamickich zbiła się kolejna szklanka...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
czyli gdyby istniał.

Praca Świętego Mikołaja bywa czasami strasznie męcząca – mógłby pomyśleć Święty Mikołaj, poprawiając przy tym worek na plecach. Ciągle w rozjazdach, niezmiennie z wielkim bagażem, obowiązkowo w tradycyjnym, czerwonym mundurku, do tego jeszcze z brzuchem i z brodą! A spróbujcie tak jeść zupę, dajmy na to świąteczny barszcz z uszkami, ze śnieżnobiałą brodą do pasa i wąsami puszystymi niczym wata. Koszmar!

Przypuszcza się, że pierwszym Mikołajem był jakiś autentyczny święty, który rozdawał swój majątek na prawo i lewo, ze szczególnym uwzględnieniem zimy.

„Ja tam wiem swoje!" – mógłby się oburzyć wąsaty właściciel zaczarowanych reniferów. Instytucję Świętego Mikołaja wymyślili zmęczeni rodzice, którzy przynajmniej na Gwiazdkę postanowili się kimś wyręczyć. Osłabieni żądaniami, zupełnie nieliczącymi się z ich ograniczonymi możliwościami finansowymi, wpadli na pomysł, że taki dobrotliwy i cierpliwy Święty Mikołaj doskonale ich zastąpi.

Ustala się więc, że za prezenty gwiazdkowe odpowiada Święty Mikołaj i do niego należy się zwracać z listami, życzeniami i z ewentualnymi pretensjami. Rodzice są tylko pośrednikami i bardzo proszą, żeby choć w święta dać im święty spokój.

Tak to musiało wyglądać. Bez dwóch zdań. W każdym razie z punktu widzenia powołanego do życia Świętego Mikołaja.

– **M**ama, a przyjdzie Gwiazdor? – zapytał mamę Jędrek Tamicki.

– No nie wiem... A byłeś grzeczny? – odpowiedziała pytaniem mama, zapinając synkowi spodnie. Trochę się spieszyła. Umówili się u babci Grażynki na czwartą, a było już za dwadzieścia. Zanim skończy ubierać dzieci, zanim akumulator się naładuje – bo wzruszony świąteczną

atmosferą kompletnie się rozładował – zanim spakuje wszystko, co trzeba zabrać...

– A ty co sądzisz? – sprytnie odbił piłeczkę Jędruś, przerywając mamine rozmyślania.

– Sądzę, że te spodnie są dla ciebie za ciasne, chyba odstąpimy je Mateuszowi. Mateo! – krzyknęła w stronę łazienki. – Zrobiłeś już siku? Pospiesz się, czas leci! Będziesz musiał, Jędrulku, założyć dżinsy, te czarne, też są eleganckie.

– Gdzie leci? – zaintrygowało chłopca.

– Co leci?! – zdenerwowała się mamusia.

– Szas, gdzie leci?

– Ach, szas... – Przedszkolny logopeda się starał, ale Jędruś był widać odporny na te starania. – Czas, żuczku, czas, powtórz, spójrz na moje usta, cz-as.

– Cz-szas. Gdzie leci?

– Do przodu, wciąż do przodu, niestety, nie chce drań się cofać, choć może i dobrze, bo wtedy na przykład znów bym musiała zdawać egzamin z topologii albo, co gorsza, nie miałabym dwóch takich kochanych syneczków.

– Tata mówi, że jesteśmy bandyci i mordercy – pochwalił się Jędrek.

– Bo jesteście, dwa małe monstra, ale kochane – zapewniła mamusia.

– A co to jest to...tolopogia?

– Topologia to poezja matematyki – bez zastanowienia odpowiedziała Joanna Tamicka; miała wprawę w udzielaniu zamykających usta odpowiedzi. – Nie zrozumiesz, póki nie polubisz, a nie sposób polubić, gdy nic nie rozumiesz.

Póki synek trawił odpowiedź, mama szybko zdjęła mu spodnie i poszła poszukać dżinsów.

Do dużego pokoju wróciła już z Mateuszem, odzianym w portki starszego brata.

Tymczasem Jędrek siedział na rodzicielskim łóżku i dumał.

– Mama, ale powiedz mi, naprawdę, muszę to wiedzieć, przyjdzie w końcu ten Gwiazdor szy nie?

– Przyjdzie albo przyleci, z Gwiazdorem nigdy nic nie wiadomo – odparła Joanna, wbijając syna w sztywne, świeżo uprane dżinsy.

– Bo wiesz, do przedszkola też przyszedł Gwiazdor, ale on nie był prawdziwy, to był pan Kazio, przebrany, a brodę miał z wełny, poznałem! Mama, nie tego oczekiwałem.

– Hm... – zasępiła się Joanna. Jak tu wytłumaczyć prawie pięciolatkowi, że pan Kazio jest wprost klasycznym przykładem „gwiazdorstwa”.

– Sam powiedziałeś: on nie był prawdziwy. Przedszkoli i przedszkolaków jest dużo, a Święty Mikołaj tylko jeden; sam nie da rady, czasami musi kogoś poprosić o pomoc.

– Święte słowa, droga pani, święte słowa, zgadzam się w całej rozciągłości – mógłby zgodzić się święty zagoniony do roboty. – Zgadzam się, że nie daję rady. No bo jak jeden Mikołaj – nawet święty! – może się sam wyrobić? Przy takim zapotrzebowaniu!

– Ale trzeba być czujnym! – Joanna Tamicka uniosła ostrzegawczo palec. – Bo ze Świętym Mikołajem, tym prawdziwym, naprawdę nigdy nic nie wiadomo, może się zdarzyć, że akurat sam osobiście przyniesie prezenty. Jak się było grzecznym przez cały rok albo przynajmniej się starało, jak się obieca, że się nie będzie bić z bratem, jak się pięknie zje świąteczną kolację, no i jak się będzie miało szczęście, to kto wie... może jak raz się uda spotkać tego jedynego, najprawdziwszego...

– Świętego Mikołaja! – krzyknęli chórem mali Tamiccy, choć w wykonaniu Mateusza brzmiało to raczej: „eeeeko łaałaaaa!”, i zerwali się z łóżka.

Na szczęście mama zdążyła ich już ubrać, i to nawet w buty oraz swetry.

– Ale ryby i tak nie zjem! – oświadczył Jędrek zdumionemu tacie, który właśnie sprawdzał stan naładowania „wzruszonego” akumulatora.

– Yby nie! – poparł brata Mateusz.

– Nie to nie – odparł powściągliwie Tamicki, a potem oznajmił jeszcze bardziej ostrożnie: – Dobra, możemy jechać, powinien odpalić...

– Odpali, panie Macieju, odpali. Tak między nami, to ja też nie przepadam za rybami, wolę coś konkretniejszego – mógłby wyznać święty sybaryta.

Na Orła Białego nastoletnia młodzież uważała Świętego Mikołaja za przeżytek i dziecinadę. O wiele większym problemem było nie to, czy przyjdzie Gwiazdor, ale co robić zimą na osiedlu, gdzie tylko wiatr hula i nuda świszcze.

Latem można się jeszcze posnuć po osiedlu z butelką piwa albo przysiąść przed wejściem do klatki, pogadać, zapalić... Zawsze też pozostawały place zabaw, które późnym wieczorem uwalniały się od uciążliwej obecności młodszych dzieci, ale zimą?

Zasmarowane, zapaskudzone klatki schodowe, które ewentualnie można było jeszcze bardziej zapaskudzić, wilgotne piwnice, w których nawet już paskudzić się nie chciało. Słowem, kanał.

Dlatego gdy na parterze bloku numer dwa pojawił się ubrany na czerwono osobnik – przystrojony w białą brodę, czapkę z pomponem i wielgachny worek – przywitał go chór gwizdów i cmoknięć. Zgromadzoną w holu przy parapecie i grzejącą tyłki na kaloryferach młodzież wyraźnie ożywiła nadzieja...

To wcale nie były złe dzieci. Tylko zawsze jakoś tak, w kupie, hamulce puszczają, rozum usypia, a potem wiadomo – demony i tak dalej. Ale to naprawdę nie były złe dzieciaki. Na przykład czarnooki Barnaba z piętnastego piętra był najlepszym uczniem w Samochodówce na Rybakach i do tego dawał ściągać. Z kolei Leszek z sąsiedniego bloku, ten krótko ostrzyżony, właściwie wygolony, z kolczykiem w uchu i mocnym trądzikiem, miał młodszą siostrę Magdę, którą odbierał z przedszkola, a latem z dużym zapałem uczył ją jeździć na rowerze. Michał chodził do Technikum Energetycznego, trenował judo, mieszkał razem z babcią i miał wielkie plany na przyszłość. Przemo z „deski” poznawał uroki zakochania, wskutek czego stał się romantyczny, nawet klął wierszem, zaś córeczkę Lidki zabrał ostatnio na lody. Lidka – dziewczyna Przema i matka małej Ingi – właśnie się rozwodziła; starszy od niej o dziesięć lat mąż należał do grona najwierniejszych bywalców osiedlowej piwiarni. Co do Marioli, to jak zwykle robiła wrażenie. Rozpuszczone długie jasne włosy, charakterystyczny uśmieszek, na wpół przymknięte powieki, intrygujący błękit spojrzenia, czyli osiedlowa *femme fatale*. Dookoła zaś kręcił się wszędobylski Albert, na którego machnięto ręką, bo nawet przekleństwa na niego nie działały.

Towarzystwo znalazło się w ten dzień i o tej porze w holu dwójki, żeby odsapnąć nieco od świątecznego wariactwa i wymigać się od takiego na przykład ubijania karpia. Wyrwali się na pół godzinki, na papieroska i żeby trochę ponarzekać; wymknęli się pod pretekstem wyrzucania śmieci i robienia ostatnich zakupów.

Stali więc z pustymi wiadrami, siedzieli z siatkami wypełnionymi wodą sodową, colą, majonezem i masłem. Śmiali się i rozmawiali, czy raczej przepychali się i klęli trochę za głośno. Już dwa razy zwracano im uwagę. Przeprosili, a jakże. Barnaba nawet cmoknął dozorczynię w rękę. A potem dalej składali sobie życzenia, dzieląc się opłatkiem Cameli i nie szczędząc jedno drugiemu najszczerszych dosadności tudzież serdecznych epitetów.

Gdy już mieli się rozejść na wigilijną katorgę, trafiła im się nie lada gratka: cudak z brodą i pomponem.

Wychodzący z windy Tamiccy trafili w sam środek awantury. Jędrek z Mateuszem rozpoczęli tradycyjny wyścig do drzwi, ale po drodze wpadli na Alberta; ten w dwóch słowach wprowadził ich w meritum sprawy.

– Lejemy Mikołaja!

Chłopcy zwątpili. Zwątpiła również Joanna Tamicka, która nijak nie była przygotowana na widok świętego w roli Częstochowy obleganej przez Szwedów. Młody człowiek z piętnastego robił za znienawidzone przez obrońców potężne działo.

Maciej wychodził z windy ostatni, miał więc czas, by należycie ocenić sytuację. Przytrzymał żonie drzwi, przekładając do lewej ręki akumulator, i uniósł wzrok, który zderzył się z niebieskim spojrzeniem. Mądre to było spojrzenie i mądre oczy. Powiedziały: „Nie martwcie się, sam sobie poradzę”.

Tamicki nie miał najmniejszych wątpliwości, że właśnie tak będzie. Po prostu nie śmiał nawet pomyśleć, że ktoś o takich oczach i takiej posturze nie poradziłby sobie z grupką napastliwych wyrostków. Kiwnął tylko głową, a prawą ręką dał znak, że „okej” i że „nie będzie się wtrącał”. Potem pogonił rodzinę do wyjścia, wyrywając żonę z osłupienia, a Mateusza z uścisku Alberta, który hasło „lejemy!” zdawał się przenosić na każdego.

– No i co, gwiazdor? – Barnaba po odejściu Tamickich ponownie zastąpił Świętemu Mikołajowi drogę do windy. Reszta młodzieży otoczyła ich kołem. Właściwie nie mieli ochoty na dalsze zaczepki. Pośmiali się

trochę, powygłupiali i już, wystarczy – ale nie Barnabie. Wyraźnie miał o coś złość na Mikołaja.

– Dalej będziesz zgrywał mądralę? – Chłopak uśmiechnął się złośliwie. – Przecież widzisz, że nikt ci nie pomoże. – Wskazał kciukiem na drzwi, za którymi zniknęli Tamiccy. – Jest Wigilia, brachu. Kto się wstawi za takim cwaniakiem jak ty, skoro tam rodzinka czeka, karp stygnie i lampki na choince się palą? Kto ujmie się za pijaczkiem wynajmowanym na godziny, żeby dzieciakom głodne kawałki wciskał? – Barnaba szturchnął Mikołaja w worek. – No, pokaż, co tam masz, może i my coś dla siebie wybierzemy.

– Weź ręce, chłopcze. I nie tykaj mnie. Rozumiem twoje rozgoryczenie, ale posuwasz się za daleko.

– A co mi zrobisz? Postraszysz, że nie dostanę w tym roku prezentów? Już się boję! – zadrwił. – Zawsze wiem, co dostanę na Gwiazdkę. I zawsze jest to jakiś bardzo praktyczny prezent. W tym roku buty; i matka już mi je dała, bo stare przeciekały. Widzisz? Mam swój prezent na nogach. Ładne, co? Niedokładnie o takie mi chodziło, ale może wytrzymają następną zimę. Chyba że znów mi stopa urośnie i przyprawi mojego starego o kolejny ból głowy. Daj więc spokój, ja już nie wierzę w Świętego Mikołaja.

– Przykro mi to słyszeć. Może jednak uwierzysz, gdy ci powiem, że twój stryj miał zamiar wesprzeć zakup czarnych lewisów.

– Prawdę mówiąc, nigdy nie wierzyłem... – mruknął Barnaba jakby do siebie, a Mikołaj aż zesztywniał z oburzenia.

– Teraz to zwyczajnie kłamiesz, synu! Wierzyłeś, przynajmniej kiedy miałeś osiem lat.

– O co ci chodzi, cudaku, co mi tu wciskasz? – Chłopak poczerwieniał; zbliżył się do Mikołaja i złapał go za białe wykończenie płaszcza. – Niezłe masz to futerko, wcale udane, muszę przyznać, ta broda i wąsy... – Pociągnął dwoma palcami za śnieżnobiałe włosy; Mikołaj skrzywił się lekko. – Nie odlepia się, ho, ho! Dobrotliwe, choć groźne spojrzenie, ten dudniący głos, niezły aktor z ciebie. Dzieciaki dadzą się nabrać, ale mnie nie nabierzesz, więc uważaj sobie!

– Barnaba, może już dosyć – Mariola położyła rękę na ramieniu wściekłego chłopaka. Podobał jej się taki zły, ale trochę przesadzał. – Czemu się tak czepiasz tego biedaka? Naprawdę bardzo ładny z niego Mikołaj.

– Hm... – chrząknął z ukontentowaniem święty. – Dobrze, że pani Mikołajowa tego nie słyszy, ale bardzo serdecznie dziękuję panience za komplement.

– Kurde, kurde, ja chyba zwariowałem, co tu się dzieje, Mariolka? A może wy też uważacie, że się czepiam? – zwrócił się do kolegów.

– Słuchaj, ten... ja muszę już lecieć – mruknął Leszek. – Obiecałem mamie, że jej z tym, wiesz, karpiem...

– Ja też – wtrąciła Lidka. – Mała została tylko z mamą, pomaga jej przy choince, ale... No muszę Ingę ładnie ubrać i stół muszę przystroić, mama mówi, że mnie wychodzi to najlepiej.

– To ja cię odprowadzę, Lida – zaoferował się natychmiast Przemo.

Michał nagle przypomniał sobie, że miał zobaczyć, co z lampkami. Babcia go prosiła, bo „coś gasną czy nie stykają". Mariolka, nieco obrażona obcesowym tonem Barnaby, powiedziała „cześć" i bez dalszych tłumaczeń wsiadła do windy.

Barnaba został sam na sam ze świętym.

– Jest Wigilia, twoi koledzy w końcu to zauważyli. – Mikołaj uśmiechnął się. – Czemu ty jesteś taki uparty? Czemu zaprzeczasz temu, co... – zawahał się. Nie lubił mówić ckliwie ani banalnie, choć jako Święty Mikołaj był na to po prostu skazany. Barnaba go wyręczył.

– Zaraz pewnie zaczniesz bredzić o wartościach, tradycji, o tym, co zawsze piękne i prawdziwe. Wypchaj się! Nie wierzę ani w takie rzeczy, ani w ciebie, ani w święta. Nie wierzę i nigdy nie wierzyłem!

– Uważaj, co mówisz, bo bezczelnie kłamiesz. Za to można głos stracić. – A głos Gwiazdora był głęboki niczym polarna noc i zimny niczym lapoński wicher.

– Jesteś kiczem! – wrzasnął Barnaba, nie zważając na ostrzeżenia Mikołaja. – Podróbą, oszustwem! Tym swoim uśmiechem obiecujesz góry złota, dzieci się do ciebie modlą, ale tym biednym zawsze przynosisz tylko to, co tak czy siak trzeba by im kupić. Może jeszcze jakaś tania laleczka albo plastikowy samochodzik na otarcie łez, że to znowu ani Barbie, ani samochód na radio. Lepiej już spadaj stary, bo...

– Masz wiele racji, ale zrozum, jeden Święty Mikołaj nie naprawi całego zła tego świata.

– Skoro nie naprawi, to po co się pęta po świecie i szczuje naiwniaków?

– A ty nie jesteś naiwny?

– Nie.

– Za to jesteś idealistą – powiedział cicho Mikołaj i zniknął.

Niepostrzeżenie wślizgnął się do windy, która pojawiła się, choć nikt nie przycisnął guzika; nim Barnaba zdążył mrugnąć, Mikołaj odjechał.

– **M**ama, ale kiedy przyleci? – Jędrek niecierpliwi się. Zjadł zupę rybną z łazankami (oczywiście nikt mu nie powiedział, że to jest zupa z ryby, ale babcia pracowicie powybierała wszystkie ości, żeby wnuczkom nie utkwiły), skubnął pierogów i ziemniaków z sosem greckim i uznał, że nabrał dość sił na odwiedziny Mikołaja. Co do Mateusza, to zjadł same łazanki i ziemniaki bez sosu. Wigilia była dla niego – dziecka głównie mięsożernego – bardziej postna niż dla innych.

Teraz obydwaj, najedzeni i pełni oczekiwania, przyklejają się do drzwi balkonowych, wypatrując Gwiazdora w saniach, samochodzie, na motocyklu, nartach lub wszystko jedno na czym...

– Mama, kiedy?! Już nie mogę wytrzymać. Kiedy wreszcie...? – nie kończy, gdyż z sypialni dobiega go tubalny głos dziadka.

– Tu leci! Chodźcie zobaczyć. Tu go widać!

Chłopcy pędzą.

– Gdzie? Gdzie, dziadek?! – Rozpychają się na parapecie.

– No, tam! Nie widzisz?

W międzyczasie mama z babcią ukradkiem przenoszą część prezentów z saloniku i wsuwają pod sofę w stołowym.

– Jędrek, Mateusz! – krzyczy tata z balkonu. – Chodźcie, tu go lepiej widać!

Dzieci czym prędzej wracają do dużego pokoju; nawet nie spojrzą w cień pod sofą. Nie przejmując się zimnem, wybiegają na balkon i przywierają do szczebelków barierki.

Babcia Grażynka podrzuca za komódką dwie paczuszki, mama wciska pod fotel podłużną pakę.

Dziadek Remik wymyka się na klatkę schodową i nie zapalając światła, schodzi na półpiętro, gdzie znajduje się kolejne okno – wprost wymarzone do wyglądania Gwiazdora.

– Chłopcy! – woła babcia na wnuczków, którzy przetrząsają niebo w poszukiwaniu Mikołaja. Jednak wśród nocy udaje im się dostrzec zaledwie ślad płozy spadającej gwiazdy i śnieżną skrę spod racicy

biegnącego satelity. Święty Mikołaj wciąż jest szybszy, umyka chyżej niż światło, nieuchwytny o to jedno mgnienie dziecięcego oka.

– Chłopcy! – powtarza pani Grażyna, wyglądając na balkon. – Chodźcie szybko, teraz skręcił za blok, stąd go nie zobaczycie, idźcie do dziadka na korytarz.

Więcej nie musi powtarzać.

Jędrek potyka się o wysoki próg między pokojem a loggią, ale na finiszu wyprzedza brata, który w pośpiechu niemal spada ze schodów.

– Widzisz go, dziadek?!

– Idi ko, dadek?!

– Widzę, ale szybko, bo chyba znowu okrąża blok... O, tam! Tam jest, wychylcie się bardziej. – Dziadek bierze Mateusza pod jedną pachę, Jędrka pod drugą i przytyka ich noski do szyby. Przytrzymuje wnuczków, póki nie usłyszy dzwonienia. To znak, że szczęśliwie opróżniono zawartość schowków pod sofą, fotelem i za komodą oraz że reszta prezentów zmagazynowanych w saloniku dotarła w całości pod choinkę. Gwiazdor wreszcie przyszedł...

W domu babci Grażynki są trzy dzwonki; jeden imituje owczy dzwonek i bardziej telepie, niż dzwoni, drugi przypomina kształtem kielich tulipana i poruszony brzęczy niczym bąk, trzeci wygląda jak pomniejszony Dzwon Zygmunt i właśnie ten dzwoni najpiękniej.

Ale w chwili gdy mama woła radośnie: Już jest! – wszystkie trzy dzwonki pani Grażyny wkładają w dźwięczną pieśń na cześć świętego Mikołaja całą swoją duszę.

– Zaczekaj, Mikołaju, na Jędrusia i Mateuszka! – prosi bardzo głośno mama. – Nie możesz... Ach, już jesteś spóźniony, rozumiem... – I tyle go widzi, bo właśnie do pokoju wpadają zdyszane dzieci.

– Gdzie jest? Czemu nie poczekał?

– De, de? Tu bił?

– A jak wyglądał? Widziałaś go? Mama...? Mateo, patrz! Ale prezentów...!

– Łaaał... – szepce Mateusz i rzuca się za bratem pod choinkę.

Do drzwi mieszkania w bloku numer trzy na drugim piętrze ktoś puka. Rodzina Pachwinowskich siedzi właśnie przy stole i spłoszonym wzrokiem

patrzy po sobie. Kto to? Niby do tradycji należy, żeby w Wigilię ugościć niespodziewanego gościa, ale...

Mała Magda zrywa się od stołu i otwiera drzwi.

– Gwiazdor! To Gwiazdor! Mama, tata!

– Tak wcześnie? – dziwi się pani Zofia, ale już się uśmiecha na widok pękatego worka i nie mniej pękatego Mikołaja. „Całkiem udany ten Gwiazdor – myśli. – Wygląda, no, wygląda jak...”.

Dla każdego znajduje się prezent, przed każdym rośnie kupka podarków... tylko nie przed Leszkiem. Gwiazdor czaruje panią Zosię, żartuje z panem Kryspinem, głaszcze Magdę po głowie i pulchnych policzkach, ale na Leszka – ani spojrzy. Za to chłopak spogląda na gwiazdora spode łba i czerwieni się tak bardzo na pryszczatej twarzy, że aż małej siostrze żal się robi dużego brata.

– A dla Leszka? – pyta. – Dla Leszka nic nie masz? On był grzeczny, Gwiazdorku, grzeczniejszy ode mnie. Daj i jemu coś! – wstawia się za podziwianym starszym bratem Magda i zerka prosząco w surową twarz Mikołaja.

Leszek przekonuje się niebawem, że Święty Mikołaj nie jest pamiętliwy.

Piękna Mariolka czuje się nieswojo, gdy jej siostry – bliźniaczki Jola i Ola oraz cztery lata starsza od nich Tola – obskakują Mikołaja. Ten rozdaje wszystkim prezenty, nie pomijając Mariolki, która jednak co rusz umyka do kuchni, że niby, jak na dobrą i najstarszą córkę przystało, bez pomagania mamie nie potrafi wytrzymać pięciu sekund. Mikołaj przyłapuje ją między kuchnią a dużym pokojem, kiedy obie ręce Mariolka ma zajęte: niesie kawę dla mamy i popielniczkę dla taty. Gwiazdor pochyla się nad nią, patrzy długo i głęboko w szeroko otwarte, lekko przestraszone oczy, potem pięknie się do Mariolki uśmiecha i całuje dziewczynę w czoło.

– To za szczery komplement i za to, że lubisz Barnabę.

Mała córeczka Lidki z początku boi się wielkiego jak niedźwiedź Mikołaja z dużym brzuchem i ogromną brodą. Nieśmiało chowa się za babcię. Jednak nie mija pięć minut, a po strachu nie ma śladu. Inga wdrapuje się na kolana Mikołaja i wtula z miłością w miękką brodę.

Przemo, który wpadł na moment, by złożyć życzenia i dać prezent Lidce, ma ochotę powiedzieć coś głupiego – żeby się nie wydało, jak mu

głupio.

Zmieszana Lidka popatruje na Gwiazdora i bawiącą się jego wąsami córeczkę. Niespodziewanie zmieszanie mija; młoda mama uśmiecha się szeroko.

– Jaka ona mała przy twoim brzuchu, Mikołaju – mówi. – A jaka szczęśliwa! Dobrze, że przyszedłeś.

Mama Lidki, filigranowa pani Ala, ociera oczy wierzchem dłoni.

Przemkowi już nie jest głupio. Za to kręci głową i coś mruczy pod nosem, ale nawet jeżeli przeklina, to bez złych zamiarów; po swojemu ratuje się przed wzruszeniem.

Tata Lidki, chudy i wysoki jak tyka pan Zenon, proponuje szanownemu gościowi kielicha.

Brat Lidki, niewysoki piętnastoletni Bartek, zwany Leniem, odprowadza Mikołaja do drzwi i mocno ściska jego rękę.

– Dawno u nas nie było tak fajnie – tłumaczy.

Kiedy Mikołaj obsypuje starszą panią Marek, babcię Michała, uśmiechami i podarkami, jej wnuk udaje, że go nie poznaje. Dopiero szturchnięty poufale w bok i zapytany, czy aby był grzeczny, bąka:

– Przepraszam, stary, tak jakoś głupio wyszło...

Barnaby wciąż trzyma się zły humor. Nie pomaga ani karp w szarym sosie, ani specjalność pani Rysi – zupa grzybowa. Gdy zjawia się Mikołaj, chłopak wita go nieprzyjaźnie:

– Po coś przylazł? U nas nie ma dzieci.

– Nie powiedziałbym – odpowiada Mikołaj i zręcznie omija Barnabę, jakby był smukłą tancerką, a nie brzuchatym, postawnym jegomościem w futrze.

Rozsiada się na prostym, niewyścielanym krześle, poluźnia pas, zdejmuje czapkę, poklepuje psa, który trąca go wilgotnym nosem w rękę. Częstowany, kosztuje zupki, chwali, nie pogardza pierogami, wypija herbatę z cytryną. Następnie z brylantowym uśmiechem wręcza skromne prezenty pani i panu domu, a Szarikowi rzuca wielką kość. Szarik odwdzięcza się radosnym machaniem ogona. Od kiedy mieszka w tym domu, jeszcze nie widział takiej wielkiej kości. A mieszka już dziewięć lat. Dokładnie. Ośmioletni Barnaba dostał pod choinkę młodego prawie

wilczura, prezent, o jakim nie śmiał marzyć. Przecież pies, nawet nierasowy, kosztuje, jeszcze jedzenie, obroża, szczepienia... – tak sobie tłumaczył rozsądny chłopiec i nie prosił rodziców o szczeniaka pod choinkę, ale oni jakoś sami odgadli. Psa dostali za darmo, ze wsi, od kuzynki pani Rysi. „Przybłąkał się, jutro będzie tydzień, ogonem machał, łasił się... Miły, ufny, ale kotom jedzenie wyjada, za kurami goni, uciekł komuś albo co... Bierzcie, dobry psiak, tylko duży może być...” – Szarik wzdycha, wspominając.

Barnaba rozpakowuje paczkę z czarnymi dżinsami.

– I co, jednak stryjek nie zawiódł? – drwi. – Mama! – Rzuca pani Rysi ostre spojrzenie. – Po co żeś się wykosztowała na tego cudaka?

Ryszardzie Zarębskiej robi się przykro. Mąż uspokajająco gładzi ją po ręce.

– Synu, jak możesz, przecież to ty sam...

– Ja? Ja miałbym zaprosić do domu tego oszusta i jeszcze mu za to płacić?!

– Myśleliśmy, wy... – zająknął się pan Rafał – wydawało nam się, że to rodzaj takiego niezwykłego prezentu i bardzo nam się spodobał, synku, dziękujemy.

– Mnie nie dziękujcie, ja nie mam z tą szopką nic wspólnego! – krzyczy Barnaba i chce uciec do swojego pokoju.

Zatrzymuje go smutny głos Mikołaja.

– Aleś ty zatwardziały. Wyparłeś się mnie po raz trzeci i do tego sprawiłeś przykrość swojej matce. Dość złego jak na jeden tak uroczysty dzień, nie sądzisz? O północy bydlątka zaczynają mówić – Mikołaj puszcza oka do Szarika – ale czasami ludziom, którzy o to dostatecznie mocno zabiegają, przytrafia się coś wręcz przeciwnego.

Potem pozwala Barnabie skryć się za drzwiami swojego pokoju, ale z jego rodzicami jeszcze przez pół godzinki prowadzi zajmującą pogawędkę na temat hodowli parzystokopytnych w warunkach arktycznych.

Chłopcy siedzą na dywanie wśród góry papierów, pudełek, nowych zabawek, dresów, słodyczy i sami nie wiedzą, za co się najpierw złapać. Babcia przymierza gustowną marynarsko-konferencyjną piżamę. Tata ze szczęściem w oczach ogląda butelkę czarnego Jasia Wędrowniczka.

Dziadek miota się po pokoju; segreguje sznurki, wstążki, worki i papierki, a potem wszystko pakuje do reklamówek i wynosi do kuchni.

– Ale fajne klocki! – krzyczy Jędrek i grzechocze pudełkiem z Lego.

– Jajne loki! – potakuje Mateusz i też grzechocze. Po czym obydwaj rozsypują te klocki po całym dywanie, co przyprawia dziadka o palpitacje pedantycznego serca.

Joanna Tamicka przygląda się swoim synom. Teraz przymierzają potworne tygrysie maski. Mówią przy tym grubym głosem i straszą się nawzajem, ale nikt się nie boi, bo co rusz wybuchają śmiechem, piszczą z uciechy i turlają się po klockach. Ubrani w swoje nowe czerwone dresy wyglądają jak dwa małe skrzaty.

„Mikołaj jest albo nie – rozważa Joanna, patrząc na swoje dzieci – ale krasnoludki są na pewno”.

Dziadek bierze od Jędrka tygrysią maskę i zakłada na twarz. Dziecięca maseczka z trudem zasłania mu nos, oczy i usta; cała reszta – z czołem, pokaźną brodą i rumianymi policzkami – wystaje poza kolorowy plastik. Groźny dziadek wydaje z siebie niskie pomruki i stroszy siwe futro na rumianej głowie.

Teraz cała rodzina turla się ze śmiechu po dywanie, klockach, prezentach i niesprzątniętych bibułkach...

Północ. Szarik przeciąga się i podchodzi do Barnaby. Liże go po ręce. Chłopak ogląda telewizję. Rodzice już śpią.

„Pewnie chce wyjść – myśli Barnaba. – O nie, stary, nic z tego – chce powiedzieć, ale nie może. – O rany, ja...”.

– Chcę wyjść – oświadcza Szarik nieco szczekliwym głosem. – Co ty na to, stary? No co, mowę ci odjęło? Przecież Mikołaj mówił, że bydlątka... O wsza noga! Zapomniałem, Mikołaj wspominał też o ludziach, że może ich spotkać coś dziwnego, jak się postarają, a ty się starałeś... że niech cię kot osika!

„Zamknij się!” – chce krzyknąć Barnaba. Potem jego myśli płyną dość jednostajnym torem; klnie bezgłośnie, choć wyraźnie porusza wargami.

– Głupio nie móc mówić, co nie? Wiem coś o tym. No to jak, idziemy na ten spacer? Przewietrzysz się trochę, odetchniesz świeżym powietrzem, zapalisz, może głos ci wróci, pogadalibyśmy sobie. Na przykład o tej obrzydliwej wołowej wątróbce, którą mi kupujecie od święta, bo ponoć tak

ją uwielbiam. Już bym wolał świńskie ucho! Wybacz, ale ja nie jestem kotem, żeby zażerać się wątrobą.

„Cholera, niech to szlag!” – myśli Barnaba. Ale nagle wszystkie jego myśli cichną jak ucięte nożem. Jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro lodowatej wody. Otrząsa się. Krople złości i rozgoryczenia pryskają na boki. Oszołomienie znika. Głos wraca.

– On był prawdziwy... – szepcze niemalże z nabożną czcią i siada na podłodze. – To był prawdziwy Święty Mikołaj, Boże! – Pochyla głowę i wybucha śmiechem z głębi serca. – Jak rany, prawdziwy. – Spogląda w górę, patrzy poza sufit, mówi:

– Dziękuję ci, Święty Mikołaju, dziękuję bardzo.

– A proszę bardzo – mógłby odpowiedzieć Święty Mikołaj.

I czasami odpowiada.

ROZDZIAŁ SZESNASTY
czyli wiosna, panie Alojzy.

Wiosna na dobre zawitała na osiedlu Orła Białego. Można to było poznać po rozebranych samochodach i leżących pod nimi rozebranych facetach.

Na parkingi przed i za blokiem numer dwa wylegli osiedlowi Don Kichoci i pełni wiosennego zapału zabrali się do dzieła. Przy każdym z nich tkwił dzielny Sancho Pansa, który nie szczędził ani zainteresowania, ani okrzyków pełnych zachęty. Uwagi i porady fachowe latały w powietrzu niczym kolorowe motyle, a przyjaźń i pomoc dobrosąsiedzka kwitły piękniej niż mlecze i koniczyna na pobliskiej łące. Błędni rycerze, okryci zbroją starych koszulek i wytartych na siedzeniu spodni, bez lęku wczołgiwali się pod brzuchy okrutnych smoków, które warczały, telepały się bądź milczały złowieszczo. Ten ostatni rodzaj mechanicznych potworów był najgorszy. Pojazd taki sprawiał wrażenie trupa, rzęcha nie do ruszenia, ale wystarczyło go popieścić w odpowiednim miejscu pod maską, a pluł smarem, gubił rdzawe łuski i wydawał przejmujące do głębi dźwięki.

Niedościgłym mistrzem takich pieszczot był Alojzy Wróbel z czwartego piętra, który zaliczał się do najdzielniejszych Sancho Pansów. Pan Alojzy zawsze wiedział, gdzie puknąć, walnąć, dokręcić, wymienić, poskrobać czy... pomodlić się, żeby działało. W dziedzinie silników dwu- i czterosuwowych Alojzy Wróbel – instruktor w Szkole Nauki Jazdy na Starym Żegrzu – nie miał sobie równych. Wśród rycerskiej braci samochodowej jego słowo było święte.

Gdybyż w domu pan Alojzy cieszył się podobnym mirem i poważaniem, gdybyż szanowano go i słuchano w ten sam pełen uwagi sposób... Niestety pani Wróblowa nie traktowała męża jak należy. Jego talentów nie zauważała, opinie lekceważyła i w ogóle była zdania, że Lolek to dobry człowiek, ale niezbyt rozgarnięty. Taka ofiara losu, za którą trzeba myśleć i decydować, bo inaczej gotów sobie krzywdę zrobić. Bez przerwy na niego

narzekała, wciąż go strofowała, czego by pan Alojzy nie robił – robił źle i bez sensu.

– Nic nie potrafisz załatwić – wyrzucała mu – nawet samochodu. Wielki pan instruktor od siedmiu boleści! Gdyby nie mój brat, nadal byś jeździł tramwajem. A jak było z telefonem, co? A ten twój gust... Jest po prostu żałosny, słyszysz mnie, ża-ło-sny! Tylko spójrz na siebie. I powiedz mi, czemu nie nosisz krawata, który ci kupiłam? A czapka, którą ci zrobiłam? Taka ładna czapka, a ty wolisz ten swój idiotyczny beret. Niczego nie potrafisz docenić. Syn Kołbasiukowej może chodzić w takiej czapce, ale szanowny pan nie może, musi wybrzydzać.

Pan Alojzy nieśmiało próbował oponować, że syn Kołbasiukowej chodzi w tej czapce do piątej klasy, ale oczywiście nikt go nie słuchał.

– Żebyś choć watę do uszu włożył, ale też nie, bo nie wypada. „To, Marysiu, nie wypada, jakoś tak głupio z watą w uszach”, tak mi powie, ale dostać zapalenia ucha, nie będzie mu głupio, co? Ja cię już teraz ostrzegam. Jeśli znowu się rozchorujesz, to miej pretensje wyłącznie do siebie. Skończyłam!

Jak można żyć w ten sposób?

Pan Alojzy nauczył się ustępować. Marianna Wróbel była kobietą postawną, żeby nie powiedzieć tęgą, z dużym biustem i niezłym zamachem; jej mężowi natura poskąpiła zarówno wzrostu, jak i muskułów; nawet utyć nigdy mu się nie udało. Nic więc dziwnego, że pan Lolek rzadko kiedy dyskutował ze swoją połowicą, a prawie nigdy jej się nie sprzeciwiał. Alojzy Wróbel nie był samobójcą – ulegał w obliczu przeważającej siły. Milczał i potakiwał, zaś kiedy mógł, wymykał się na parking. Tu dopiero nabierał odwagi, elokwencji i pewności siebie. Wszyscy go tu słuchali z zainteresowaniem, wręcz dopominali się o światłe uwagi „drogiego pana Alojzego”. Nikt tu nie śmiałby go nazwać głupkiem, niedorajdą albo kazał się zamknąć, bo tylko bzdury plecie.

Dlatego Alojzy Wróbel kochał wiosnę. Po długiej zimie milczenia i potakiwania dusza Alojzego wyrywała się ku wiośnie niczym hoża dziewucha do jurnego chłopa. Jednakowoż pani Wróblowej niespecjalnie się podobało, że mąż aż nazbyt chętnie schodzi jej z oczu. Wolała mieć go pod ręką, bo chociaż cichy i zgodny mąż pantoflarz drażnił ją niepomiernie, to jego nieobecność doprowadzała ją do szału.

– Jestem twoją żoną, kościelną i urzędową, nie wolno ci mnie unikać! Nie, nie, mój drogi, ty nie masz własnego życia, mamy wspólne życie, ty i ja, lepiej to sobie zapamiętaj.

Sterroryzowany pan Alojzy pamiętał, bo nie miał innego wyjścia.

Dzieci wyrosły, poszły z domu i rzadko ich odwiedzały. Również o to Marysia miała do niego pretensje. Może faktycznie zawinił...

Może naprawdę był do niczego, skoro nie umiał wywalczyć dla siebie drugiego telewizora? Na jego prośbę, by kupili chociaż mały, taki na antenę pokojową, pani Marianna stwierdziła, że kupowanie drugiego telewizora to wyrzucanie pieniędzy w błoto, a szanownemu panu nie zaszkodzi, gdy poogląda sobie coś innego niż te durne horrory.

A tak mu zależało... Zawsze oglądali to, na co ona miała ochotę, z reguły zaś miała ochotę na coś zupełnie innego niż on. Ona lubiła seriale i teleturnieje, on filmy przyrodnicze i kryminały, ona – programy rozrywkowe, on – sport. Pani Marianna od czasu do czasu również lubiła pooglądać sobie jakiś mecz.

– W końcu piłka nożna to taki męski sport – mawiała.

Tyle że akurat za piłką nożną Alojzy Wróbel nie przepadał.

– No oczywiście, ty byś wolał Auto Magazyn i targi samochodowe albo relację z rajdu Monte Carlo, co? Albo jeszcze lepiej... małą corridę na satelicie?

Istotnie, skromny, małomówny i szary Alojzy Wróbel wprost pasjonował się czymś tak egzotycznym, niepolskim i krwawym jak corrida. Kiedy więc jakieś dwa lata temu – pomimo protestów ekologów i jaroszy – na występy do Poznania przyjechała CORRIDA PROSTO Z HISZPANII, pan Alojzy ze szczupłego zaskórniaka wysupłał pokaźną sumę pięciuset tysięcy złotych i kupił bilet.

Potem wystarczyło, że znalazł sobie zastępstwo w pracy, trafił na dobry humor Marysi, ładnie poprosił... i w sobotę, punktualnie o siedemnastej, mógł wygodnie usadowić się na stadionie przy Bułgarskiej.

Widowisko okazało się przereklamowane, byki za małe i wyliniałe, torreadorzy jacyś wymięci. Ale Alojzy Wróbel i tak był zachwycony. Nie zauważał kiczu, jarmarcznej scenografii, odpustowej pozłoty. Widział kolorowe stroje, brawurę, piękne kobiety i wspaniałych mężczyzn; chłonął przedstawienie tchnące przygodą i tajemnicą. Jacy ci torreadorzy odważni, jacy zdecydowani, jacy sprytni! Być takim jak oni, choć raz być

torreadorem, a nie łagodnym byczkiem Fernando, który wącha kwiatki i kocha spokój...

Co do spokoju, państwo Wróblowie prowadzili bujne życie towarzyskie. Konkretnie, pani Wróblowa je prowadziła. Gdy bowiem szykowało się kolejne przyjęcie, jedynym pragnieniem pana Alojzego było uciec z domu jak najdalej albo choćby zamknąć się w łazience na czas trwania tego cyrku. Niestety. Małżonka nigdy by mu na to nie pozwoliła.

– Tylko nie myśl, że się wykręcisz jakąś pracą po godzinach albo obiecanym dawno temu przeglądem silnika. Przyjdą moi bracia z żonami, moje koleżanki z pracy z mężami, moi partnerzy od brydża, moi znajomi z sanatorium i twoje siostry.

– Moje siostry... – Pan Alojzy ciężko westchnął. Trzy jego siostry równie dobrze mogłyby być siostrami jego żony; tak do niej pasowały pod względem charakteru, postury, upodobań i tego samego słoniowatego wdzięku.

Tym razem pani Marianna świętowała swój awans na kierownika Wydziału do Spraw Podatku VAT. O drugiej po południu (gości umówiła na piątą) szalała po domu w wałkach na głowie i różowej podomce. Pan Alojzy schodził jej z drogi, z pomocą się nie wyrywał, a i tak mu się oberwało.

– Boże, jak ty się snujesz po tym domu, z kąta w kąt, z kąta w kąt! I czemu nosem kręcisz? Nie podoba ci się coś? Jak zwykle! Szanowny pan wiecznie niezadowolony! Jak by się człowiek nie starał, jemu nigdy nie dogodzisz, zawsze będzie nosem kręcił. Że niby brzydko pachnie? Jak się w jednym garnku gotuje kapustę, a w drugim szparagi, to musi śmierdzieć, nie ma rady. Już ty mi lepiej zejdź z oczu, nie przeszkadzaj. Zapomniałam paru rzeczy. Ubierz się i idź do sklepu. Masz tu siatkę i pieniądze, tylko nie zgub! Kup cztery, nie, pięć kawiorek, dwie kostki masła i ze dwie butelki wina, wódkę już mam, wino jakieś dobre kup, deserowe, żebyś mi znowu tandety do domu nie przyniósł! Tobie zawsze wcisną byle co. Aha, i jakieś ciastka. No, idź, idź, tylko ze sklepu prosto do domu, nigdzie nie łaź.

– Tak, Marysiu.

Pan Alojzy kupił, co trzeba, i ruszył z powrotem. Po prawdzie, nieco się ociągał. Pogadał z sąsiadem, zajrzał na pocztę, popatrzył, jak wywożą śmieci, i jakoś tak przypadkiem zawędrował na parking za blokiem, gdzie

ten sympatyczny Tamicki męczył się od rana ze swoim maluchem, a przecież wystarczyło...

Nim się zorientował, minęła godzina.

Z bijącym sercem, na miękkich nogach stał parę chwil na wycieraczce przed drzwiami swojego mieszkania. „Przecież mnie nie zabije” – pomyślał optymistycznie i wszedł do środka.

– Gdzie ty byłeś, co?! Gdzie znowu polazłeś?! – Skruszona mina na niewiele się zdała. W pani Mariannie aż się gotowało i musiała sobie ulżyć. – Znowu tym cwaniakom samochody naprawiałeś, hę? Oczywiście za darmo. Cały ty! O mnie nie pomyślałeś. Kupa roboty, a ciebie oczywiście nie ma! Zawsze, kiedy jesteś potrzebny, to cię nie ma!

– Ależ, Marysiu, sama mówiłaś, że ci przeszkadzam i...

– Dobrze wiem, co mówiłam. Miałeś kupić wino i jakieś ciastka, a nie znikać na pięć godzin i szwendać się nie wiedzieć gdzie.

– Kochanie, nigdzie się nie szwendałem, nie było mnie najwyżej pół godzinki.

– Nie rezonuj mi tu! Już ja lepiej wiem, ile cię nie było. Zaraz się goście zejdą, a w chałupie alleluja! Dawaj te siatki i rozbierz się.

Chwila ciszy.

– Na Boga! I coś ty tu kupił? Pierniczki?! Miały być ciastka, nie żadne pierniczki. A masło? No jakie ty masło kupiłeś? I białe wino! Miało być czerwone, czerwone, Boże, co za... A kawiorka?! Gdzie jest kawiorka, ja się ciebie pytam?

– Nie było kawiorki, kupiłem dwa chleby.

– Trzeba było poszukać. Nie, czy ty już naprawdę niczego nie umiesz zrobić jak należy, nawet zakupów? Dwa chleby! Przecież to za mało.

– Pójdę dokupić.

– Ani mi się waż! Za co Bóg mnie pokarał taką ofermą? Nie wyjdziesz dzisiaj z domu na krok. Jeszcze cię okradną. No nic. – Pani Maria wzruszyła pulchnymi ramionami i potrząsnęła głową, całą w ślicznych fioletoworóżowych loczkach. – Na razie odkurz mieszkanie, tylko porządnie, pod łóżkiem, pod fotelami i za firanką też. Potem się przebierz. Ubranie położyłam ci na krześle.

Przyjęcie przebiegało według znanego od lat scenariusza. Najpierw buziaki, uściski, kwiaty, życzenia, prezenty, gratulacje i wszystkie te „ochy”

i „achy”; potem sadowienie się przy stole, długie, przeplatane żarcikami, komplementami i nowinkami. Później przychodziła pora na panią domu, która miotając się między kuchnią a dużym pokojem, znosiła na stół coraz to nowe smakołyki. Goście jedli, chwalili, gospodyni się rumieniła; goście dalej jedli, chrząkali z ukontentowania, dyskretnie bekali i tęgo zapijali, „co by nam w gardle nie zaschło”. Gdy już towarzystwo podjadło sobie i podpiło, rozpoczynała się część artystyczna. Plotki, anegdoty i najnowsze kawały leciały na zmianę z polityką, opowieściami o chorobach i pogrzebach. Gdzieś koło dziewiątej na stół wjeżdżały torty, ciasta, czekoladki, wino, nalewki i papieroski. (Tym razem w ślubnych kryształach pani Marianny panoszyła się biała półwytrawna Sofia, fuj, a jeden ze spadkowych porcelanowych talerzy bezcześciły nieszczęsne pierniczki, fuj, fuj). Apetyty dopisywały, humorki też. Atmosfera robiła się coraz gorętsza i bardziej swobodna, podobnie jak uczestnicy przyjęcia, którzy odpinali guziki, poluźniali krawaty, zdejmowali żakiety i marynarki. Dowcipami, już nie tak nowymi, sypano jak z rękawa, zwłaszcza że nikogo już nie obrażały słowa na „ch”, na „k” i na „dupa”. Koło północy ktoś intonował odwieczną pieśń wszystkich imprezowiczów „Góralu, czy ci nie żal” i zaczynały się występy chóralne. Gwóźdź programu! Nikt się nie przejmował tonacją, równym brzmieniem czy chrypą. Jak zabawa, to zabawa! Głośno, z przytupem i gwizdami. W tym momencie przyjęcia głowa pana Alojzego była już wielkości dyni. Wymykał się więc ukradkiem do łazienki, zamykał na klucz, łykał neospasminę na przemian z gardanem i... czekał, sam nie bardzo wiedząc na co. Może na jakiś cud albo trzęsienie ziemi, albo jeszcze lepiej – tajfun, który wymiótłby tych wszystkich ludzi z jego domu. Z domu Marysi... z Marysią... Ech, a kiedyś miał taką miłą, ładną żonę.

I tym razem dezercja pana Alojzego nie przeszła niezauważona.

– No widziała pani mojego męża – zwróciła się Marianna do znajomej z sanatorium. – Znowu się schował, taki z niego mruk. Alojzy! – krzyknęła w stronę łazienki; jej głos bez trudu przebił się przez panujący w pokoju gwar rozmów i toastów. – Alojzy, czekamy! No widzi pani, ani mru-mru, co ja mam z tym... w ogóle nie umie się bawić. Dla niego jedyną rozrywką jest grzebanie w cudzych samochodach, rozumie pani, obcym ludziom naprawia auta! Gdyby choć brał za to pieniądze, drugą pensję by wyciągnął, ale on tylko: „Marysiu, to nie wypada, sąsiad prosi, nie godzi się brać pieniędzy”. Mówię pani, jaki on niedzisiejszy, ten mój Lolek.

– Co, o Lolku mówicie? – wtrąciła się Klara, najstarsza siostra Alojzego. – On zawsze był taką niedojdą, kochana Marysiu. Ile mama się nad nim napłakała, ile ojciec pasów zdarł, nic nie pomogło. Jak nie z naszej rodziny, jak nie z tej planety, pani kochana, my wszyscy obrotni, a on podrzutek jaki czy co.

– Słyszę, że znowu Lolkowi tyłek obrabiacie. – Mąż Klary, Wacław Stańczak, włączył się do dyskusji. – Dajcież wy temu biedakowi spokój. Aż się schował przed wami w łazience. Pozwólcie mu, kobitki, trochę odsapnąć. Jak wróci, to osobiście mu głowę zmyję, że damy zostawia same i pozwala, żeby szwagrowi kieliszek wysechł, he! he! – Pan Wacek zaśmiał się rubasznie. – A jak tam, Marysiu, prezent od nas, pasuje?

– Prezent od was...? – Pani Marianna wpadła w lekki popłoch. – To wy daliście mi ten... – zawahała się.

– To my daliśmy ci te piękne firanki do kuchni – dokończyła za nią pani Klara i podejrzliwe zmrużyła oczy. – Nie podobają ci się? Zawsze mówiłaś, że marzysz o takich haftowanych.

– Ależ, kochana, oczywiście, że mi się podobają! – Gospodyni niemal zachłysnęła się z zachwytu. – Są piękne, cudowne, zaraz je zawieszę.

– Może to nie najlepszy pomysł, kochanie, może ja... – Gardan w połączeniu z neospasminą zaczął działać i pan Alojzy z nowymi siłami wrócił na przyjęcie.

– Co ty tam wiesz! – prychnęła pani Wróblowa. – Przynieś ten mały stolik z przedpokoju – zaordynowała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Normalnie do wieszania zasłon używała stołu kuchennego, małego stołeczka i swojego męża, teraz jednak na blacie stały fury brudnych naczyń, a co do Lolka, to jak on śmiał tak do niej mówić! Jak śmiał sugerować, że jest głupia i nie wie, co robi? To jeszcze zobaczy!

Goście – zaciekawieni rumorem, jaki wywołał pan Alojzy, walcząc ze stolikiem, na który spadły płaszcze i marynarki – ściągnęli do kuchni, żeby popatrzeć, co się dzieje. Zanosiło się na niezłą zabawę. Dlatego głośno sekundowali gospodyni w dyrygowaniu panem Lolkiem.

– On nie wytrzyma, Marysiu, twojego cięż...

– Tu postaw, pod oknem! I nie dyskutuj ze mną. Lepiej w ogóle zamilcz, bo się ośmieszasz. Klaro, wytłumacz swojemu bratu.

– Nie tu, Loleczku, braciszku, troszkę w lewo.

– Nie słuchaj bab, szwagier, w prawo dawaj!

– Tu! Dobrze. Teraz postaw na środku ten wysoki stołek.

– Nie, panie Lolku, to nie jest środek...

– Teraz przynieś ryczkę z łazienki. No... w porządku. Pomóż mi wejść. Mówiłeś coś?

– To się może zawalić, a ty piłaś i nie ważysz pięć albo dziesięć kilo – zaszemrał pan Alojzy w ostatniej desperackiej próbie uniknięcia nieszczęścia.

– Mam mocną głowę, w przeciwieństwie do ciebie. Trzymaj ten stołek, mówię ci!

Pan Alojzy trzymał. Trzymał też oczy zamknięte.

– Klaruniu kochana, podaj mi te piękne firanki, zaraz je zawieszę.

– Może byś tak podsadził Klarę? – zażartował pan Wacek. – Ja za ciebie potrzymam.

Alojzy Wróbel postawił obok stolika krzesło i pomógł wejść na nie swojej siostrze. Na żonę nawet nie spojrzał.

– No, no, Marysiu, nie wiedziałem, że gustujesz w jedwabnej bieliźnie. – Marianna zachichotała jak nastolatka. – I niech ja skonam, ale nogi! Fiu fiu... – Pan Stańczak, który bezwstydnie zaglądał szwagierce pod spódnicę, puścił oko do reszty towarzystwa, w tym i do Alojzego. – No, no, stary, bez obrazy, ale sam przyznaj, niezły skarb ci się trafił, musisz być o nią zazdrosny jak cholera. – Drogi Wacek, klepiąc szwagra przyjacielsko po ramieniu, ustąpił mu miejsca w trzymaniu.

– Zobacz, Klaruniu, jak pięknie. – Pani Marianna przypinała właśnie piątą żabkę. – Tylko nie puść, Alojzy – upomniała męża.

– Yhm – odburknął, czując, że dzieje się z nim coś dziwnego.

– Jeszcze jedna, druga... prawie gotowe, czwarta... osta... – Pani Marianna wychyliła się w kierunku ostatniej, najodleglejszej żabki; jeszcze centymetr, milimetr... – Oooch! AAA...loooj...zyyy...! – dobiegło nagle z góry. Kobieta zachybotała się na szczycie drewnianej góry stołków i stolików.

– Alojzy, zrób coś, zaraz spadnę! Trzymaj mnie!

Alojzy trzymał, ale stolik nie wytrzymał. Trzasnął i pękł na pół.

Pierwszą myślą Wróbla było: „Łapać”, drugą: „Przecież mnie zgniecie, głupia baba!”, trzecią: „A co mi tam...”; potem przestał myśleć, zaczął działać. Energicznie szarpnął za obrus, leżący na kuchennym stole. Stosy naczyń poleciały z hukiem na podłogę. Alojzy Wróbel nawet tego nie

zauważył. Wbił wzrok w chyboczącą się pupę swojej żony, wspomniał dawne marzenie: „żeby choć raz, choć jeden raz być...” i przybrał odpowiednią postawę. Szeroko rozpostarł ręce, w których trzymał obrus, naprężył ramiona, wciągnął brzuch, lekko pochylił głowę...

Wszyscy wstrzymali oddech. „Przecież nie uda mu się jej złapać! Co on chce zrobić? Boże...!”.

Gdy pani Marianna przestała się chybotać, a zaczęła spadać – prosto na głowę swojego męża – pan Wróbel krzyknął na całe gardło:

– Oooole! – I w ostatnim momencie zrobił piękny, przepisowy unik.

Po huku, trzasku i mrożącym krew w żyłach wrzasku pani Marianny – zapadła ociekająca sosem, winem i pierniczkami cisza...

Potem był krzyk, wstyd, bieganina, pogotowie, złamana ręka, zwichnięte biodro, wstrząs mózgu, tydzień w szpitalu na obserwacji, sprawa rozwodowa w toku...

I pan Alojzy, który – co spojrzał na swoją żonę – wybuchał śmiechem. Głośnym i niepohamowanym. Aż mu łzy z oczu leciały.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
czyli o przesiadywaniu i jego skutkach oraz o trudnej sztuce współczucia bliźnim.

Joanna Tamicka wiele czasu spędzała na placu zabaw za swoim blokiem. Od czterech lat z okładem, to znaczy od czasu gdy jej starszy syn nauczył się chodzić i posługiwać łopatką, przywykła traktować plac zabaw jak swój drugi dom. Czasami wydawało jej się, że jedynym zadaniem, jakie w tym życiu wyznaczył jej los, jest obserwowanie przemian, którym ulegał niewielki placyk – poddawany bezlitosnemu działaniu czasu, pogody, psów, kotów, osiedlowych pijaczków oraz dzieci i młodzieży w wieku rozmaitym.

Plac zabaw teoretycznie nie wyróżniał się niczym szczególnym – ot kawałek przestrzeni z piaskiem, huśtawkami, drabinkami, konikami i ławkami. Teren miał kształt trójkąta, ogradzała go asfaltowa droga dla rowerków, dwa ciągi przerzedzonych krzewów oraz trawnik, na którym chłopcy grali w piłkę pomiędzy rosnącymi gdzieniegdzie rachitycznymi drzewkami.

Wiosną, gdy słonko zaczynało mocniej przygrzewać, ławki i huśtawki odmalowywano, a na samym środku trójkąta, gdzieś między jedną a drugą piaskownicą, zwalano ciężarówkę piasku, by kochani milusińscy mieli co rozrzucać małymi rączkami i rozdeptywać pracowitymi nóżkami. Latem trawę strzyżono, a jesienią dosadzano nowe drzewka i krzaczki, którym towarzystwo dzieci wyraźnie nie służyło. Na to, by koniki nie skrzypiały, potłuczone butelki nie walały się gdzie popadnie, huśtawek systematycznie nie ubywało, a psy nie obsikiwały ławeczek – do tej pory sposobu nie wynaleziono.

Tak więc placyk jak placyk, nic szczególnego, ale za to blisko, zaraz za blokiem. I z powodu owej wygodnej bliskości Joanna przedkładała

trójkątny plac nad inne place (nawet opatrzone zjeżdżalnią czy wymyślniejszym systemem drabinek). Bez przesady mogła go nazwać swoim placem, a niewątpliwa więź emocjonalna łącząca ją z tym miejscem wyróżniała właśnie ten niepozorny placyk z rzeszy innych bezimiennych, bliźniaczo do siebie podobnych placyków.

W trosce o swoje zdrowie psychiczne umilała sobie godziny spędzane na swojej ulubionej niebieskiej ławce, jak umiała. Książka, walkman, ciacho, obserwacje bliźnich, nawet podsłuchiwanie sąsiadek z czerwonej ławki. Ale nieraz frustracje młodej matki, niepracującej żony i nudzącej się młodej kobiety osiągały punkt krytyczny i Joanna wybuchała. Krzyczała, płakała, histeryzowała, mówiła: „mam dosyć, już nie mogę, nikt mnie tu nie szanuje, nie mam swojego życia, dzieci traktują mnie jak służącą, ciebie interesuje wyłącznie moje ciało, a dusza...? Moja dusza cierpi!”.

Wtedy mąż zabierał Joannę do kina albo do jakiejś restauracji, albo kupował jej coś ładnego. Mówił też: „jesteś piękna, wszyscy cię potrzebujemy i wszyscy bardzo cię kochamy”; dzieci tuliły się do niej i choć nie miały pojęcia, o co ta cała heca, płakały razem z nią, obiecywały, że będą grzeczne; i to wystarczało. Joannie złość przechodziła. Uspakajała się na jakieś pół roku, do wybuchu następnej histerii; jej dusza wciąż cierpiała, ale mniej, a w każdym razie ciszej.

Tego lata Joanna Tamicka całkiem nieźle radziła sobie ze swoimi histerycznymi nastrojami. Mąż wyprowadzał ją z domu na miasto dość chętnie, synkowie umieli się sobą zająć coraz sprawniej. Zdarzało się, że potrafili wysiedzieć pół godziny na podwórku bez absorbowania jej okrzykami w stylu: „Mama, patrz!” albo „Mama, zoba to!”.

Gdy zaś babcia Grażynka wyjechała w lipcu na dwa tygodnie nad morze, zabierając ze sobą męża i starszego wnuka, Joanna żyła sobie niczym hrabina. Mateuszek, bez brata podżegacza, był co prawda równie głośny i energiczny co zwykle, za to o niebo grzeczniejszy i słodki niczym miód wielokwiatowy. Może nieco bardziej marudny i zagubiony, ale jeden, tylko jeden!

– Wakacje – powtarzała z lubością. – To się nazywa wakacje...

Plac zabaw za blokiem opustoszał. Joanna Tamicka nie musiała się przejmować ani strojem, ani pozą, jaką przyjmowała na ławce, ani działaniami swojego młodszego potomka. Dziecię szalało: krzyczało,

biegało, sypało piaskiem, ujeżdżało na rowerku i było szczęśliwe, jak tylko trzyletnie, niczym nieskrępowane dziecko być potrafi.

Pewnego ranka, gdzieś pod koniec pierwszego tygodnia tych fantastycznych wakacji, Joanna usadowiona wygodnie na ławce – tak, by móc opalać sobie wewnętrzną stronę lewego uda – obstawiona walkmanem ze świeżo nabytą kasetą Stinga oraz, gdyby zachciało jej się czytać, *Trzema panami w łódce, nie licząc psa*, zapadała właśnie w słodki niebyt, gdy naprzeciw niej, po drugiej stronie placu, na ławce koloru popielatego, przycupnęła jakaś kobieta. Joanna zarejestrowała jej obecność zaledwie kątem oka i pogrążała się w niebycie dalej. Dzisiaj miała nadzwyczaj dobry humor. Może z powodu delikatnego wiaterku i kilku chmurek, które osłabiały lejący się z nieba żar lipca. Może z powodu wyjątkowo niekłopotliwego dzisiaj synka, który pokrzykując ochoczo, trenował w piaskownicy skoki w dal i nic innego go nie interesowało. A może z powodu bogatej zawartości torebki. Obok dwóch męskich chustek do nosa, gumy do żucia, portfela, kluczy, paru długopisów, zeszytu, dwóch resorków, czterech kaset, pojazdu kosmicznego z klocków Lego, pięciu duni, opakowania Mamby, starych papierków po cukierkach i wafelkach oraz kilku innych trudnych do zidentyfikowania drobiazgów, w czeluściach skórzanej torebki znalazło się też miejsce dla puszki Coca-Coli, batonika Picnic oraz zawiniętego w papierową serwetkę ciastka francuskiego z jabłkiem. Czyli żyć nie umierać!

Niemniej nieruchoma postać na ławce naprzeciwko zakłócała nieco tę sielankę. Joanna przyjrzała się uważniej. Kobieta. Wiek nieokreślony. Mogła mieć równie dobrze trzydzieści kilka, jak czterdzieści kilka lat. Po prostu wyglądała na niemłodą, zmęczoną. I płakała. Oczy miała szeroko otwarte, wbite w niewidoczny punkt na piasku, jej ręka zgięta w łokciu leżała na oparciu ławki, w dłoni tkwiła chusteczka, którą co jakiś czas powolnym, mechanicznym ruchem nakręcanej lalki przytykała do kącików oczu. Joanna poruszyła się nerwowo na swojej niebieskiej ławce. Ściszyła muzykę; nawet pięknej, nastrojowej piosence Stinga nie mogła teraz poświęcić całej swojej uwagi. Czuła, że nie na miejscu byłoby przymknąć oczy i odgrodzić się dźwiękiem od całego świata, podczas gdy na ławce obok ktoś płacze. Ale co mogła zrobić? Nie znała tej kobiety. Nigdy jej tu nawet nie widziała. Pewno płakała, bo była smutna. Może ją okradli albo ktoś jej umarł; może pokłóciła się z mężem albo ma chore dziecko. Albo

wyrzucili ją z pracy, albo ma problemy emocjonalne, albo... Powodów mogło być mnóstwo, a Joanna wcale nie była pewna, czy chce poznać ten właściwy. Miała, ot tak, podejść do obcej kobiety i zapytać, dlaczego płacze? Może tak powinna zrobić, może łzy obeschną, gdy popłyną słowa, ale coś... jakieś dziwne skrępowanie powstrzymywało Joannę Tamicką. Przecież kobieta mogłaby odpowiedzieć, że to wyłącznie jej sprawa, dlaczego płacze, i miałaby świętą rację. Joanna dawno już nie czuła się tak nieswojo i niepewnie. Poczuła też ze wstydem rodzącą się złość na tę kobietę. Bo czemu płacze, czemu właśnie tutaj – jakby nie było innych placów! – i dlaczego akurat wtedy, gdy były tu tylko we dwie. Jej dobry humor diabli wzięli, a dobre mniemanie o samej sobie rozmyło się jakoś.

„Przecież jej współczuję – myślała w popłochu. – Wygląda tak nieszczęśliwie, ale co mogę zrobić, przecież ja jej w ogóle nie znam!”.

Kobieta nie zdawała sobie sprawy z rozterek Joanny Tamickiej i raczej nie oczekiwała od nikogo pomocy. Nie rozglądała się na boki w poszukiwaniu świadków swojego smutku, zarazem nie kryła twarzy. Siedziała sztywna i nieruchoma, jak wykuta w kamieniu rzeźba. Tylko łzy płynęły po bladych policzkach... Gazeta, którą przyniosła ze sobą i której nawet nie zaczęła czytać, zsunęła się ze ściśniętych kolan, spadając na piasek. Nie podniosła jej. Może nie zauważyła, a może... W końcu rzeźby nie potrafią się schylać.

Sting przestał śpiewać o tym, *how fragile we are*, a Joanna stwierdziła, że dłużej tego nie wytrzyma, musi coś zrobić: zdobyć się na odwagę, podejść do nieznajomej i zapytać, czemu płacze, lub spakować manatki i jak najszybciej się stąd wynieść. Jedno i drugie wymagało jednak zdecydowania oraz konkretnego działania.

Joanna westchnęła. Wolno uniosła ręce. Zamierzała zdjąć słuchawki. Nie zdążyła, zsunęła je tylko trochę...

Do nieznajomej podeszła druga kobieta. Stanęła za nią i położyła jej ręce na ramionach.

– Co się stało, kochanieńka, znowu on? Przez niego płaczesz?

Kobieta mówiła normalnie, nie ściszając głosu; nie mogła wiedzieć, że kaseta w walkmanie Tamickiej właśnie się skończyła. Choć gdyby nie wiaterek, wiejący od strony rozmawiających, Joanna niewiele by usłyszała. Pechowo wietrzyk był dość słaby, czasami ustawał w ogóle, czasami

odrobinę zmieniał kierunek, tak więc bezwstydnie podsłuchująca Joanna Tamicka słyszała co drugie słowo.

– Płaczę ze szczęścia, sąsiadko, ze szczęścia... zatłukłam drania... wreszcie. Należało się sukin... jak żadnemu innemu... ale teraz mam kłopot, nie wiem co... zrobić... Dzieci...? pomagały, jeszcze by nie... ale rano na półkolonie musiały iść... Tak, tak, zapisałam je... zadowolona, zadowolona... mają zajęcie... wycieczki... Ale kłopot, sąsiadko... Sama nie dam rady go... szesnastego piętra... A jak kto zobaczy? Nie każdy zrozumie... Pomoże mi pani?! O, sąsiadko kochana, niebo mi panią... ale jak my to zrobimy... Nie, jeszcze nie czuć, ale w tym upale... Tak, mam piłę... worki foliowe też się znajdą...

W tym momencie Joanna przestała słuchać. Nie miała już żadnych wątpliwości – problemy płaczącej kobiety to absolutnie nie jej interes. Z czystym sumieniem przełożyła kasetę na drugą stronę i poprawiła słuchawki na uszach. Spojrzała jeszcze na Mateusza – spokojnie zakopywał się w piasku – więc nie zwlekając dłużej, nacisnęła guzik PLAY i bez najmniejszych wyrzutów sumienia pogrążyła się w muzyce. *If he loved you, like I love you...*

O tak, tak, wakacje...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
czyli o istocie różnicy między meksykańskim tabasco a słodką papryką.

– **M**am anemię – oświadczyła córce pewnego sierpniowego popołudnia Grażyna Grzelak.

– A nie wyglądasz... – odparła Joanna odruchowo i odrobinę nieprzytomnie. Była zbyt skoncentrowana. Akurat nalewała kawę do filiżanek i w obawie przed katastrofą zajęciu temu poświęcała całą swoją uwagę.

– To samo powiedziała pielęgniarka, która wydawała mi wyniki. Że na wszystko jej wyglądam, tylko nie na anemię. Ciekawe, co miała na myśli z tym „wszystkim”? – zasępiła się pani Grażyna.

Wiedziała, jak wygląda. Jak zwykle. Sympatycznie i kwitnąco. Bez względu na to, jak się czuła, jak wiele miała problemów i siwych włosów, jak mało czasu dla siebie i rodziny oraz jak mizerną sumą dysponowała na fryzjera czy nowe ciuchy – zawsze wyglądała zbyt zdrowo, zbyt pogodnie i zdecydowanie zbyt młodo.

Niewysoka, apetycznie zaokrąglona osóbka o zielonoszarych oczach, wysuniętej zadziornie brodzie i dołkach w policzkach; groźna pani doktor Grzelak, znana z tego, że bija studentów i każe im się kąpać przed zajęciami; kobieta niezmordowana, która już ćwierć wieku przemierzała korytarze Akademii Ekonomicznej, drobiąc tanecznie, nie wiedziała, co to apatia i brak zajęć.

I naraz bezduszny komputer wykrył u niej anemię!

– Specjalnie poszłam na te cholerne badania po wakacjach. Że niby świeże powietrze, jod, bezkresne morze, żadnych recenzentów, nienawistnie nastawionych koleżanek, seminariów, tępawych studentów,

namolnych dyplomantów – żaliła się pani Grażyna, wspierając się na drobnych, mocno spracowanych dłoniach (to zdecydowanie nie były ręce intelektualistki). – Miałam być wypoczęta, dziarska i zdrowa jak byk. A tu co?

– Misiu... – Joanna nalała wreszcie kawę, tylko trochę rozlewając na stół, i spojrzała uważniej na zmartwioną twarz swojej matki. – Ty mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Mam anemię. Żelazo dwadzieścia, podczas gdy absolutne minimum wynosi sześćdziesiąt. A u mnie... Dwa-dzie-ścia! Prawie jak u trupa.

– Przecież to niemożliwe!

– A jednak... – westchnęła pani Grażyna, którą powoli ta absurdalna sytuacja zaczynała bawić. Z początku była przejęta, nawet przestraszona, ale teraz, po całym długim tygodniu życia z anemią, przywykła.

A jednak... Potargała grzywkę i jej córka to zauważyła. Odkąd Joanna sięgała pamięcią, jej mama w chwilach zdenerwowania, zawstydzenia bądź niepewności targała loki nad czołem.

– Przecież z takim poziomem żelaza powinnaś leżeć jak betka i ani ręką, ani nogą, nawet jęknąć. Może ten komputer się pomylił?

– Nie. Sprawdzali dwa, gdzie tam dwa, trzy razy! W końcu jestem żoną lekarza, to daje pewne przywileje. Po prostu mam anemię – powtórzyła z uporem godnym hipochondryka.

– I co teraz? – Dorosła córka aż siadła z wrażenia, trącając łokciem filiżankę z kawą.

– Nic. – Grażyna Grzelak wzruszyła ramionami. – To samo co zwykle. Praca. Użeranie się z każdym o wszystko. Nerwówa. Kłody pod nogi. Mało forsy. Normalka. Praca jak praca. Na dokładkę Remik zrzęda w domu. On chyba przechodzi klimakterium, tak sądzę, bo czasami jest nie do zniesienia, bez przerwy komenderuje i narzeka.

– Myślałam, że to już koniec z tą habilitacją... – Joanna Tamicka na razie postanowiła się nie wypowiadać na temat humorów swojego ojczyma i powróciła do głównego wątku, to jest do niebagatelnej roli pracy w życiu doktor Grażyny Grzelak. – Sądziłam, że teraz tylko czekasz na decyzję głównego recenzenta z Warszawy; wreszcie możesz odetchnąć, odpuścić sobie, bo w tym momencie nic już od ciebie nie zależy.

– Niby tak... – wyznała niechętnie przyparta do muru mądra kobieta.

– Widzisz, mam cię! Wakacje to nie tylko stan ciała, które leży plackiem na plaży, moczy nogi w morzu i obżera się rybą z frytkami, to również, moja droga...

– Nie mów do mnie „moja droga”! Tyle razy cię prosiłam! – wybuchnęła nieoczekiwanie pani Grażyna, ale jej córka taktownie zignorowała ten wybuch.

– ...to również stan ducha, wolnego od trosk i upierdliwości życia codziennego, a przede wszystkim stan umysłu, który zwalnia obroty, daje wolne stresowi i buszuje wśród radosnych, niepoważnych, zupełnie nienaukowych myśli. Kapuje osoba?

– Osoba kapuje, ale... osoba tak nienawidzi bezczynności i czekania!

– A czy osoba kiedykolwiek zafundowała sobie taki prawdziwy tydzień nieróbstwa?

– No ostatnio, o ile sobie dobrze przypominam, w drugiej połowie lipca przytrafiły mi się z jakieś dwa tygodnie nad morzem.

– To się nie liczy. To nie są prawdziwe wakacje. Bądźmy szczerzy, mój syn i twój mąż przez dwa tygodnie wykończyliby słonia, co dopiero taką słabą istotę jak ty.

– No, no, tylko nie słabą, wypraszam sobie – obruszyła się pani Grażyna. – Anemik, nie anemik, ale dołożyć potrafię!

– Owszem, owszem. – Roześmiała się wyrośnięta pociecha, o głowę wyższa od swojej rodzicielki. – Pamiętasz minę tego złodziejaszka z Jeżyckiego? Jakby zobaczył UFO, kiedy najpierw wbiłaś mu łokieć w żołądek, potem doprawiłaś torebką po łbie; dobrze, że nie zdjęłaś buta...

– Daj spokój! Jak sobie przypomnę tę jego włochatą łapę w mojej torebce...

Obie panie pogrążyły się we wspomnieniach kombatanckich. Przy czym w działaniach wojennych, toczących się nieustannie na froncie ulic, placów, sklepów, tramwajów i autobusów, pani Grażyna była co najmniej majorem sztabowym, a jej córka zaledwie starszym szeregowcem. Jeszcze się taki nie urodził, który ukradłby coś Grażynie Grzelak. W bezwzględnej walce o byt i swe dobra osobiste ta pozornie niegroźna kobieta rozdzielała ciosy jak zawodowy hokeista. Swój niewielki wzrost wykorzystywała w sposób podstępny i okrutny; jej pięść zawsze miała bliżej do żołądka, stopy, kolana, krocza czy bezbronnej grdyki swej ofiary niż do twarzy. Zresztą

może uderzenie na odlew w gębę daje większą satysfakcję moralną, za to uderzenie w niższe partie daje o wiele lepsze efekty.

Grażyna Grzelak to sprawdziła.

Dlatego jak wyglądała, tak wyglądała, ale na pewno nie była słabą, bezbronną istotą.

Na całym bożym świecie istniało tylko dwóch mężczyzn, którzy robili z nią, co chcieli, i bezwzględnie wykorzystywali jej miękkie serce. Ci dwaj szczęśliwcy właśnie wparowali do kuchni.

– Babciu, babciu, a kupiłaś mi coś! – wrzasnął Jędrek na całe gardło, od właściwej odpowiedzi uzależniając liczbę oraz siłę swych całusków na dzień dobry. (Jędrek był ulubieńcem babci, chyba z racji zadziornie wysuniętej bródki i dołeczków).

– Mało ci nakupowałam w Kołobrzegu? – przystąpiła do obrony babcia.

– Za swoje kupowałem! – zapłonął świętym oburzeniem Jędruś.

– Ide Baba Gaga, ide Baba Gaga. – Mateusz paradował po kuchni w wiaderku na głowie i z babciną aktówką w spoconej łapce.

– Nie wiedziałam, że gustujesz w wiaderkach – zdziwiła się przekorna latorośl.

– Ja też...

– Może napijemy się czegoś, na humor i... wzmocnienie, co? Mam czerwone wino, dobre, kalifornijskie... – kusiła niecna córka. – Czerwone wino, jak wiadomo, dobrze robi na krwinki. Może się te twoje czerwone ciałka upiją i zaczną mnożyć na potęgę, co ty na to, mój anemiku?

– A daj, niech skorzystam z życia, zanim mnie jakiś pająk porwie...

Zbyt daleko idącym wnioskiem byłoby stwierdzenie, iż obie panie tego pięknego sierpniowego popołudnia nieźle się ululały; w końcu jedna butelka wina, nawet kalifornijskiego, na dwie polskie niewiasty to nie tak znowu wiele, ale gdy się żegnały, oczy im błyszczały, a pani Grażyna dostała czkawki.

– To na pewno przez tę anemię – skomentowała fakt córka z rumieńcami, czym uspokoiła swą równie rumianą matkę.

Gdy się już wreszcie każdy z każdym wyściskał, gdy po drugim powrocie spod windy ostatecznie stwierdzono, że Baba Gaga już na pewno wszystko ze sobą zabrała, gdy już powiedziano nieodwołalne „pa, pa, zdzwonimy się jakoś”, pani Grażyna odczuła dziwny niedosyt. Nie wina, choć dobre było, ale rozmowy, zrozumienia i co najważniejsze –

współczucia. Bo żarty żartami, ale anemia to poważna sprawa. „Czy ja nie mam innych kłopotów, innych obowiązków? Czy nie dość spraw do pilnowania? – zżymała się w duchu, wysiadając z windy. – Teraz jeszcze na dokładkę muszę trzy razy dziennie łykać żelazo. Łykać?! Muszę wrzucać je sobie prosto do gardła i zaraz lecieć myć zęby, bo od żelaza mogą ściemnieć. I nikt tego nie traktuje poważnie. Nikt się należycie nie przejmuje. Nawet moja własna córka, wyrodne stworzenie. Dobrze wiem, co sobie myśli... – dumała pani Grażyna, czekając na tramwaj. – Że do mnie po prostu nie pasuje coś tak tragicznego jak anemia. Katar, odciski, zwichnięta kostka to proszę, będzie się użalać, ale anemia...”.

Pani Grażyna wsiadła do tramwaju „w krowy i truskawki”; karnie skasowała bilet, po czym rzuciła się w kierunku jedynego wolnego miejsca. W pięknym stylu dopadła krzesła, zajęła je i powiodła triumfującym spojrzeniem wokół siebie. Pomruki przegranych skwitowała wzruszeniem ramion. „Co mi tam – pomyślała. – Zwykle stoję i nie narzekam, ale ostatecznie anemik ma jakieś prawa”.

W domu przywitały ją zapach smażonej kaszanki, idealny porządek i niezadowolona mina męża; doktor Grzelak nie lubił przesiadywać sam w domu, nie lubił, kiedy żona mu się spóźniała, za to lubił mieć ją w zasięgu wzroku, kiedy oglądał wieczorami telewizję.

Jednak pani Grażyna nie miała dzisiaj humoru do wysłuchiwania i łagodzenia mężowskich pretensji. Wręcz przeciwnie. Opanował ją bojowy nastrój.

– Nie będę jadła kolacji – oznajmiła, zanim jeszcze zdjęła żakiet. – Zresztą ty też mógłbyś zrezygnować z tej ociekającej kaloriami i cholesterolem kaszanki. Masz brzuch, jakbyś był w piątym miesiącu ciąży! – Zzuła buty i porzuciła na podłodze. Doktor Grzelak bez słowa podniósł je i ustawił w równym rządku w szafce na buty.

Pani Grażyna fuknęła, obróciła się na pięcie i wmaszerowała do kuchni. Z pogardą odniosła się do patelni pełnej apetycznie pachnącej kaszanki z cebulką i z ostentacyjną wyniosłością zaczęła czegoś szukać na lodówce.

– Nie widziałeś moich pigułek? Tu je położyłam, w tym koszyczku. Ty chyba... – w umyśle pani Grażyny zrodziło się straszne podejrzenie – ...ty chyba ich znowu nie schowałeś, co?

Remigiusz Grzelak poczerwieniał.

– Schowałeś! Znowu! Muszę jeść te cholerne tabletki trzy razy dziennie i ty za każdym razem je chowasz! Po co? Co ci szkodzi, że sobie leżą na lodówce?

Doktor Grzelak z miną winowajcy podał żonie opakowanie tabletek.

– No już, nie złość się, Grażynko, co cię dzisiaj ugryzło?

– Nic mnie nie ugryzło! Absolutnie nic mnie nie ugryzło. Jestem spokojna, bardzo spokojna, wręcz anemiczna!

Z apetytem godnym rdzy pani Grażyna rzuciła się na żelazo w pigułce. Jednym sprawnym ruchem umieściła pastylkę w gardle, łyknęła bez popijania i odłożyła fiolkę na lodówkę.

– Tu mają leżeć, nie na szafce, nie na półce, tutaj! – zaznaczyła dobitnie i poszła umyć zęby.

– Gdzie jest moja pasta do zębów? – doleciało złowrogie pytanie z łazienki.

Doktor zmartwiał i zbladł. Przydreptał z wyjaśnieniem.

– Wy...wyrzuciłem, ale tam już prawie nic nie było, poza tym wyciskałaś nieporządnie, tubka popękała i pasta wychodziła bokiem.

– To tobie zaraz coś wyjdzie bokiem. – Pani Grażyna obrzuciła męża niechętnym spojrzeniem. – Jakim prawem wyrzucasz moje rzeczy? I to nie pierwszy raz zresztą. Grzebiesz w moich rzeczach i wywalasz do śmietnika, co ci się podoba, bo niby stare i zużyte. Moje książki, moje pamiętniki, moje gazety, a ja ci zabraniam, słyszysz, zabraniam! I czym mam teraz umyć zęby?

– Kupiłem nową pastę.

– Nie lubię tej – burknęła po oględzinach.

Pan Remigiusz czym prędzej wycofał się z łazienki.

Włączył telewizor i usiadł w fotelu. Zaraz miały się zacząć *Wiadomości*.

Grażyna Grzelak wpadła do salonu, zionąc złością i miętą. Potrzebowała awantury, musiała wyładować zrodzoną nie wiadomo skąd agresję. Obrzuciła drapieżnym spojrzeniem męża rozpartego w fotelu, a potem spojrzała na stół.

Jej wzrok złagodniał. Stół w dużym pokoju był jedynym miejscem w całym mieszkaniu, gdzie panował artystyczny nieład i twórczy chaos. Tu kończyła się władza pedanterii Remigiusza, a zaczynało królestwo umysłu. Tutaj pracowała pani Grażyna. Tu rozsypywały się chybotliwe stosy książek, papierów, kartek i karteluszek, tu stukała maszyna do pisania,

a referaty, długopisy, wykłady, szablony, odczyty, flamastry, listy, plansze, tłumaczenia i dziesiątki innych drobiazgów tworzyło fascynujący przekładaniec. Tylko pani Grażyna umiała się w tym wszystkim połapać, tylko ona z dokładnością do centymetra wiedziała, gdzie co leży. Remigiusz miał nakazane omijać stół z daleka. Nie wolno mu tu było niczego tknąć. Najlepiej gdyby w ogóle nie patrzył w tę stronę.

Nagle pani Grażyna drgnęła. Coś się nie zgadzało. W maszynie brakowało kartki, podręcznik z polityki fiskalnej zniknął... nie, dzięki Bogu, leżał pod słownikiem angielsko-polskim, za to wyparowało kilka stron maszynopisu z naniesionymi poprawkami. W oczach Grażyny Grzelak pojawiła się stal, a w głosie z trudem hamowana furia.

– Remik, ruszałeś coś na stole?

– Ja? – Pan Remigiusz ze zdumieniem rozejrzał się wokół siebie. – Ja? Skąd! Nic...

– Nie kłam! Przecież widzę! Bądź łaskaw zdradzić, co zrobiłeś z tymi kartkami, które tu leżały. Miałam je właśnie dzisiaj przepisywać.

– Nic... – Mężczyzna zamrugał nerwowo powiekami. – Nic, naprawdę... – Zerwał się z fotela niczym konik polny. – Może trochę... poprawiłem tu i ówdzie... coś na stole, ale nic, naprawdę nic... – podreptał truchcikiem do kuchni – ...nie wyrzucałem.

– Co?! – wrzasnęła doktor Grzelak i pognała za mężem.

– O, widzisz tu są. – Pan Remigiusz wyprostował się znad kosza i z uśmiechem dumy oraz ulgi wręczył żonie pogniecione, trochę upaprane majonezem kartki z referatem przygotowywanym na zjazd ekonomistów w Warszawie.

– Ty...! Ty... – Wściekłość i niedowierzanie nie pozwalały mówić osłupiałej kobiecie. – Ty... ty pedancie, ty! – Walnęła zaciśniętą pięścią w pokaźny brzuch swego męża. – Jeżeli jeszcze raz to zrobisz, to pożałujesz! – Walnęła drugi raz, mocniej. Remigiusz Grzelak jęknął i zgiął się w pół. Kaszanka podeszła mu do gardła. – Ty... – Rozjuszona żona zamierzała dołożyć mu po raz trzeci, ale złapał ją za rękę. Zaczęła się wyrywać, ale nie dała rady; w końcu był od niej prawie dwa razy większy. Rozpłakała się.

– Natychmiast się uspokój! Nie bij mnie. I przestań histeryzować, do diabła! Ty chyba faktycznie jesteś chora. Może zrobisz sobie tydzień

wolnego, odpoczniesz, pośpisz... – W obolałym Remigiuszu obudził się lekarz.

– O...oczywiście, że jestem chora! Tylko nikt się tym nie...e przejmuje! – łkała pani Grażyna.

– Ja się przejmuję i zalecam ci tydzień leżenia w łóżku.

– Nie chcę – marudziła doktor Grzelak.

– Musisz.

– Może... Zresztą Asia też coś mówiła o tygodniu nieróbstwa.

Jak mus to mus, pani Grażyna zafundowała sobie wolne. Tydzień spania, łykania tabletek i odpoczynku.

Straszny tydzień!

Przez siedem długich dni tłukła się po domu w koszuli nocnej. Spała, piła kawę, spała, coś zjadła, potem znowu spała. Nic jej się nie chciało, ani czytać, ani oglądać telewizji, ani rozmawiać. Gdy córka do niej zadzwoniła, żeby zapytać, jak leci, z trudem otwierała usta. „Jak się czuję? Aaa, tak sobie... Moja anemia? A, ta ma się świetnie”.

Z każdym dniem pani Grażyna robiła się coraz bardziej śpiąca, słaba i nieszczęśliwa. „Ja naprawdę jestem chora. Co jest...? Mieli rację w tej przychodni. Komputer nie kłamie... – ospałe myśli pojawiały się znikąd i znikały, nim zdążyła je pochwycić. – Po co mi ta cała praca, kogo to obchodzi, kto to doceni...? Asia ma swoje życie, nie jestem już jedyna i niezastąpiona... przewracam się o własne nogi... To... to staje się nie do wytrzymania... Ja umieram...”.

Po tygodniu takich wakacji, po tygodniu tego fantastycznego nieróbstwa pani Grażyna była bardziej wykończona niż po roku pracy w kamieniołomach. Groźni przestępcy skazywani na ciężkie roboty mieli lepiej od niej. Przynajmniej czuli, że żyją, czuli pot, krew, ból i gniew, a ona? Powoli przestawała czuć cokolwiek. Cokolwiek prócz wszechogarniającego zmęczenia. W ostatnich podrygach instynktu samozachowawczego piła kawę, kawę za kawą, by nie zasnąć na zawsze...

Z dawnej energii i przebojowości nie pozostało nic, jedynie odrobina przekory, cień zwykłego poczucia humoru i szczypta buntu.

Ale bunt, nawet szczątkowy, byle w odpowiednim wykonaniu, zawsze ma swoją wagę i znaczenie. W końcu czyż można porównywać szampana z wodą mineralną? A słodką paprykę z meksykańskim tabasco? Czy jednej iskry nie dość, by pokonać stuletni bór?

Grażyna Grzelak obudziła się sobotniego ranka i stwierdziła, że nie da rady wstać z łóżka. Po prostu – nie da i już. Minął tydzień i przeklęta anemia na spółkę z potężną chandrą zwyciężyły.

„Ale to nie może tak być! – zaprotestowała natychmiast po ogłoszeniu kapitulacji. – To nie może się tak skończyć. To głupie i bez sensu! Mam tyle do zrobienia, tyle spraw czeka, muszę odwiedzić Asię i dzieciaczki. Ja się nie zgadzam, protestuję, zgłaszam zażalenie do organizmu, który stłamsił mojego ducha! Ciało nie jest ważne, liczy się myśl, dusza, wewnętrzne światło, czy jak to tam nazwać. Liczę się ja, a nie moja anemia".

Pani Grażyna jednak postanowiła wstać. Szło to opornie, ale się nie poddawała. Wyplątała się z pościeli, zwlokła z łóżka i doczołgała do łazienki. Z tej niecodziennej pozycji dostrzegła pyłek za pralką i kilka włosów w kącie pod umywalką. „Ale brudno! – pomyślała z radością, zachwycona, że Remigiusz coś przeoczył. – Posprzątam" – zadecydowała w nagłym odruchu.

Zabrała się do sprzątania. Co prawda trochę trudno myje się wannę, leżąc na podłodze, ale dla chcącego nic trudnego. Pani Grażynie z każdym znikającym włoskiem, z każdą odchodzącą w niebyt plamką – przybywało chęci, uporu i wiary w siebie. Może dlatego, że nienawidziła sprzątać.

Złościła się na kafelki o nierównej powierzchni, że brązowe i każdy ślad po paście czy mydle widać jak na dłoni, piekliła się, że draństwo pofalowane i trudno doczyścić w tych górkach i dolinkach.

– Jak Aśka będzie sobie robić łazienkę, to jej powiem, że jak kafelki, to tylko jasne i gładkie – mamrotała pod nosem.

Złoszcząc się i pucując, kobieta w nocnej koszuli najpierw usiadła, po chwili zaczęła nucić „Pieski małe dwa", potem wstała i już na stojąco umyła lustro. Jej ruchy z chaotycznych i nieporadnych stały się mocne i precyzyjne. Gdy skończyła z łazienką – wrócił jej dobry humor. Odkurzyła mieszkanie. Poczuła się doskonale. Ugotowała obiad. Roześmiała się na całe gardło. Umyła okna i poszła wytrzepać dywan z sypialni. Nigdy nie czuła się zdrowsza.

Zadzwoniła do Instytutu. Oczywiście, mogła się domyślić... Sodoma i Gomora! Ktoś grzebał w jej komputerze i tak pogrzebał, że wymazał dwa pliki. Na szczęście zawsze wszystko kopiowała. Pora wracać. Najwyższa.

Ponieważ doktor Grzelak musiał wyjść w tę sobotę do przychodni, nie był świadomy przełomu, jaki się dokonywał, ale gdy wrócił, zastał żonę odmienioną. To znaczy taką jak zwykle. Żadnej koszuli nocnej, włóczenia się z kąta w kąt i narzekania.

– Jedziemy na działkę. Po drodze zabieramy chłopaczków. Pojadą z nami i potem zostaną u nas na noc.

Jak powiedziała, tak zrobili. Pan Remigiusz nie ośmielił się zaprotestować. Choć każdy wie, że dwójka dzieci w domu oznacza tylko jedno – bałagan i hałas. A Mateuszowi zdarza się wymiotować w samochodzie. Już raz zapaskudził mu uno. Jeszcze tego brakuje, żeby mu teraz zabrudził nowe punto.

Na działce babcia Grażynka szalała wśród chwastów, pomidorów i porzeczek. Wyrywała, grabiła, sadziła, podlewała, przycinała, wiązała, zbierała. Zawsze się tak zachowywała, więc wnuczkowie nie dostrzegli w jej szaleństwie niczego niezwykłego. Tylko doktor Grzelak otwierał szeroko oczy i bąkał:

– Grażynko, hamuj się, jeszcze wczoraj leżałaś w łóżku...

– Ale już nie leżę, dzięki Bogu – odpowiadała ta opętana żądzą nadrobienia całego długiego tygodnia kobieta.

– Babcia, na huśtawki chcemy, pokręć nas na karuzeli!

– Zaraz, Jędrusiu, tylko tu wykopię ogórki, całe uschły w tym upale, wyrzucę chwasty na kompost, podleję fasolę, zbiorę porzeczki, przywiążę pomidory, potem zrobimy ognisko z tych suchych badyli, a potem pójdziemy się huśtać.

– Okej – zgodził się łaskawie Jędrek i wspólnie z Mateuszem chodzili za babcią krok w krok, żeby im się nie wymknęła i nie zrobiła nic ponad to, co powiedziała, że zrobi.

Wrócili do domu brudni jak święta ziemia, wymęczeni i niebywale szczęśliwi – pewni, że dzień, który minął, nie był dniem straconym. Nawet dziadek, gdy odkrył w szafie nienaruszony zapas środków czystości i worków do śmieci, uśmiechnął się z zadowoleniem...

W niedzielne przedpołudnie wybrali się nad Maltę, eldorado poznańskiego sportu i rekreacji. Raju tego co prawda wciąż nie udawało się wykończyć jak należy, a w sztucznym Jeziorze Maltańskim – zdaniem pani Grażyny – odważyłby się zanurzyć tylko niepoczytalny hazardzista lub śmiałek bez

oczu i węchu, któremu nie zakłóciłyby ożywczej kąpieli tęczowe plamy ropy, zbierający się przy brzegu siwy kożuch pleśni, pływające tu i ówdzie gówienka oraz dryfujące niespiesznie zdechłe ryby. Ale jakie to miało znaczenie? Widać małe, skoro co sobotę i niedzielę, a latem nawet w dni powszednie, lekceważąc ostrzeżenia sanepidu, tłumy poznaniaków waliły nad Maltę. Tam, gdzie znajduje się jeden z najlepszych torów regatowych w Europie, gdzie jest tor narciarski ze sztuczną nawierzchnią, kemping, hotel, dwie restauracje, siłownia, źródełko, lasy komunalne (a wszystko niemalże w centrum miasta wojewódzkiego!), gdzie jest tyle atrakcji – tam musi się coś dziać. Zawody wioślarskie, Festiwal Teatrów Ulicznych, koncert sponsorowany, urodziny jakiegoś Radia, a to ktoś się wywali na stoku, a to sztuczne ognie, a to jakiś festyn... W odwodzie pozostawały zawsze kaczki mutanty (odporne na chemię i tajemnicze wnętrze burej wody), świetnie nadające się do podkarmiania resztkami zimnych frytek. Nie brakowało też szaszłyków, kiełbasek z rusztu, beczkowego piwa, lodów oraz ekowerów.

Właśnie na przejażdżkę ekowerem – czyli rowerem rodzinnym czteroosobowym – próbowali namówić babcię bracia Tamiccy.

Niestety pani Grażyna z głębokim żalem musiała odmówić. Po pierwsze, nie miała odpowiedniego stroju ani obuwia; po drugie, sama nie dałaby rady pedałować, a dziadek Remik kategorycznie odmówił pomocy, twierdząc, że nie będzie robił z siebie idioty.

Wnuczkom wydłużyły się miny. Żeby więc jakoś ich pocieszyć, niezrównana babcia zafundowała im po lodzie, frytkach i soczku w kartoniku. Potem kupiła jeszcze trzy bułki i poszli karmić kaczki. Dziadek nie lubił ptactwa wodnego, więc został przy frytkach i szaszłykach. Jędruś z Mateuszkiem sprawiedliwie dzielili się pożywieniem z kaczkami, zachęcając je do jedzenia okrzykami:

– Pani kaczko, pani kaczko, bułeczka leci!

– Pami kako, pami kako, tytka, tytka la pami!

Mogliby tak uroczo spędzić resztę popołudnia (podczas gdy dziadek w spokoju ponudziłby się przy szaszłyku i piwie), gdyby nie Mateusz.

– Ła ce pupkę – wyznał i złapał się za spodnie.

– Zgubiłeś śrubkę?! – przeraziła się babcia.

– Nie, nie, ła-ce-pup-kę – powtórzył Mateo, starając się mówić bardzo wyraźnie. Babcia oczywiście nic nie zrozumiała. Mateusza rozumieli tylko

mama i starszy brat.

– Jędrusiu – pani Grażyna zwróciła się o pomoc do eksperta – co on mówi?

– On mówi, że chce kupę.

Babcia złapała za rękę skrzywionego w oczywistych zamiarach wnusia.

– Jędrek, idź powiedzieć dziadkowi, że idziemy zrobić kupkę.

– Ale ja chcę z wami!

– My zaraz wrócimy – próbowała tłumaczyć babcia.

– Ja też chcę kupę – oświadczył natychmiast Jędrek i wymownie przestąpił z nogi na nogę. Na takie dictum babci zabrakło argumentów.

– Tylko co zrobimy z dziadkiem? – Wahała się jeszcze.

Jędrek błyskawicznie znalazł rozwiązanie.

– Dziadek! – wrzasnął w kierunku stolików, gdzie pan Remigiusz właśnie raczył się kiełbaską. – Dzia-dek! – Doktor Grzelak czujnie uniósł głowę znad papierowego talerzyka. – My idziemy ku-pę! Wszyscy! Babcia też! – usłyszał zdumiewającą wiadomość. Troszkę się zmieszał. Ludzie patrzyli na niego zaintrygowani. Co gorsza, kiełbasa nieco straciła na smaku...

– Chodź, chodź, Mateuszku. – Pani Grażyna pociągnęła malca za sobą. – Szybciutko, tylko trzymaj, nie zrób w majtki, bo nie mam cię w co przebrać.

Zaczął się wyścig z... czasem.

Nie tak łatwo nad Maltą znaleźć miejsce, gdzie można się w spokoju załatwić. Na otwartej przestrzeni – wstyd i skandal, a znad brzegu jeziora w głąb lasu (bo przecież nie będą tego robić na ścieżce!) jest dobre kilkadziesiąt metrów.

Zdyszani dobiegli do asfaltowej ulicy koło trybun. Pech. Z jednej strony trybuny, z drugiej skarpa ogrodzona murkiem. Z Mateuszem, któremu „kupa trąbi na zakręcie”, i z babcią na obcasach – nie dadzą rady się wspiąć.

Pobiegli dalej. Minęli obudowane kamiennymi ławami i płytami źródełko, z którego ludzie nabierali wody do bidonów. Nie, tu nie można, są pewne zasady, u źródła nie wolno.

Przyspieszyli. Po lewej mignął im mostek na Cybinie (burej rzeczce wlewającej swe smrodliwe wnętrze do burego jeziora). Wpadli do lasu. Błoto z lewej, pośrodku kałuże, z prawej teren obniżał się ku Cybinie.

Pędzili dalej. Gdy już tracili nadzieję, Jędrek wypatrzył kawałek suchego gruntu za krzakami przy skrzyżowaniu leśnej ścieżki z asfaltową drogą dla rowerów. Cisza, spokój, ptaszki śpiewają... Uff... nareszcie! Mateusz szybko uwinął się ze swoim problemem. Jędrkowi natomiast się odechciało, ale siusiu łaskawie zrobił.

Szczęśliwi i wypróżnieni mieli właśnie wracać do dziadka, kiedy z góry, od strony ścieżki dla rowerów, doleciał przeciągły gwizd.

Obrócili głowy. Ujrzeli trzech zbliżających się ku nim nonszalanckim krokiem osobników, którzy z pewnością nie należeli do elity umysłowej i kulturalnej miasta Poznania.

Młodzieńcy, ubrani w identyczne dżinsy dzwony, identycznie wygoleni z pozostawionym nad czołem kosmyczkiem, klnący w identyczny, mało oryginalny sposób – wyglądali identycznie bezmyślnie. Dodawali sobie animuszu piwem i papierosami. Trudno powiedzieć, czemu postanowili zaczepić kobietę z dwójką dzieci. Nudzili się, byli pijani, a może słońce im zaszkodziło?

– Ej, gdzie tak pędzisz, lalunia? Zostaw te bachory i zabaw się z nami – zaczął konwersację pryszczaty dryblas pośrodku dżinsowej trójki.

– Zjeżdżaj, smarkaczu, bo pożałujesz. – Pani Grażyna nie zamierzała bawić się w subtelności. Poza tym uważała, że chłopak blefuje.

– Oho, jaka groźna. Staszek, złap tych szczeniaków. Zaraz spuści z tonu.

Młodzieniec nazwany Staszkiem strzyknął śliną i ruszył w kierunku dzieci.

– Jędrek, Mateusz! Schować się za mną. – Dwóch wystraszonych malców przylgnęło do nóg babci. Pani Grażyna nachyliła się ku nim i wyszeptała: – Jak któryś z nich spróbuje was złapać, to gryźcie i kopcie. Zrozumiano? Nie przejmujcie się. Walcie, gryźcie, z całej siły, żeby bolało. A potem uciekać do dziadka, ja ich zatrzymam. Jasne?

Wnuczkowie pokiwali głowami.

– Spróbujcie ich tylko dotknąć, a nie ręczę za siebie – ostrzegła pani Grażyna.

– Zobacz, Waldi, taka mała, a jak podskakuje, trzeba jej dać nauczkę, nie, stary?

Pryszczaty Waldi, przypuszczalnie przywódca dżinsowych pastuchów, zmrużył oczy i wycedził:

– Te, nie bądź taka mądra, bo ci się odechce. Sylwek, zajdź ją od tyłu.

Grażynę Grzelak ogarnęła skomplikowana mieszanina strachu, gniewu i rozpaczy. Ogarnęła, ale nie sparaliżowała. Spojrzała na wnuków. „Nie pozwolę ich skrzywdzić, choćbym miała zabić!”.

– Uciekajcie, chłopcy – szepnęła – i pamiętajcie, co wam mówiłam. Gryźcie i kopcie. Musicie dać sobie radę.

– Damy – zapewnił Jędrek. – Jak Batman! Dobro zwycięży zło!

Chłopcy rzucili się do ucieczki i... wpadli prosto w objęcia Staszka. Na jego nieszczęście. Zlekceważył przeciwnika, bo nigdy do tej pory nie ugryzł go trzylatek. Nie wiedział też, jak mocno potrafi przywalić przerażony pięciolatek.

– Ożeż, jego mać zaprzała! Kopnął mnie w kolano... I co się śmiejesz?! Pomóż mi, auuuu...! ten gówniarz mnie ugryzł w rękę. Krew mi leci... Jezu...! by...kiem w jaja, ohoooo...!

Podczas gdy Staszek bronił się przed śmiercią z ręki dwóch małych gówniarzy, a Sylwek z Waldim rechotali rozkosznie, pani Grażyna spróbowała negocjacji.

– Panowie, jeżeli chcecie pieniędzy, proszę... – sięgnęła do torebki – ale nie róbcie dzieciom krzywdy. Proszę, oddam wam wszystko. – Wyciągnęła rękę i... psiknęła zachodzącemu ją od tyłu Sylwkowi prosto w oczy czerwonym Impulsem.

– Nic nie widzę! Oślepiła mnie, Chryste, co to?! Gaz? Jak piecze!

– Ty... pożałujesz! – Waldi pochylił się i rozpostarł ręce jak zapaśnik.

Okrążał stojącą nieruchomo naprzeciw niego kobietę. Zbliżał się coraz bardziej... Nagle rzucił się całym ciałem do przodu. Nie zauważył Mateuszka, który właśnie biegł do babci. Potknął się o niego i całym ciężarem opadł na wysuniętą w obronnym geście rękę pani Grażyny. Jej palce wciąż kurczowo zaciskały się na dezodorancie. Waldi dostał prosto w splot słoneczny.

– ...urwa...! k...im ty ...esteś...? uper...oman?! – wystękał i opadł na leśną ściółkę.

– Ura! Ura! Wygraliśmy! – krzyczał Jędrek, siedząc i podskakując na brzuchu z cicha pojękującego Staszka. – Dididid di, dididid di... – zanucił wspólnie z bratem pieśń zwycięzców.

– Nie, nie jestem Superwoman. – Pani Grażyna schowała dezodorant do torebki i poprawiła grzywkę. – Ale ciesz się, gnojku, że mam anemię, bo

inaczej chyba bym cię... – Kobieta zawahała się przez moment, ale dzielnie dokończyła: – Chyba bym cię, kurwa, zabiła!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
czyli na rozstaju dróg, czyli strajk w łazience.

Piątki mają w sobie coś magicznego. W soboty jesteśmy zajęci organizowaniem sobie rozrywek, nadrabianiem zaległości w sprzątaniu, spaniu, życiu towarzyskim, w kontaktach z rodziną i naturą. Niedziele są leniwe bądź świąteczne; ciągną się i ciągną, a my chcemy, żeby trwały i trwały. Ale piątki... to magia, poezja relaksu.

„No, kochani, właśnie zaczął się weekend" – komu nie robi się lżej na sercu, kiedy słyszy te słowa? Kto nie patrzy pogodniej na świat i ludzi? Chyba tylko szaleńcy i samotni, ale nawet ich jest w piątki znacznie mniej niż w jakikolwiek inny dzień tygodnia.

Maciej Tamicki kochał piątki – nawet jeżeli w sobotę musiał iść do roboty. W piątki był szczęśliwy, zapominał, o czym nie chciał pamiętać, i rozstawał się ze stresem; w piątki drzwi jego domu stały otworem dla każdego, kto chciał i miał odwagę przyjść; w piątki był sobą, tylko i wyłącznie.

Niestety tego akurat piątkowego popołudnia Maciej, wracając do domu, nie miał najlepszego humoru. Niby samochód jechał tą sześćdziesiątką, co biorąc pod uwagę jego ostatnie wyczyny, było sporym osiągnięciem; niby Asia obiecała zrobić dzisiaj zupę gulaszową; niby miał w torbie butelkę Dark Whisky, dwie paczki salemów i nowiutkiego Whartona; niby mieli wpaść Adasie, jak zwykle w piątek, na tę zupę, whisky i w ogóle. Niby skończył się tydzień pracy, a zaczynał weekend. Niby mnóstwo powodów do radości, ale niestety... Wraz z tym ostatnim tygodniem sierpnia skończyła się również trzymiesięczna współpraca Tamickiego z Agencją Reklamową Fotos. Właściciele Agencji uznali, że nie potrzebują pomocy najdroższego copywritera w Poznaniu, do tego uchodzącego wśród fachowców za jednego z dwóch najlepszych w tym mieście. Krótko –

uznali, że usługi Macieja są za drogie jak na ich możliwości, a jego zdolności za duże jak na ich potrzeby. Już od tygodnia Tamicki coś przeczuwał, ale dopiero dzisiaj jeden z szefów zmusił się, żeby wyjąkać: „dziękujemy ci, Maciej, i tego, wiesz, strasznie nam głupio, ale zrozum i nie rozstawajmy się w gniewie, a jakby co, to mamy twoje namiary”.

Tamicki zrozumiał; niemniej stracił pracę, a nie był to powód do radości. Przez trzy miesiące płacił rachunki i zapewniał rodzinie podstawowe utrzymanie za pieniądze Fotosa. W macierzystej Agencji Reklamowej Radia Omega zapanowała ostatnimi czasy posucha na usługi głównego scenarzysty i gdyby tego lata nie pojawił się Fotos, byłoby niewesoło.

– Wszystko wina tych samośków, którzy skąpią kasy na porządny scenariusz! – wymamrotał Tamicki przez zaciśnięte zęby, zatrzymując się na czerwonym świetle; minę zrobił przy tym tak wredną i zaciętą, że pani ze szmaragdowego twingo, która zerknęła przypadkiem w jego stronę, aż zbladła.

Mówiąc o samośkach, miał na myśli klientów samodzielnie piszących sobie scenariusze reklam. Robili tak z durnej oszczędności, wspartej jeszcze durniejszym przekonaniem, że naskrobanie takiego scenariusza to pryszcz.

– Czy przyszło im do głowy, że ograbiają z możliwości zarobku jedynego żywiciela rodziny? – burczał pod nosem Tamicki. – Że wygryzają jedynego płatnika rachunków, czynszów, kredytów, że skazują na głód, nędzę i poniewierkę biedną, niepracującą żonę i maleńkie, łkające dzieci, które rosną i muszą dużo jeść? Dzieciątka maleńkie... które chcą dużo papu, dużo zabawek, dużo rozrywek i dużo czekolady! Czy przyszło? A skąd! – Tamicki zaklął i przydusił mocniej pedał gazu, szykując się do zmiany świateł. – Gdy ktoś ślepnie ze skąpstwa, przestaje zauważać cudzą krzywdę, ot co! – Uderzył dłonią w kierownicę i ruszył do przodu jak torpeda, pozostawiając daleko w tyle zatrwożoną panią ze szmaragdowego twingo.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie ma co się dziwić podłemu nastrojowi Macieja, który dopadł go w piątkowy wieczór. I nie minął w cudowny sposób po przekroczeniu progu domu.

– Cześć... – przywitała go nieuważnie żona, obserwująca zmagania słowne uczestników *Randki w ciemno*.

– Cze! – mruknął i spojrzał złym okiem na telewizor. – Mogłabyś choć ucałować męża, gdy wraca z pracy, a nie oglądać te...

– Co, nie mamy dzisiaj humorku? – zauważyła radośnie Joanna i obrzuciła męża pobieżnym spojrzeniem.

– Ano, nie mamy – odburknął Tamicki i zaczął się przebierać w domowe ciuchy. – A gdzie moi synkowie? – zainteresował się przy drugim kapciu; nagle mu zabrakło lepkich uścisków i odwiecznych pytań: „A co mi kupiłeś?”, „Przyniosłeś nam coś?”, „Ti ma tata to la mie?”.

– Synkowie się kąpią.

– Już? Nie za wcześnie? – zdziwił się Tamicki.

– Nie za wcześnie... – uspokoiła go żona, podziwiająca Jacka Kawalca i jego żonglerkę dwoma kopertami – za to za karę. Najpierw Mateusz zabrał Jędrkowi klocek, potem Jędrek mu odebrał, no to Mateo go opluł – tłumaczyła nieskładnie i mało gramatycznie – a Jędrek mu w odwecie dowalił, że przygryzł sobie język, więc Matołek mu oddał, że krew z nosa poleciała, a potem klocek... o, pojadą do Włoch, też bym chciała... źródło sporów i bijatyk, jakoś tak przypadkiem wpadł mi do kawy. Doleciał tu z małego pokoju, zdolny, bo chłopcy oczywiście byli grzeczni, niewinni i zwalali winę jeden na drugiego.

– Hm... – Tamicki zamyślił się nad umiejętnościami klocków. Zgłodniał, nie dochodząc do żadnych wniosków. – Co na obiad?

– Co? – Żona go nie usłyszała, pochłonięta zamianą błyskotliwej Randki na intrygującą Zulu Gulę.

– Obiad. Co jest na obiad?

– Zupa ogórkowa, od wczoraj. Jeszcze ciepła.

– Miała być gulaszowa – zaprotestował mocno zawiedziony pan domu.

– No miała.

Wygłodniały małżonek, rezygnując z kłótni na rzecz jeszcze ciepłej ogórkowej, powędrował do kuchni i podniósł pokrywkę.

– Czemu tak mało? – Zawartość garnka nie usatysfakcjonowałaby nawet cierpiącego na jadłowstręt niejadka.

– Dzieci wyjadły.

– A co ja mam wyjeść? – Głos Tamickiego miał ociekać ironią, a ociekał zaledwie śliną. – Pastę do butów? Czy może dzieci również do niej zdążyły się już dobrać?

– Jezu, Maciej, odczep się! Zaraz będą Muminki. Nie chcesz jeść, to nie jedz.

Zjadł. Niewiele mu doprawdy czasu zajęła konsumpcja obiadu: pół talerza zupy plus mała bułka grahamka.

– Mamaaaa! – doleciało mokre wycie z zalanej łazienki.

– Dzieci cię wołają – stwierdziła żoneczka, na chwilę opuszczając stanowisko przed telewizorem i zjawiając się w kuchni. – Łóżka już im zrobiłam, trzeba ich tylko wytrzeć i ubrać w piżamy. – Zniknęła za załomem.

– Aśka, ja jem! – próbował ostrzec małżonkę Tamicki, ale ta jedynie go pogoniła:

– Przecież już zjadłeś, widziałam, no, rusz się, teraz lecą reklamy, jak się pośpieszysz, to zdążysz przed bajką. Dzieci!!! – wrzasnęła. – Bajka! No, idź, idź... – Poprawiła się w fotelu.

Poszedł.

Nim otworzył drzwi, obwieszone ręcznikami i szlafrokami niczym choinka bombkami, dopadły go dzikie wrzaski:

– Muminki! Mateusz, słyszysz? Wyłaź! I zostaw, to moje. Zostaw, bo cię walnę!

– Pupi Jełu! Mama, Jełua mi ała!

– Mamaaa! Chcę wyjść!

W łazience Tamicki najpierw wdepnął w kałużę wody, poślizgnął się, zgubił kapeć i zmoczył skarpetkę; potem pod sufit trysnęła fontanna wody i oblała wszystko, co się dało. Winowajcą był Mateuszek, który stojąc na krawędzi wanny – i to bez trzymanki! – na widok drogiego, niewidzianego od śniadania taty, uśmiechnął się i wykonał na jego cześć skok obunóż do wody. Tafla mętnej cieczy z resztkami mydła, piany i rozpuszczonej nalepki z butelki płynu do kąpieli uniosła się i bogatą falą zalała podłogę, wraz z nogami Tamickiego, a rzęsisty plusk dokończył dzieła; hojne rozbryzgi poleciały na ściany oraz na T-shirt, twarz i włosy zgrzytającego zębami tatusia.

– Wyłazić! – ryknął niczym ranny łoś. – A ty, Mateusz, lepiej się do mnie nie odzywaj, bo utopię!

– To nie ja, tata, to Mateo. – Jędrek odciął się kategorycznie od młodszego brata. – To on narozlewał, a ja mu mówiłem, żeby tak nie robił.

I jeszcze zabrał mi pamperka. Powiedz mu, tata, żeby mi oddał. Mateusz, oddawaj!

– Nie! Pampepek mu, ty pupi! – Mateo miał nadal duże problemy ze spółgłoskami i było to dość uciążliwe dla przygodnych słuchaczy. Joanna poważnie zastanawiała się nad wizytą u jakiegoś specjalisty, choć dziadek Remik dowodził, że dziecię płci męskiej ma prawo nie mówić do lat czterech.

– Ła nie ktałem, tata, ła tyko plum – asekurował się Mateusz; przestraszony i skulony pod kranem, próbował uładzić groźnego tatę, wyciągając korek. – Ła kokek, ma tata, kokek...

– Nie rozumiem, co do mnie mówisz, Mateusz, ani słowa, naucz się wreszcie mówić! I wyłaź z tej wanny!

Przezorny Jędrek nie czekał, kiedy na nim skupi się uwaga zalanego wodą i furią rodzica. Wyskoczył z wody, capnął ręcznik leżący na pralce i umknął do małego pokoju. O dziwo, zupełnie bez problemu sam się wytarł i sam założył piżamę. Potem szybciutko pognał na bajkę, usadowił się w fotelu obok mamy i z dużym powodzeniem udawał bardzo grzecznego chłopczyka.

Tymczasem młodszy synek oblekany w strój nocny robił do taty słodkie oczy niczym rasowy uwodziciel.

– Już dobra, dobra – usadził syna Tamicki. – Szoruj na te swoje „Mumimy”. Tylko... kapcie! Załóż, proszę, kapcie. Nie ma kapci, nie ma bajki. Ile razy trzeba wam to mówić i przypominać? Tu są, baranku! Tu, gdzie je rzuciłeś, na parapecie. Zakładaj, szybciej, już się baja zaczęła. Nie ta noga! Już, leć... Nie oblizuj mnie, Mateo! Już się nie gniewam, ale zejdź mi z oczu, niech cię nie widzę. – Mateusz klepnięty w pupę wystartował jak rakieta, przeleciał przez korytarz i z okrzykiem „Mumimy!” wylądował na wolnym fotelu.

Tamicki przyjrzał się sobie krytycznie. Świeże ubranie wyciągnięte prosto z szafy nadawało się tylko do wyżęcia.

– No cóż, skoro i tak jestem mokry, to się przy okazji wymyję – zdecydował. „Może mała kąpiel rozpuści moje duże troski... A może by tak mały skok na główkę z pralki? Te małe cwaniaczki jeszcze na to nie wpadły, ale my z bratem nie takie rzeczy robiliśmy...”.

Mokrą koszulkę i spodnie, wilgotne majtki i cieknące skarpetki porzucił w kałuży na podłodze. Spłukał wannę, zgarniając z dna *frutti di mare*

w postaci gumowych zwierzątek, plastikowych autek, kilku szczoteczek do zębów i sześciu pistoletów na wodę, wetknął korek i puścił wodę.

Usiadł na klapie. Wziął do ręki małą książeczkę z najnowszymi dowcipami. Zamierzał poczytać, zanim się wanna napełni.

Nie zdążył. Drzwi rozwarły się gwałtownie. W progu stanęła Joanna i wbiła w męża oskarżycielski wzrok.

– Znowu melinujesz się w łazience, tak? Ledwo przyszedłeś i już okupujesz sedes? Zrobiłeś? Siku mi się chce.

– Na razie jeszcze w ogóle nie zacząłem – odpowiedział oskarżony i wstał, ustępując żonie miejsca. – Proszę bardzo, rób, nie krępuj się, ja poczekam – wysilił się na grzeczność.

Opróżnienie pęcherza nie ugasiło bojowego nastroju Joanny.

– Widzę, że zamierzasz się kąpać.

– Owszem.

– Długo?

– Ile będzie trzeba. Zdążę, zanim przyjdą Adasie.

– Nie przyjdą. Adam dzwonił przez domofon, że u nich epidemia kaszlu i kataru, nawet nie wszedł na górę, bo zaraża.

– No to nie muszę się spieszyć – skomentował Maciej i nie dał po sobie poznać, jak bardzo jest zawiedziony. Liczył na odprężającą pogawędkę z Adamem. Skoro od żony nie mógł doczekać się zrozumienia, to może mężczyzna i przyjaciel...

– Aha, tylko tyle mi powiesz, tak? Godzinna kąpiel, a potem albo jeszcze lepiej przedtem... małe posiedzonko, oceniam je na jakieś czterdzieści minut.

– Całkiem możliwe.

– Więc to tak?! Wiedziałam, ty chcesz zniszczyć nasze małżeństwo! Porozmawiałbyś ze mną, posiedział w kuchni i opowiedział, co tam słychać w wielkim świecie, ale nie, ty ledwie wrócisz, zaraz zamykasz się w łazience. Ja też lubię posiedzieć z książką na sedesie! – krzyczała Joanna Tamicka. – Ale ty już bijesz wszelkie rekordy w tej dziedzinie, to przechodzi granice przyzwoitości! To nienormalne! Już masz tu małą biblioteczkę, niedługo każesz sobie zainstalować telewizor, może jeszcze komputer i telefon, co? Poza tym nie jesteś sam w tym domu, ja i dzieci też, wyobraź sobie, czasami musimy skorzystać z ubikacji. I co tu robią te ciuchy pośrodku podłogi? Całe mokre, a świeżo prane! Nigdy cię nie ma,

cały dom na mojej głowie, wszystkim muszę się zajmować, a ty jeszcze... Jesteś gorszy niż dzieci!

– Dosyć – uciął krótko Tamicki. – Mam dosyć. – Złapał żonę za ramię, ściągnął z ubikacji i wyprowadził z łazienki. Joanna w pośpiechu podciągała majtki, gdy śmiertelnie poważny, choć nagi, mąż ciągnął ją do kuchni. Siłą posadził ją na krześle i wycedził:

– Mam dosyć twojego jazgotu i durnych, niesłusznych oskarżeń. Gdzie obiad? Gdzie dobre słowo, gdy wracam zmęczony i w złym humorze z pracy? Nikt w tym domu nie szanuje mojej ciężkiej pracy ani delikatnego przewodu pokarmowego. Sam muszę sobie robić śniadania do roboty, nie zawsze starcza dla mnie obiadu, a o ciepłej kolacji mogę sobie pomarzyć! Jak ja o siebie nie zadbam, to nikt już tego nie zrobi – żalił się. – Dosyć mam twojego terroru kuchennego i kłótni o łazienkę każdego ranka. To mnie stresuje na cały dzień, zaraz brzuch mnie boli, poza tym to nie moja wina i nie mam zamiaru przepraszać, bo niby za co? Za przemianę materii? Dlatego oświadczam ci oficjalnie, że mam dosyć. Przesadziłaś. Ty płaszczyłaś dupsko przed telewizorem, a ja walczyłem z potopem w łazience i z tymi dwoma synami Noego. Oświadczam ci, że jeżeli się nie zmienisz, to...

– To co!? – Kobieta podskoczyła na krześle, ale mężczyzna przytrzymał ją w miejscu. – Ty mi grozisz? Jak śmiesz! I weź te łapy! Chcesz rozwodu? Proszę bardzo! Chcesz z powrotem do mamusi? To wynocha! A w ogóle to chciałam ci zwrócić uwagę, że tyjesz, brzuch ci rośnie...

– Aśka, starczy! – Twarz Tamickiego nabrała jeszcze ostrzejszych rysów niż zwykle. Gdy tak pochylał się nad żoną, gdy patrzył na jej zaciętą minę i niewyparzone usta, wyglądał na autentycznie złego faceta. – Choć czasem zastanów się nad tym, co mówisz. Pomyśl, choć raz na jakiś czas, zanim coś chlapniesz. Bo teraz naprawdę przesadziłaś. I poniesiesz konsekwencje. – Po wypowiedzeniu tej groźby Tamicki puścił ramię żony i wyprostował się.

– A co, pobijesz mnie może?! – krzyknęła buńczucznie Joanna, która poczuła się odrobinę pewniej, gdy mąż się odsunął, razem ze swoją złością, urażoną ambicją i głupimi, męskimi ostrzeżeniami.

– Nie, zastrajkuję – wyjaśnił krótko Maciej, po czym udał się do przedpokoju. Wyjął z szuflady świeże majtki i skarpety, ze skórzanej torby *Niezawinione śmierci* Whartona, butelkę Dark Whisky i kilka batoników

czekoladowych. Zaniósł to wszystko do łazienki i położył na pralce. Wrócił do kuchni. Zrobił sobie bułkę z serem, wziął butelkę wody sodowej, szklaneczkę do whisky i... zaniósł to wszystko do łazienki, i położył na pralce. A potem powiedział do żony:

– To na razie. – I zamknął jej drzwi przed nosem. Zamknął łazienkę na klucz przed żoną, dziećmi i całym podłym światem.

– Maciej, otwieraj, słyszysz.

– Ani myślę.

– Jak długo chcesz tam siedzieć?

– Nie wiem. Aż mi przejdzie, ty mnie przeprosisz i obiecasz poprawę.

– Jeszcze czego – obruszyła się Tamicka i wezwała posiłki.

– Dzieci! Tata zamknął się w łazience i nie chce wyjść.

Jędrek i Mateusz zaczęli się dobijać do drzwi, wrzeszcząc, jakby ich kto ze skóry obdzierał.

– Tata! – Łubu-du! – Otwieraj, natentychmiast! Tata, otu, otu mi! Ła tutu! – I kopa w drzwi! – Tata, Mateusz chce siku, otwórz! Tata, tata...!

Tylko jak długo można się wydzierać i dobijać, gdy brak choćby minimalnego odzewu?

Maciej Tamicki milczał. Nic sobie nie robiąc z wrzasków rodzinki, nalał whisky do szklaneczki, usiadł na sedesie i zaczął czytać.

Dzieciarnia osłabła i wycofała się do swoich łóżek, a Joanna Tamicka się obraziła. „Chce tam siedzieć, to niech siedzi. Zobaczymy, kto kogo przetrzyma” – pomyślała z zawziętością.

Zaczął się pierwszy dzień strajku.

Pierwszy wieczór.

Pierwsza godzina upłynęła Maciejowi na posiedzonku, książce i drinku; druga – na kąpieli, książce i drinku. Joanna w tym czasie oglądała film i układała dzieci do spania.

W pierwszej połowie trzeciej godziny Maciej Tamicki założył majtki, skarpety, szlafrok, zjadł batonika i bułkę, popił sodówką i wytarł podłogę. Potem dobry kwadrans zastanawiał się, gdzie będzie spać: w wannie czy na podłodze. Wreszcie zdecydował, że na wannę jest stanowczo za duży (musiałby spać albo na siedząco, albo z nogami na ścianie), a przeciąg spod drzwi jakoś da radę wytrzymać. Z rzeczy do prania, ręczników i szlafroków uszykował sobie posłanie na podłodze. Joanna odkurzyła regał i obejrzała program rozrywkowy.

W czwartej godzinie zapukała energicznie do drzwi łazienki.

– Maciej, otwórz, chcę się wykąpać.

– Nie.

– Co nie? Mam iść spać brudna?!

– Idź. Mnie nie będzie to przeszkadzało, poza tym i tak za często się myjesz. Mądrzy ludzie żyją w brudzie!

– Wiesz co, zamknij się.

– Już to zrobiłem, kochanie. Teraz kładę się spać.

– To śpij!

Joanna Tamicka zgasiła światło w łazience, a umyła się w zlewie.

W szóstej godzinie okazało się, że spanie w przeciągu na podłodze zasłanej bawełną, frotą i anilaną na dłuższą metę nie należy do najprzyjemniejszych doświadczeń, zaś samotny piątkowy wieczór przed telewizorem – do specjalnie udanych.

W siódmej – Joanna postawiła przed łazienką śpiącego Mateusza; walnęła dwa razy w drzwi, zapaliła światło i oznajmiła:

– Jeden pan do ciebie.

Półprzytomny Tamicki odemknął drzwi. Odkleił synka od ściany i wysadził. Potem wystawił go na korytarz i mruknął:

– Asiu, jeden pan do ciebie.

Zamknął drzwi.

W ósmej godzinie strajku Maciej zjadł dwa batoniki, a Joanna nasiusiała do słoika.

W dziewiątej – z niespokojnego snu wytrąciły Tamickiego niecenzuralne wrzaski sąsiadów z góry, pięknie niosące się rurami; w jedenastej urządziły mu pobudkę gruźlicze kaszle i odcharkiwania sąsiada z dołu – przenoszone rurami jeszcze piękniej niż mało salonowa kłótnia tych z góry.

Joannie przyśnił się szturm na Bastylię. Była w pierwszym szeregu zdobywających; jej mąż machał do niej białą chusteczką przez małe okienko w grubym murze, niczym jakaś uwięziona księżniczka.

O ósmej rano – to jest w dwunastej godzinie strajku – przed drzwiami łazienki pojawił się zaspany Jędruś.

Zdziwił się bardzo, że nie może wejść do środka.

– Mama – poskarżył się, wchodząc do rodzicielskiego łóżka – drzwi się zacięły.

– Nie drzwi się zacięły, tylko tata strajkujeee. – Joanna ziewnęła i przeciągnęła się. Tej nocy miała całe łóżko dla siebie, ale nie spała dobrze.

– Co to znaczy „strajkuje”?

– To znaczy, że chce czegoś, czego nie może dostać.

– I co?

– I nico. – Tamicka zwlokła się z wyrka i poczłapała w stronę nieszczęsnych drzwi, świadectwa małżeńskiego kryzysu.

– Maciej! – Walnięcie poparte kopnięciem obudziłoby umarłego. – Jędrek chce siku.

Szuranie, szelesty, chrząkanie. Drzwi uchyliły się nieznacznie.

– Jak mi zrobicie kakao i coś do zjedzenia, to wystawię wam nocnik. – Tamickiemu został jeszcze jeden batonik, ale na sam jego widok robiło mu się niedobrze. Tęsknił za czymś konkretnym.

– To ty już nie śpisz? – zdziwiła się uprzejmie Joanna. – W sobotę śpisz co najmniej do dziesiątej...

– Aśka, albo negocjujemy, albo sikajcie w garstkę.

Negocjowali.

Ustalono, że za duży kubek kakao, parówkę i trzy skibki chleba z pasztetem, serem i pomidorem, Tamicki odda nocnik i udostępni Jędrkowi ubikację na kupę, zaś Joannie wannę na szybki prysznic.

Do dwunastej zdążył przeczytać wszystkie *Playboye* znajdujące się w łazienkowej biblioteczce. Wharton bowiem zbyt go przygnębiał – to nie była lektura na strajk, zwłaszcza w łazience. Natomiast Joanna, nieznosząca wszelkich prac i robótek domowych, do południa zdążyła pozmywać, umyć kuchenkę, przewietrzyć pościel, przyszyć większość oderwanych guzików i wyprasować koszule, wyglądające żelazka od pół roku.

Około pierwszej oboje stwierdzili, że strajki to rzecz bez sensu i odkryli, że śniadania najlepiej spożywać razem, przy stole, prowadząc kulturalną pogawędkę na tematy różne.

Przed drugą Tamicki dorwał się do krzyżówki w starym *Tele Tygodniu* i rozwiązał ją z marszu. Około trzeciej śpiewał świńskie piosenki. Potem został poproszony o wylanie zawartości nocnika, a za obietnicę małego lunchu wpuścił Matołka na kupkę, Jędrkowi pozwolił wziąć roboty z kloców Lego, żonie dał nastawić pranie.

O czwartej – w dwudziestej godzinie strajku – do małych Tamickich przyszedł Karol z piątego piętra i wyciągnął ich na dwór.

Mąż i żona zostali sami, oddzieleni drzwiami, uporem i dumą.

Około piątej Maciej zdrzemnął się z głową na klapie; Tamicką pochłonęły puzzle z sześciuset kawałków.

O szóstej wrócili chłopcy.

Za kolację pan domu odstąpił rodzinie wannę na czas kąpieli i z własnej inicjatywy powiesił pranie.

Wieczór wyglądał podobnie jak dnia poprzedniego. Nuda i zamknięcie – po obu stronach drzwi. Noc – też podobna – niespokojna, niewygodna i samotna.

Zamierzali wytrwać do poniedziałku, ale...

O piątej spotkali się w połowie korytarza, w połowie drogi z kuchni do łazienki, przy lustrze.

– Asiu...

– Maciusiu...

– Smutno mi.

– I mnie...

– No to kładźmy się, mamy jeszcze trochę czasu, zanim dzieci nas obudzą.

Położyli się, przytulili, a Joanna zgadła:

– Koniec z Fotosem.

– Koniec – potwierdził.

– A samośki wciąż...

– Wciąż.

– No to śpijmy.

Niedzielny ranek przywitał ich deszczem. Na śniadanie były grzanki, kawa, kakao, szynka dla Mateusza, dżem dla Jędrka i jajecznica dla rodziców. Rozmawiali sobie, żartowali, dzieci urwały się na Teleranek, jedli, pili... w połowie śniadania Maciej Tamicki oświadczył:

– Asiu, muszę oddalić się na moment.

Joanna w milczeniu piła dalej swoją kawę.

– Muszę – podkreślił i sięgnął po książkę MacLeana leżącą na lodówce.

Tamicka wpatrywała się w swoją grzankę jak w arcydzieło sztuki współczesnej. Kontemplowała je w ciszy.

– Nic mi nie powiesz? – drążył Maciej. – Mogę iść, dajesz mi swoje pozwolenie?

Odpowiedzią nadal było uparte milczenie.

– No to idę. I-dę. A-siu, ja idę, do ła-zien-ki, i-dę...

– No to idź, do cholery! – Nie wytrzymała wreszcie Joanna. – Idź! Przestań mnie podpuszczać, tylko idź. Czego ty ode mnie oczekujesz? Błogosławieństwa na drogę?! A może tych przeprosin i przyrzeczeń poprawy? Doskonale wiesz, że nic z tego, więc nie drażnij mnie już, chcesz iść, to idź, tylko nie siedź za długo, jeżeli mogę prosić.

– Wiesz, Asiu... – Maciej uśmiechnął się. – Kocham cię, właśnie za to cię kocham. Ty się nigdy nie zmienisz, tego jednego mogę być pewny, byłaś, jesteś i będziesz wariatką. Nieobliczalną, choleryczną wariatką. – Tamicki pochylił się i uściskał wyrywającą się z jego objęć żonę.

– No, to idę. Uhu, idę już...

– A zjeżdżaj, bo jak cię! – Rzuciła w niego ścierką i roześmiała się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
czyli epilog.

Bywają dni, kiedy człowiek zaczyna wątpić we wszystko, w co dotąd głęboko wierzył. I nieważne, czy chodzi tu o Boga, sprawiedliwość, wschód słońca czy wygraną Lecha Poznań.

Taki właśnie dzień przytrafił się Tomaszowi Grzeszczykowi, studentowi drugiego roku polonistyki na Uniwersytecie imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzieś na początku listopada. Dobrze go sobie zapamiętał.

Zaczęło się od tego, że Tomek zaspał. Szedł na zajęcia dopiero na jedenastą, a i tak zaspał. Co za pech! Zwłaszcza że magister Strzelczyk nie cierpiał spóźnialskich; co gorsza, już od dwóch tygodni zapowiadał na ten właśnie dzień i godzinę „maleńki, najwyżej półgodzinny, sprawdzian". Magister-pedant (jak ochrzciła Stefana Strzelczyka brać studencka) na pewno stawi się punktualnie i tego samego będzie oczekiwał od swoich studentów.

Ale student Grzeszczyk bezczelnie sobie zaspał. Wszystko dlatego, że Malińscy wyjechali w odwiedziny do ciotki z Sopotu!

Katarzyna Malińska (urocza szatynka o zielonych oczach i ujmującym uśmiechu) i Tomasz Grzeszczyk (miły dwudziestolatek średniego wzrostu o nieco przydługich włosach, zadartym nosie i szczerym wejrzeniu czterolatka) chodzili ze sobą od drugiej klasy liceum, co wśród pewnych kręgów ich znajomych uchodziło wręcz za kazirodztwo. Niemniej dzięki tej coraz rzadziej spotykanej wytrwałości, rodzice Kasi zdążyli się przyzwyczaić zarówno do częstych wizyt Tomka, jak i do tego, że przeciągały się one do późnej nocy. Jednak tym razem w pewnym mieszkaniu w bloku numer dwa na osiedlu Orła Białego noc zastała tylko dwoje zakochanych w sobie młodych ludzi. Starsza siostra Lidka – plastyczka – wyjechała na plener, a rodzice do nieszczęsnego Sopotu. Tak więc zamiast przykrótkiej kanapy w salonie luba Kasia użyczyła Tomkowi wygodniejszego posłania...

Bez względu jednak na zrozumiałe i uzasadnione powody Tomek najnormalniej w świecie zaspał i musiał wziąć taksówkę, żeby choć spróbować zdążyć na kolokwium z gramatyki opisowej. Luksus ten kosztował go resztki zapasów finansowych i nie miał pojęcia, za co zje lunch. Do tego taksówkarz wysadził go na stacji benzynowej przy Garncarskiej – „bo, wiesz pan, benzyna mi się, kurna, kończy".

Więc Tomasz zmuszony był, „kurna", podbiec te kilkaset metrów do uczelni.

Budynek Collegium Novum zbudowany w okresie radosnego socjalizmu i utrzymany w tonacji szarawej nie należał do budowli szczególnie pięknych. „Kosmicznie nieromantyczne miejsce" – jak mawiał Tomek. Dwie pięciopiętrowe bryły, a między nimi parterowy łącznik, były współczesne w każdej linii; żadnych dziewiętnastowiecznych cegieł, żadnych dekadenckich ozdóbek, stiuków, balkoników – wszystko ekonomiczne, prostokątne i nijakie.

Zdyszany i niestety już spóźniony student Grzeszczyk wpadł w objęcia swojej geometrycznej Alma Mater. W kilku susach dopadł schodów po prawej, marne dwa piętra pokonał nie wiedzieć kiedy i stanął przed salą dwieście siedemnaście. Przygładził włosy, obmyślił przekonującą historyjkę dla magistra, nabrał powietrza i wszedł do środka.

A raczej zaledwie zajrzał.

W sali nie było nikogo.

Tomek przestąpił niepewnie z nogi na nogę, podrapał się w głowę i ruszył pędem do dziekanatu na pierwszym piętrze.

Uprzejme panie z dziekanatu uprzejmie spławiły studenta Grzeszczyka, uprzejmie informując go, że nie mają bladego pojęcia, gdzie zniknął magister Strzelczyk i to z całą grupą C na dokładkę.

Zdesperowany Tomasz pognał z powrotem do holu na parterze i choć nie miał nadziei na uzyskanie odpowiedzi, zapytał pana Gabriela – stróża uczelnianego, szumnie nazywanego portierem – czy nie widział przypadkiem przemykającego tędy magistra Strzelczyka z gromadką snujących się za nim bez entuzjazmu studentów.

– Przypadkiem widziałem – odparł zupełnie nieoczekiwanie pan Gabriel, rezydent szklanej portierni przy wejściu, i zamilkł. Tomasz ponaglił go wzrokiem. Żadnej reakcji. Milczenie staruszka należało do kategorii tych dramatycznych i nabrzmiałych znaczeniem, więc Tomek

mógł sobie darować ponaglenia. Pan Gabriel w ogóle był wielkim oryginałem, aczkolwiek nieszkodliwym. Ubierał się przeważnie na biało, ewentualnie z domieszką szarości; swoją siwą czuprynę pomadował i układał w piękne fale nad czołem; nie darował też wspaniałym długim wąsom, które silnie podkręcał i zawijał na końcach w anachroniczną spiralę; ponadto palił fajkę, a herbatę malinową nazywał nektarem. Dziwak był z tego pana Gabriela, bez dwóch zdań.

– Tak, tak, widziałem, młodzianku – odetkał się wreszcie stróż. – Słyszałem też, jak mówił do jednej z panienek, że w ostatniej chwili udało mu się załatwić lepszą salę, znaczy się większą i jaśniejszą, o wiele „dogodniejszą do pilnowania męczonej przy pomocy kolokwium młodzieży studenckiej". Tak powiedział, jak Bozię kocham, i przeflancował się tam z młodziankami jakieś dziesięć minut temu – zakończył dumny z siebie, że wszystko tak dokładnie zapamiętał.

– Chryste, nie mógł mi pan tego od razu powiedzieć, jak przyszedłem? I do jakiej sali, na Boga?!

– A co to, gziku jeden, myślisz, że ja biuro informacji jestem? Albo że ja was wszystkim znam? Że wiem, co za jeden, z jakiej grupy i czego lata jak kot z pęcherzem? No, jak Bozię kocham... I nie, nie wiem do jakiej sali poleźli. Gdzieś tam ich prowadził. – Wypomadowany staruszek pokazał ręką na lewo. – Ale gdzie dokładnie...? – Wzruszył ramionami. – Mówiłem, mi tu płacą za stróżowanie, a nie za szpiegowanie, klucze wydaję, jak Bozię kocham. I ja ci radzę, ty nie bluźnij, ty nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno! Bo zobaczysz, gziku jeden, jak Bozię kocham, jeszcze się przekonasz... – ostrzegał mocno rozeźlony pan Gabriel.

Zniechęcony Tomasz powlókł się na lewo.

Gdy wreszcie znalazł, czego szukał, grupa wraz z magistrem Strzelczykiem dobrnęła do połowy kolokwium. Tomasz może by i dał radę zmieścić się ze swoją skromną wiedzą w drugiej połowie, ale nie dano mu tej szansy. Magister-pedant nie czekał na wymyślne tłumaczenia. Gdy tylko zobaczył studenta Grzeszczyka, przybierającego w drzwiach wdzięczną pozę umierającego łabędzia, gdy ujrzał na bladej twarzy spóźnionego młodzieńca zbolałą minę człowieka absolutnie niewinnego – cholera nim zatrzęsła.

– Oszczędzę panu – zaczął ze zwodniczym uśmiechem – daremnego trudu pisania, a sobie jałowej pracy poprawiania tych głupot. Od razu

wstawię panu dwóję, a za dwa tygodnie zjawi się pan u mnie na poprawce. Tylko tym razem radzę się nie spóźnić. Do widzenia się z panem!

Stefan Strzelczyk przestał zauważać lekceważącego swoje obowiązki studenta Grzeszczyka. Powrócił do poprzedniego, wielce frapującego zajęcia, czyli do czujnej lustracji głów pochylonych nad stolikami i – co istotniejsze – rąk pochowanych pod stolikami.

Tomasz wycofał się z sali, oparł plecami o ścianę, pochylił, dłonie wsparł na kolanach. Torba wolniutko zsunęła mu się z ramienia i plasnęła o linoleum.

– O rajuśku! – westchnął.

A dzień dopiero się zaczął...

Żeby poprawić sobie nastrój, zadzwonił do Kasi, która w tym dniu w ogóle nie miała zajęć. Kasia studiowała historię, a na historii nie zwykło się przemęczać studentów, już i tak dostatecznie przytłoczonych ciężarem wieków.

Telefon odebrała mama Kasi. Przywitała się z nim dziwnie chłodno i zaraz zawołała córkę. „Żadnych pogaduszek, ploteczek, nowinek – dziwił się spragniony pocieszenia młodzian – co jest, cholerka?”.

– Oj, Tomek, ale się porobiło! – konspiracyjnie wyszeptała do słuchawki Kasia. – Są wściekli, obrażeni, mówię ci... Wrócili wcześniej i domyślili się... Zresztą pogadamy później, teraz nie mogę... rozumiesz...

– Nie rozumiem – wyznał niechętnie Tomek.

– To nic, Tomeczku, potem ci wszystko wytłumaczę, ale lepiej nie przychodź do mnie przez jakiś czas. Aż im przejdzie. I nie dzwoń. Pa, Tomciu, muszę kończyć, zobaczymy się jutro na uczelni, czekaj na mnie tam gdzie zwykle, pa, pa, kocham cię. – I trzask. Koniec rozmowy.

Tomek zdenerwował się nie na żarty.

„Tam gdzie zwykle” było małą kawiarenką na parterze Collegium Novum, na samym końcu korytarza z aulami. To przytulne miejsce, w którym podawano taką sobie herbatę, całkiem niezłą kawę i wyśmienite pączki, od razu przypadło im do gustu. Spotykali się tu regularnie, gdy tylko mieli przerwę w wykładach albo kończyli wcześniej zajęcia. Wszystko pięknie. Tyle że od paru dni w uroczej kafejce trwał remont i o tym drobnym szczególe Kasia zdawała się nie pamiętać.

– Przecież nie będę na nią czatował przed drzwiami Historicum! – wściekał się Tomasz. – Albo warował w holu Novum. A już na pewno nie

będę latał jak kto głupi w tę i z powrotem, z Kościuszki na Aleję, mając nadzieję, że nie miniemy się po drodze! – Prawie zazgrzytał zębami z bezsilności. – Tylko kłopot z tymi babami. Co to za nielogiczne stworzenia! A jeszcze nie przychodź do niej i nie dzwoń. Ciekawe, jak ona sobie to wyobraża? Cały ten cholerny jutrzejszy dzień! A ci Malińscy...! – Wielkie poczucie niesprawiedliwości ogarnęło najdalsze zakamarki duszy Tomasza Grzeszczyka. – Niech ja skonam, co za nieżyciowi ludzie, jakby nigdy nie byli młodzi.

Do kolejnych zajęć, tym razem z angielskiego z uroczą Mrs. Hopsik, Tomasz miał trzy godziny wolnego. Postanowił wykorzystać ten czas na odebranie swojego stypendium za listopad. „Kupię sobie obiad, może kebab na Piekarach...” – rozmarzył się i westchnął z lubością. Samo myślenie o jedzeniu powodowało, że robił się bardziej głodny. W końcu nie zdążył zjeść śniadania.

W Collegium Minus przy Wieniawskiego, a konkretnie w foyer Auli Uniwersyteckiej, znajdowały się dwie kasy. W jednej sprzedawano bilety na wydarzenia artystyczno-kulturalne (tym razem był to jakiś koncert smyczkowy) i wątła kolejka posuwała się tu raz dwa. W drugiej, długiej na kilometr, wydawano stypendia zgłodniałym i spragnionym studentom.

Żadnych znajomych Tomasz Grzeszczyk nie zauważył, więc musiał karnie ustawić się na końcu ogonka.

Swoją trzygodzinną przerwę wykorzystał co do minuty i gdy wreszcie osiągnął upragnione okienko, leciwa panienka zatrzasnęła mu je przed nosem, oświadczając złośliwie, że w końcu ona też musi jeść.

– Jutro... Jutro też jest dzień. – wysyczała i wybuchnęła szyderczym śmiechem. I poszła. Poszła! Podła kobieta!

– Szkoda, że nie jestem ludożercą! – rzucił za nią ze szczerym żalem Tomasz Grzeszczyk. Ale nie był. Pozostało mu więc zatopić zęby w kawałku suchego herbatnika, który zaplątał mu się w raportówce. Popił go wodą z kranu, gdy już wrócił na uczelnię.

Mrs. Hopsik nie miała dzisiaj najlepszego humoru. Chyba ząb ją bolał. Cóż innego mogła znaczyć skwaszona mina, opuchnięty policzek i jawna wrogość okazywana Bogu ducha winnym studentom.

– Ale humorek, niech mnie licho – szepnął do kolegi Tomek. – Chodź, wyrwiemy jej tego zęba i będzie spokój. Ty trzymasz, ja rwę, chyba że

wolisz na odwrót. – Kolega parsknął, a anglistka zwróciła w ich stronę swe groźne oblicze.

– Widzę, że panom wesoło. Aż się rwiecie... – Tym razem parsknął Tomek, zupełnie mimo woli, to było takie nerwowe parsknięcie, ale było i zostało usłyszane – ... o dyskusji. Proszę, Mr Grzeszczyk, strona bierna, if you please. Any example? – Tomek chrząknął zmieszany. Mrs. Hopsik coś tam jeszcze mówiła, ale Tomasz Grzeszczyk niewiele zrozumiał, zwłaszcza że mówiła po angielsku; spuścił głowę i zaczerwienił się po uszy. Nie cierpiał takich sytuacji, zresztą kto lubi, gdy publicznie robi się z niego idiotę.

– Dość, panie Grzeszczyk! Byłam wystarczająco cierpliwa. Ma pan u mnie ocenę niedostateczną. Stan pana wiedzy jest zatrważająco niski. Tylko zupełnie nie rozumiem, gdzie pan tu dostrzegł powody do śmiechu.

Niech to szlag!

I nie było miękkiej kobiecej piersi, na której można by się wypłakać, ani małego uszka, które by wysłuchało wszystkich smutków, ani delikatnej dłoni, która wygładziłaby strapione czoło... „Och, ci Malińscy są bez serca!” – westchnął Tomek z głębi swego strapionego jestestwa.

Tomasz miał dzisiaj jeszcze dwa wykłady, ale postanowił je zwyczajnie olać. Był zły i coraz bardziej głodny. Wychodziło na to, że z braku funduszy będzie musiał wrócić do domu. Oby w tym tygodniu dyżur w kuchni przypadał na mamę, nie na jego młodszego brata Kajtka – albo jeszcze gorzej na niego samego – bo wtedy jak amen w pacierzu umrze z głodu.

Opuszczając progi nieprzychylnego mu dzisiaj Collegium, zderzył się w drzwiach z jakimś cudnym zjawiskiem.

Zjawisko też wychodziło, ale nie było samo. Ciągnęło za sobą męża osiłka i wózek z rocznym na oko dziecięciem.

– Roma? To ty...? O rany, ale wyładniałaś. To znaczy, cholera, źle powiedziałem, zawsze byłaś ładna, ale teraz po prostu kwitniesz! Aż oczy bolą patrzeć.

– Dziękuję bardzo. – Rudowłosa piękność o imieniu Roma sprawiała wrażenie speszonej tymi komplementami. Zerknęła niepewnie na męża i poruszyła pytająco brwiami. Mąż typu Schwarzenegger przecząco pokręcił głową. – No, tak, dziękuję, ale... czy my się znamy, bo nie przypominam sobie...

Tomek jęknął i aż zatoczył się na szklane drzwi. Zdrada z najmniej oczekiwanej strony dotknęła go boleśnie.

– Roma, okrutna kobieto, jak możesz mnie nie pamiętać?! Wiersze dla ciebie pisałem, tobie poświęcałem swoje zwycięstwa sportowe, od ciebie dostałem po pysku za zachowanie niegodne dżentelmena i właśnie ty uparcie nazywałaś mnie zasmarkanym smarkaczem, no, Roma, wysil pamięć.

– Tolek... nie, Tomek! Tak? Faktycznie, to chyba ty, ale włosy masz jakby dłuższe i urosłeś chyba...

Serca Tomasza Grzeszczyka krwawiło. W liceum kochał się w Romie na zabój; imponowała mu – taka inteligentna, kategoryczna, pełna wewnętrznego ognia i entuzjazmu – ale jako przewodnicząca samorządu szkolnego nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

Teraz ta uśmiechnięta kobieta, dorodna pani młoda, pełna ciepła i wyrozumiałości, w niczym nie przypominała siebie sprzed paru lat. Wtedy była klasyczną aktywistką, młodocianą feministką, przy tym panienką z tak zwanego dobrego domu, chudą pensjonarką ściśniętą gorsetem pruderyjnych zasad i zwykłego braku doświadczenia. Na ciele pokutny worek, na ustach płomienne hasła, a myśli – czyste i nieskażone seksem. Cała Roma! Jednak zupełnie mu odbiło na jej punkcie. Ostrzygł się na zero, zaczął palić papierosy i pisać wiersze, na spotkaniach samorządu szkolnego rzucał drwinami i swoimi fraszkami, wszystko, żeby tylko go zauważyła i zechciała nawracać. Na krótko zechciała, ale on się rozchorował: dostał grypy z powikłaniami. Kajtek nabijał się z niego, że to pewnie od tej „łysiny w środku zimy”. Tak czy siak, miesiąc przeleżał w łóżku, Romie się odechciało, jemu odrosły włosy, a w trakcie jego nieobecności do ich klasy przyszła Kasia Malińska i... znowu zakochał się na zabój.

Dzisiaj patrzył na Romę, taką odmienioną, i czuł zawód, że nigdy... że ona z nim nie... on z nią, że...

– Co porabiasz? – zapytali jednocześnie.

– Ty pierwszy. – Roma wycofała się z uśmiechem, grożąc żartobliwie palcem wyraźnie nudzącemu się mężowi.

– O nie, damy mają pierwszeństwo.

– Jak widzisz, mam córkę, męża... ach, przepraszam nie przedstawiłam was, Karol... Tomek... – Młodzi mężczyźni kiwnęli sobie zdawkowo

głowami. – Oboje studiujemy germanistykę, mieszkamy w akademiku, jakoś leci. A ty?

– Ja chodzę z Kaśką Malińską, chcemy się pobrać w przyszłym roku. – Nie miał pojęcia, czemu to powiedział. Do tego skłamał z tym ślubem. Zupełnie bez sensu. Jakby chciał jej coś udowodnić, pochwalić się... A co Roma może wiedzieć na temat Kaśki? Jej na pewno nie pamięta, bo niby skąd.

– Aaa... Kasia, pamiętam. Kasia historyczka, miała fioła na punkcie średniowiecza, nie znałam jej dobrze, przeniosła się do nas chyba z trójki czy czwórki, ale miła dziewczyna, gratuluję... – Roma coś jeszcze mówiła, o coś pytała, zwierzała ze swoich problemów z maleńką nadwagą, opowiadała, jak wspólnie z mężem chadzają na siłownię, gdzie Karolek namiętnie ćwiczy, że jej mała Maryjka już zaczyna mówić, że... Ale Tomek przestał słuchać. Wyłączył się, co stęsknionej za pogawędką młodej mamie zupełnie nie przeszkadzało. Odpowiadał monosylabami, kiwał głową z udanym zainteresowaniem, na zawołanie rozciągał usta w uprzejmych uśmiechach i... cierpiał. Spotkanie z Romą okazało się ukoronowaniem tego fatalnego dnia. „Totalne dno, koniec, zupełne zero – dudniło mu w głowie. – Kto ty jesteś, skąd się wziąłeś, kto cię zna, komu ty w ogóle jesteś potrzebny?” – dramatyczne pytania rodziły się w umyśle Tomasza, kompletnie zaciemniając mu całkiem miły skądinąd obraz świata. Niestety Tomek, wskutek trapiącego go od samego rana pecha oraz głodu, postrzegał rzeczywistość dookoła jako bezdenną otchłań niepowodzeń, fatalnych zbiegów okoliczności i wiecznej chandry. „No bo jak – zadręczał się – moja pierwsza wielka miłość, moja muza, nie może sobie przypomnieć, jak mam na imię, a doskonale pamięta dziewczynę, z którą zamieniła dziesięć zdań w życiu... Albo i mniej!”.

Nawet nie był zły, tylko przygnębiony, okropnie przygnębiony. Upokorzony, nieszczęśliwy i taki biedny...

Kontynuując swoją niby-rozmowę, cała grupka – rozgadana Roma, jej znudzony mąż kulturysta pchający wózek, drzemiący w wózku bobas oraz cierpiący męki niezrozumienia i odrzucenia Tomasz Grzeszczyk – oddalała się wolno od gmachu Collegium Novum. Zeszli ze schodów przy wejściu, skręcili odrobinę w lewo i omijając niespiesznie niewielki parking, skierowali się w stronę świateł i przejścia dla pieszych.

Tomasz nie miał pojęcia, czemu podąża za wózkiem, Romą i jej mężem. Kto wie, jak długo by się tak dręczył, gdyby w końcu do akcji nie wkroczył mąż osiłek. Dotarli właśnie do stóp dziesięciopiętrowego budynku. Przejście dla pieszych i pasy o kilka kroków dalej, sygnalizacja miga zachęcająco, dziecko zaczyna marudzić i poddenerwowany tatuś stwierdza, że ma dosyć tego wleczenia się noga za nogą. Szepnął coś Romie na ucho, wskazał głową na smętnego Tomka, po czym zaczął stawiać większe kroki. Tomasz i Roma zostali odrobinę w tyle. Dziewczyna uśmiechnęła się przepraszająco. Obowiązki matki i żony zwyciężyły.

– No to cześć – powiedziała, podchodząc do swojego atlety – muszę lecieć, mamy coś jeszcze do załatwienia. Trzymaj się ciepło, Tomek, nie choruj i pozdrów Kasię. Jeszcze raz ci gratuluję. Cześć! – Pomachała mu; jej córeczka powtórzyła za mamą przyjazne gesty.

Potem świat wstrzymał oddech, czas pękł na pół. Linia podziału biegła między chłopakiem w dżinsach a parą z wózkiem. Z jednej strony sekundy pędziły na oślep, z drugiej – czas stanął w miejscu.

Roma i Karol gwałtownie przyspieszyli, jakby ktoś mocno pchnął ich w plecy. Ona potknęła się, on podtrzymał ją za łokieć – wszystko w niewiarygodnym pośpiechu.

Tomasz raptownie znieruchomiał. Nagle wyrosła przed nim ściana nie do przebycia. Powietrze zamieniło się w płynną smołę. Kątem oka chłopak dostrzegł jeszcze jakąś niewysoką postać w bieli z długimi, powiewającym po bokach twarzy, siwymi wąsami. Biała postać poruszała się nadzwyczaj szybko i gestykulując zawzięcie, coś krzyczała. A później...

Później był przerażający łomot i na wolną, niewielką powierzchnię parkingu między Tomaszem a Romą i jej rodziną spadło... coś. Coś dużego, ciężkiego. Człowiek... Mężczyzna. Tomasz nie mógł zrozumieć, co się stało. Patrzył na nieruchomy kształt leżący na asfalcie, na obryzgany krwią jasny płaszcz Romy, na zastygłe w szoku blade twarze młodego małżeństwa, na dobrze zbudowanego młodego mężczyznę, który odruchowo zasłonił sobą żonę i córkę, na popłakującą w wózku małą dziewczynkę i... nie mógł pojąć. Dlaczego...?

Bezwiednie spojrzał w górę, na okna wieżowca, jakby szukał przyczyny. Nie znalazł. Jedno okno było szeroko otwarte i wychylały się z niego dwie kobiety. Jedna wołała bez sensu: „Trzymajcie go, trzymajcie!”, druga szlochała bezgłośnie, zasłaniając ręką usta.

Mężczyzna nie żył. Życie uciekło od niego. Uwolnione, rozlewało się po czarnym asfalcie, razem ze wszystkimi nierozwiązanymi problemami, powodami i tym, co kiedyś miało jakiekolwiek znaczenie.

– Mógł nas zabić! – wyszeptała bliska histerii Roma. – Mógł nas zabić... – Kurczowo uczepiła się ramienia męża. – Metr w jedną albo drugą stronę, sekundę wcześniej lub później i któreś z nas... leżałoby tak samo...

– Już...brze, ko...nie... – ze ściśniętego gardła Karola wydobył się niewyraźny szept. Mężczyzna przytulił Romę i mocniej ścisnął rączkę wózka.

– Idźcie stąd. – Do zszokowanej pary podeszła siwowłosa postać. – Idźcie, dziecko nie powinno widzieć takiego... strachu, rozpaczy. No, ruszajcie. – Popchnął ich delikatnie.

Odeszli.

– Ty też, młodzianku, zabieraj się stąd. – Pan Gabriel poklepał Tomasza po ramieniu. – I tak nie zrozumiesz. To trudno zrozumieć. Nawet mnie. Idź już...

Portier podniósł z ziemi stary plakat i przykrył nim ciało.

Wokół zaczął się zbierać tłumek ciekawskich. Szepty, okrzyki zgrozy, zafascynowane śmiercią spojrzenia. Pojawił się policjant; zbyt młody i nienaganny jak na zaistniałą sytuację.

– Idź, chłopcze – powtórzył siwowłosy staruszek. – Ja to załatwię. – Tomek spojrzał na poplamiony czerwienią plakat, wzdrygnął się i kiwnął głową.

– Co tu się dzieje? Co... – policjant zająknął się. Jego ostry głos stracił na moment swe urzędowe brzmienie. Odchrząknął. – Proszę się odsunąć, proszę się rozejść.

Gapie zareagowali jak zwykle w takich okolicznościach – zostali na swoich miejscach. Szepty się nasiliły.

– Dalej, ludziska, do domu! – zdenerwował się pan Gabriel. – To nie kino ani telewizja, no już!

– O co chodzi, co tu się właściwie stało? – Młodziutki, pewnie świeżo po szkole, funkcjonariusz kategorycznie domagał się wyjaśnień.

– Skoczył, panie oficjerze.

– Sam skoczył? Nikt mu nie pomógł?

– No mówię panu, skoczył i tyle. Sam, samiutki. Do tego jak głupio. Ci ludzie w ogóle oczu nie mają, panie oficjerze, skakają sobie, skakają

i zupełnie nie patrzą, gdzie spadną. Jakby nie pilnować, to by dzieciakowi na głowę skoczył. Jak Bozię kocham! – Pan Gabriel sumiennie uderzył się w pierś.

– Nie rozumiem... – Policjant zsunął czapkę na tył głowy i otarł pot z czoła. Wąsaty staruszek zaczynał go irytować. – Nie jestem oficerem i do rzeczy, proszę.

– A jakże, do rzeczy. Skoczyłby na dziewuszkę albo młodą parę, albo na młodzianka. Żeby tak zabijać się cudzym kosztem, no jak tak można? O rodzicach i żonie też nie pomyślał. Brak wiary i odpowiedzialności, tacy są ludzie. Co jeszcze chcesz wiedzieć, panie oficjerze?

Policjant przełknął ślinę, poprawił czapkę, wyciągnął notes i zastygł z długopisem w ręce.

– Więc... widział pan wszystko, tak?

– Tak, widziałem – przytaknął pan Gabriel. – Skoczył, panie oficjerze.

– Nie jestem oficerem, do jasnej...! – wybuchnął młodzieniec w mundurze. Sprawa wyraźnie go przerosła. – Co pan tu w ogóle robi, panie starszy? Pana nazwisko, imię, zawód...

– Pracuję tu, panie oficjerze. – Staruszek machnął ręką w kierunku Collegium Novum. – Tutaj, na uczelni. Nazywam się Gabriel Anioł. Jestem stróżem.

Policjant skrupulatnie zapisywał dane.

– Wypadek... wieżowiec przy... świadek... Anioł... Stróż...

Tomasz odszedł. Czuł dziwną lekkość, jakby ulgę, że ktoś, coś jednak jest, czuwa, pilnuje... i że czasami udaje mu się zdążyć.

„Bywają dni – pomyślał – kiedy człowiek mimo wszystko zaczyna wierzyć, w cokolwiek: Boga, przeznaczenie, kolejność pór roku czy zwykły fart”.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Joanna Łukowska: Nieznajomi z parku

Miłość od nienawiści dzieli krok

On jest bogaty, doświadczony, nieufny. Ona – wrażliwa, introwertyczna, pełna kompleksów. Oboje niosą bagaż trudnego dzieciństwa.

Po raz pierwszy spotkali się w parku. Wtedy też po raz pierwszy od niego uciekła... Zafascynował ją i przeraził jednocześnie. Zawsze bała się takich mężczyzn: silnych, pewnych siebie do granic arogancji, mrocznych i skomplikowanych. Był zły i przestraszył ją, ale nie mogła o nim zapomnieć. Irracjonalny lęk, jaki w niej wzbudził, przekonał ją, jak pozorny był jej spokój i ćwiczone całymi latami opanowanie. Bezpieczeństwo, którego szukała w swoim cichym, uporządkowanym świecie, okazało się złudne i kruche...

„Nieznajomi z parku” to w równym stopniu opowieść o miłości, jak i o nienawiści. To historia mężczyzny, który nie potrafi ufać, i kobiety, która nie umie walczyć o to, w co wierzy.

Monika Gabor: Uwaga na marzenia

Trzy różne kobiety – trzy różne historie

Podglądamy miłosne i życiowe perypetie trzech przyjaciółek. Każda z nich jest inna, każdej przytrafia się coś innego, każda inaczej reaguje.

Iza, aktywna zawodowo, ambitna i kompetentna, również prywatne życie bierze we własne ręce, dokonując wyborów na przekór wszystkim i wszystkiemu. Dąży do celu, którym jest szczęście, nie słuchając rad i nie bacząc na konsekwencje.

Marta to domatorka spełniająca się w roli żony, matki, gospodyni domowej. Rozwód jest dla niej szokiem, zarazem początkiem zmian. Jak wpłynie na nią rozpad rodziny? Czy będzie umiała jeszcze komukolwiek zaufać?

Julia wiedzie życie, o którym marzy każda z nas. Kochający mąż, mądra córka, satysfakcjonująca praca... Gdzie tkwi haczyk? Czy traumatyczne dzieciństwo wypłynęło na wybór zawodu? Czy można być jednocześnie lojalną przyjaciółką, kompetentnym psychologiem i uczciwym człowiekiem? A gdy trzeba wybrać...

Aneta Rzepka: Sonata o marzeniach

Znajdę cię w wielkim mieście, wśród zwykłych zmagań...

Czasem nawet porządna, miła, dobra dziewczyna zrobi coś niemądrego. Natalia Klimek wraca wzburzona z wywiadówki. Nauczycielka poinformowała ją, że jej córka, klasowy skarbnik, przywłaszczyła sobie pieniądze, wpłacone przez kolegów na ubezpieczenie. Natalia nie wierzy, nie mieści jej się to w głowie, ale... Iza przyznaje się do kradzieży. Zarazem odmawia odpowiedzi na pytanie, dlaczego to zrobiła. Co się za tym wszystkim kryje? Jaką rolę odegrała w całej sprawie kapryśna Dominika? Czy pomoże kuzynce pozbyć się etykietki złodziejki? Zwłaszcza że Izie tak bardzo zależy na dobrej opinii w oczach Łukasza...

Izę i Dominikę dzieli bardzo wiele. Jedna jest osobą życzliwą, otwartą na świat, potrafiącą czerpać radość z małych rzeczy. Druga to egoistka, która lubi błyszczeć i nie zważa, kogo zrani w drodze do celu. A jednak obie szukają w życiu tego samego: miłości, akceptacji, poczucia bezpieczeństwa; obie wierzą w spełnienie marzeń, nawet jeśli się z tym nie zdradzają.

Aneta Rzepka: Magia kasztana

Nie wierzysz w talizmany? Nie musisz. Wystarczy, że pozwolisz działać magii...

Po śmierci rodziców życie Kamili całkowicie się zmienia. Musi opuścić dom, przyjaciół, ukochaną wieś i przeprowadzić się do stolicy, by zamieszkać z ciotką, której nie zna. Ma nadzieję, że kiedyś wróci do domu, ale świat pędzi do przodu, pozbawiając ją złudzeń. W pokonywaniu codziennych trudności pomaga jej... kasztan i uczucie do chłopaka o kasztanowych oczach.

Małgosia jest realistką twardo stąpającą po ziemi. Kocha, mocno i szczerze, niestety bez wzajemności. A układ koleżeński to dla niej za mało. Próbując uciec przed uczuciem, pakuje się w spore kłopoty. Ofiarowany przez przyjaciółkę kasztan budzi uśmiech niedowierzania, lecz wbrew rozsądkowi przyjmuje talizman, bo kto wie...

„Magia kasztana” to powieść o codzienności, w którą wplątała się czarodziejska nić nadziei...

Edward Zyman: Gdy krzywe jest proste

W życiu jak matematyce: jeżeli idzie za łatwo, zapewne robisz coś źle.

Siedemnastoletnia Caroline Prajs urodziła się w Kanadzie.
W wieku dwunastu lat wyjechała wraz z rodzicami do Polski. Jest więc dość rzadkim przypadkiem emigrantki, której sytuacja stanowi odwrócenie losów znacznej części współczesnej polskiej młodzieży. „Gdy krzywe jest proste” to wartka, pełna uroku, humoru i wzruszeń opowieść o relacjach rodzinnych młodej bohaterki i jej trudnej adaptacji do odmiennych warunków i nowego środowiska.

Żywa narracja i dowcipne dialogi wprowadzają czytelnika w świat życiowych problemów nastolatków oraz niełatwe dylematy ich pierwszych młodzieńczych miłości.

Joanna Łukowska: Wybory

Gdy dorastasz, rodzice wciąż traktują cię jak dziecko, zarazem każą ci podejmować życiowe decyzje.

„Wybory” to zbiór siedmiu pełnych ciepła i humoru nowelek, opowiadających o dorastaniu, przyjaźni, miłości i podejmowaniu decyzji: tych błahych i tych na całe życie. Coś dla młodszych i starszych, dla dziewcząt i chłopaków, dla wszystkich, którzy nie wstydzą się swoich uczuć.

Tytułowe „Wybory” to historia rozgrywki między prymuską Zosią a nonszalanckim Antkiem Romanem, dwojga imion, z których jedno jest nazwiskiem. Oboje, nieco wbrew sobie, zostają wmanewrowani w wybory na przewodniczącego samorządu szkolnego. Kto wygra? A może inne wybory okażą się dużo ważniejsze…

Kolejne opowiadania o znamiennych tytułach zapewnią czytelnikom wiele emocji i zaskakujących point: „Pyzo, wróć”, „Dziennik, pryszcze i cudze sekrety”, „Działka, moja zmora”, „Wakacje w siodle”, „Korepetycje z przyjaźni”, „Smok i dziewica”.

Emma Popik: Tajemnice Emilki

Zadawaj pytania i szukaj odpowiedzi.

„Tajemnice Emilki” to opowieść o wrażliwej, ciekawej świata dziewczynce, która nawet nie podejrzewa, jak wiele zmieni w jej życiu jedno wydarzenie, jeden sekret. Emilka zaczyna inaczej postrzegać świat wokół siebie. Próbując rozwikłać zagadkę kociąt, poznaje tajemnice innych. Zaczyna zadawać pytania, których wcześniej nie zadawała. I widzi rzeczy, na które przedtem nie zwracała uwagi.

Kto porzucił kotki pod płotem? Kim są sieroty europejskie? Czemu chłopcy się biją? Dlaczego bibliotekarz w ciepły dzień chodzi w szaliku? Kto mieszka w dzikim sadzie? Kto rozmawiał pod oknami dziwnie trzaskającym głosem? Co ukrywa Babcia? A Jolka? Co znaczy grzeczność Nuli? Jaki naprawdę jest Aki? Co trzyma w swojej wielkiej torebce pani Rysia? Może dobre wychowanie? Czy bliźnięta mogą być zupełnie do siebie niepodobne?

Wiele pytań zaprząta Emilkę, która podąża od jednej przygody do drugiej, od jednego sekretu do drugiego. Niepostrzeżenie kształtuje się charakter Emilki – staje się coraz silniejsza, odważniejsza i pewniejsza siebie. Zdobywa wiedzę, jak odmawiać, gdy nie chce czegoś zrobić, i jak nie przejmować się tym, na co nie ma wpływu.

Joanna Łukowska: Z krainy kucyków

Jak to w stadzie

Zbiorek czterech opowiadań dla dzieci. W rolach głównych występują dzieci, kucyki i duże konie. Opowiadania o dziewczynce, która cicho mówiła, czy o chłopcu, który obraził się na cały świat – to piękne i mądre przypowieści. Bo w Krainie kucyków zawsze znajdzie się jakiś koń, mały lub duży, dzięki któremu wszystko dobrze się kończy albo wszystko się dobrze... zaczyna.

Bohaterowie tych opowiadań to żywe myślące istoty z własnymi problemami. Czasem wstają lewą przednią nogą i mają zły humor, czasem nie sprawdzają się w roli „przywódcy stada”, czasem są przez to stado odrzucane. A czasem potrafią wykazać się wielką odwagą i wielkim sercem. Mowa o kucykach czy o dzieciach? Sama się przekonaj. Sam przeczytaj i sprawdź. A jak nie umiesz jeszcze czytać, poproś kogoś, żeby ci poczytał na głos.

Polecam wszystkim mamom, tatusiom, babciom, dziadkom, nauczycielom, przede wszystkim zaś dzieciom! Taka lektura od czasu do czasu przyda się każdemu.